KOMENTUJĄ CEJROWSKI, JUREK I KRATIUK

Papież Franciszek wypowiedział wojnę katolickim tradycjonalistom

Populizm czy roztropność – jak walczyć z drogowymi piratami

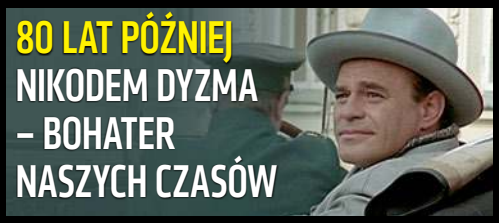

80 LAT PÓŹNIEJ NIKODEM DYZMA – BOHATER NASZYCH CZASÓW

Czy w Polsce opłaca się prowadzić firmę?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 30/435 26 LIPCA–1 SIERPNIA 2021

Unijczycy polskiego pochodzenia

Róża Thun

Krzysztof Mieszkowski

Sylwia Spurek

Jacek Jaśkowiak

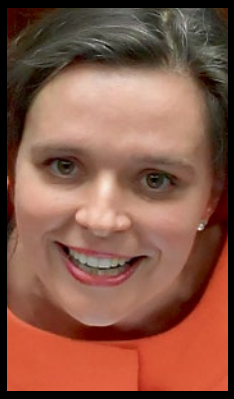

Klaudia Jachira

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 57,1 tys. egzemplarzy

Politycy, dla których Bruksela jest ważniejsza niż Warszawa

DLACZEGO ROSNĄ CENY DREWNA W POLSCE? PRZECZYTACIE NA DORZECZY.PL

UWAGA! KONKURS!

Szczegóły na stronach akcji.

ZAPRASZAMY NA WWW.DORZECZY.PL

Lasy Państwowe

eprasa.pl 2139ab4c34

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ucieczka przed apokalipsą

Zachodnie społeczeństwa osiągnęły nikomu wcześniej nieznany poziom bogactwa i dobrobytu, co oznacza, że przywódcy polityczni nie muszą brać pod uwagę rzeczywistości. A przynajmniej tak im się wydaje. Dlatego mogą swobodnie snuć coraz bardziej osobliwe i niedorzeczne plany, budować utopie i nie przejmować się kosztami: te pokryje się dzięki pożyczkom zaciąganym w imieniu przyszłych pokoleń.

Najnowszym przykładem takiego podejścia jest przedstawiony przez Fransa Timmermansa program „Fit for 55", a więc wielki projekt totalnej zmiany polityki ekologicznej Unii Europejskiej. Do 2030 r. redukcja emisji CO_2 w krajach członkowskich ma wynieść 55 proc. Ostateczne szczęście i nirwanę – całkowitą neutralność – Unia osiągnie w roku 2050, czyli już za 30 lat. Jak w przypadku każdego innego, wielkiego i globalnego planu projekt Timmermansa został przedstawiony na 4 tys. stron, co oznacza, że jest on praktycznie nie do przeczytania.

Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że cały projekt holenderskiego polityka jest przesiąknięty duchem tak popularnego w kręgach zachodniej lewicy radykalnego ekologizmu i bliski jest marzeniom aktywistów ruchu degrowth. Chcą oni dokonać zmniejszenia i ograniczenia produkcji oraz konsumpcji. Według nich Ziemia wskutek działań człowieka i opartej na dążeniu do zysku gospodarki kapitalistycznej znalazła się w skrajnym niebezpieczeństwie i lada moment czeka nas armagedon na niebotyczną skalę. To dlatego wylewają rzeki, podnosi się poziom wód, narasta stężenie smogu. Samo istnienie człowieka, a już szczególnie działanie wolnego rynku oznaczają degradację środowiska. Dążenie do bogacenia się, do wzrostu ma rzekomo prowadzić do rozpadu naszej planety i klęski. Najważniejszym warunkiem osiągnięcia przyszłej utopii ma być ograniczenie gospodarki. W tym celu trzeba zmniejszyć emisję CO_2. Inaczej ludzkość zginie. Czasu jest coraz mniej: każdy rok przybliża nas do wielkiego bum.

Nie są to mrzonki i rojenia nieznaczących grupek maniaków – dokładnie w taki sposób wypowiadają się politycy, jakby nie było, pierwszej ligi światowej. Oto mój ulubieniec, prezydent Francji, Emmanuel Macron, w ten sposób komentował raport ONZ o bioróżnorodności: „Ważą się losy Ziemi jako planety nadającej się do zamieszkania". Skoro lada chwila Ziemia przestanie się nadawać do zamieszkania, to albo należy z niej uciec w kosmos – choć nie wszyscy mogą pójść w ślady Jeffa Bezosa – albo wydać ostatnią wielką bitwę mocom ciemności i ocalić planetę. W istocie retoryka ta dobrze odpowiada dominującej wśród zachodnich społeczeństw nowej mentalności. To osobliwa mieszanka świadomości apokaliptycznej (zaraz nadejdzie kres) i ateistycznej (ważna jest tylko doczesność). Jedyną formą wieczności może być przyszłość, jedyną wartością ma być czysta natura.

Dlatego w debacie nad planami Timmermansa i podobnych mu wieszczów katastrofy różne racjonalne argumenty mają ograniczone znaczenie. Tym, co tkwi u podłoża utopii, nie jest bowiem rozum, ale emocja, dziki, nieokiełznany strach przed końcem i poszukiwanie ucieczki. Gdyby nie on, projekt nigdy by nie został przedstawiony. Eksperci wskazują choćby, że realizacja planu i tak nie przyniesie oczekiwanych efektów, ponieważ państwa Unii odpowiadają jedynie za 9 proc. globalnej emisji CO_2. Dalej: projekt Timmermansa nie tylko jest nieskuteczny, lecz także skrajnie szkodliwy. Oznacza zniszczenie małych i średnich biznesów oraz rozrost wielkich korporacji. Musi spowodować drastyczny wzrost cen dla wszystkich obywateli (najbardziej dotknięci nim będą najmniej zamożni) i upadek rolnictwa, energetyki, zapewne transportu i przemysłu wydobywczego. Wszystko to jednak nie ma znaczenia – liczy się przecież nowa świecka ideologia. Liczy się umknięcie przed apokalipsą.

Oczywiście, żeby sen Timmermansa się spełnił, na jego realizację będą się musiały zgodzić rządy poszczególnych państw. Czy będą potrafiły wytłumaczyć swoim obywatelom, że potrzebna jest wielka ofiara? Że trzeba się pogodzić ze wzrostem cen, bezrobociem itp., itd.? Teoretycznie będzie to trudne. Ludzi nie jest łatwo przekonać do poparcia przepisów uderzających w ich interesy. Jak jednak pokazała praktyka ostatnich lat, masowa akcja medialno-propagandowa może zmienić nastawienie społeczne. Każde szaleństwo może okazać się, jeśli tylko wtłacza się je do głów odpowiednio konsekwentnie, rozumne. Wystarczy tylko dobrze dobrane hasło – np. razem ratujemy Ziemię przed bliską zagładą – i efekt będzie murowany. Gdyby tak się miało stać, sami zbudowalibyśmy sobie nowy, zielony komunizm. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK
UNIJCZYCY POLSKIEGO POCHODZENIA
Jedna Europa, jeden „naród"?

KRAJ

22 KAMILA BARANOWSKA
SŁABE PUNKTY TUSKA
Polityczne bariery byłego premiera

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KONFEDERACJA Z PLATFORMĄ?

28 ROZMOWA Z PIOTREM GLIŃSKIM
WARTOŚĆ HISTORYCZNA PAŁACU SASKIEGO JEST NIE DO PRZECENIENIA

32 MACIEJ PIECZYŃSKI
POLSCY SPRAWIEDLIWI ZAWOŁANI PO IMIENIU

34 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
EKSPERYMENT BORUSEWICZA SIĘ OPŁACIŁ

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PYSIUNIE NA KEMPINGU

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK
BOHATER NASZYCH CZASÓW
Nieśmiertelność Nikodema Dyzmy

42 PIOTR GOCIEK
HISTORIE PROWINCJONALNE

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 KRYSTIAN KRATIUK
KOŚCIELNE CANCEL CULTURE
Franciszek kontra Benedykt

53 MAREK JUREK
IDEOLOGIZACJA SOBORU

54 ŁUKASZ ZBORALSKI
NADZÓR BEZ KAR TO FIKCJA

56 ŁUKASZ WARZECHA
MODELOWY POPULIZM WŁADZY

HISTORIA

58 ROZMOWA Z DR OLGĄ BARBASIEWICZ
BIAŁY ORZEŁ I WSCHODZĄCE SŁOŃCE
II RP i Japonia

62 ROZMOWA Z MARIĄ STACHURSKĄ
AKUSZERKA Z AUREOLĄ

ŚWIAT

64 WITOLD REPETOWICZ
TO NIE KONIEC WOJNY W AFGANISTANIE
Wkrótce do Europy może ruszyć fala afgańskich uchodźców

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
NIEMCY JAK TRZECI ŚWIAT
Odbudowa po powodzi pochłonie miliardy euro

72 TOMASZ CUKIERNIK
ILE KOSZTUJE PROWADZENIE FIRMY?

„DO RZECZY" NA WAKACJE

76 JACEK KOMUDA
CHOJNIK – GÓRSKIE GNIAZDO
10 najwspanialszych zamków Polski

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (75), KARWELIS (79), ZALEWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 2139ab4c34

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Piotr Polak, Marcin Kmieciński, Jakub Kaczmarczyk, Paweł Supernak, Marcin Obara/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, p.pech@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829
Nakład 57,1 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za Wasze listy oraz e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną przesyłać na adres: listy@dorzeczy.pl i zapraszamy do dyskusji!

„Bobolice – zamek czy podróbka?", Jacek Komuda, „DRz" 28/2021

Szanowna Redakcjo,
ciekawy artykuł p. Komudy o Bobolicach podnosi kwestię „zamrażania" zrujnowanej postaci naszego kraju. Podobnie jak autor nie poważam stanowiska purystów, żądających utrwalania zrujnowanej Polski. Rekonstrukcje tworzą widoczne, namacalne symbole naszej przeszłości, dzięki nim „odrastają" nasze korzenie. Wskazówek za słusznością stanowiska rekonstrukcyjnego dostarcza kilka stron wcześniej w artykule p. Rosalaka sam ks. Jan Długosz, pisząc o chorągwiach krzyżackich „Polacy winni ich strzec i przechowywać je jako wieczystą pamiątkę i symbol, W MIEJSCE STARSZYCH POWINNI TKAĆ NOWE [podkr. – T.Z.], by ze względu na ogromną walkę i odniesiony w niej trud istniał dowód tak wielkiego zwycięstwa". Czyż nie ze względu na „walkę i odniesiony trud" odbudowano Warszawę? A o chorągwiach: Czyż w miejsce zrabowanych nie powinniśmy „tkać nowych" według wskazówek („Banderia Prutenorum") zostawionych przecież w tym celu? I niechże je czym prędzej abp Jędraszewski w swojej katedrze znowu powiesi!

Tadeusz Zając, Kraków

Sierpień Międzynarodowym Miesiącem Armii Krajowej

Proponuję ustanowienie sierpnia międzynarodowym Miesiącem Armii Krajowej. Jeśli przez cały czerwiec musieliśmy obchodzić w zasadzie na całym zachodnim świecie Pride Month, mimo że nie przypominam sobie, aby to było oficjalnie potwierdzone, to dlaczego nie obchodzić Home Army Month? W dodatku zróbmy z tego Międzynarodowy Miesiąc Armii Krajowej obchodzony na całym świecie, a w najgorszym wypadku wszędzie tam, gdzie żyją Polacy.

Z poważaniem
Krzysztof Trelski,
redaktor naczelny PoloniaNews.com

Dziękuję za ten list

Bardzo dziękuję P. Annie Jakubik za list „Felietony Piotra Semki"! Zwróciła ona uwagę na to, że dzięki solidarnej postawie Redakcji Piotr Semka trwa z nami na łamach „Do Rzeczy". Dosłownie wyjęła mi Pani z ust taką treść. Szczególnie cieszy fakt, że podobnie myśli wielu czytelników.

Przy okazji pozwolę sobie tylko dodać krótkie wspomnienie z czasów studenckich.

Pojawianie się Piotra na spotkaniach, dyskusjach, których na przełomie drugiej połowy lat 80./początku 90. minionego stulecia na KUL było mnóstwo, gwarantowało zawsze przemyślane, dociekliwe i dogłębne pytania. Przedstawiciele środowisk opozycyjnych i niezależnych – od lewicy laickiej do endecji – mówiąc kolokwialnie, walili wówczas na KUL drzwiami i oknami. (Chociażby na tradycyjne Tygodnie Społeczne). Podejmowane przezeń dyskusje, polemiki wyprowadzały często – zacnych skądinąd gości z kraju, ale i z zagranicy – z samozadowolenia. Zaś nam, kolegom studentom, pozwalały spojrzeć dalej i głębiej w arkana polityki i życia społecznego.

Pozostając w modlitwie o pełny powrót red. Piotra Semki do zdrowia, mam nadzieję, że już niebawem zacznie chwytać za pióro. Czekamy – w gronie czytelników i „starych" KUL-owców – na to spragnieni nie tylko intelektualnych analiz, lecz także po prostu rzetelnego, uczciwego warsztatu dziennikarskiego, który nie od rzeczy tak dobrze wpisuje się w „Do Rzeczy".

Jan Fedirko,
Fundacja Niepodległości, Lublin

eprasa.pl 2139ab4c34

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Autorytet Kościoła

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Wspomnienie ks. Jana Sikorskiego (rocznik 1935) to jeden z licznych przykładów, jakim szacunkiem po wojnie cieszył się Kościół: „Moje pierwsze wspomnienie dotyczące Kościoła po wojnie to uroczysta procesja kilkuset księży, którzy ocaleli z obozu w Dachau. W jedną z pierwszych rocznic wyzwolenia obozu przez Amerykanów księża maszerują przez miasto do bazyliki św. Józefa w Kaliszu. I wszyscy patrzą na nich z niemym szacunkiem. Ludzie stoją na poboczach ulicy i zdejmują czapki".

W sąsiednich krajach, takich jak Słowacja czy Węgry, księża płacili ogromną cenę moralną za poparcie episkopatów ich krajów dla kolaboracyjnych rządów. W Polsce było inaczej. Wszyscy widzieli, że księża byli rozstrzeliwani, zsyłani do obozów, a kościoły niszczone, profanowane przez nazistów. „W obozach i publicznych egzekucjach poniosło śmierć ponad dwa tysiące kapłanów polskich, w tym pięciu biskupów na ogólną liczbę z 1939 roku sięgającą blisko dziesięciu tysięcy pięciuset duchownych. W obozie koncentracyjnym w Dachau, dokąd kierowano (polskie) duchowieństwo katolickie, zmarło 861 księży świeckich i zakonnych. […] Ponadto zginęli zakonnicy i siostry zakonne – w sumie ponad 400 osób" – sumował Jan Żaryn w książce „Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce (1944–1989)".

Zajadłość, z jaką Niemcy niszczyli Kościół polski na terenach Pomorza Gdańskiego, ziemi włocławskiej i Górnego Śląska, na których zamordowano około pięciuset księży, pokazywała, jak bardzo warstwa kapłańska była powiązana z działalnością patriotyczną. W czasie wojny zniszczono ponad 900 kościołów. Osobny rozdział to represje sowieckie. Na Kresach wkraczające w 1944 r. NKWD aresztowało m.in. biskupa łuckiego Adolfa Szelążka oraz wikariuszy generalnych dla diecezji kamienieckiej, ks. Adolfa Kukuruzińskiego oraz ks. Bronisława Drzepeckiego, wikariusza diecezji żytomirskiej.

Brutalnie niszczono Kościół ormiański, uważany przez Sowietów za polski w duchu – na 10 lat pobytu w łagrze skazano ks. Dionizego Kajetanowicza ze Lwowa, który zmarł w Republice Komi w listopadzie 1954 r. Kościół dzięki wspólnocie cierpienia zrósł się z szerokimi warstwami narodu. W Polsce nie dało się lansować opowieści o pławiącym się w bogactwie klerze, kolaborującym z bogatymi. Słynna opowieść o abp. Adamie Sapiesze, który według powszechnej legendy miał gościć u siebie gubernatora Hansa Franka kartkowym chlebem i marmoladą z brukwi, dobrze oddawała przekonanie Polaków, że Kościół solidarnie znosił ze zwykłymi Polakami tragedię wojny.

A ci zwykli Polacy przetrwali koszmar wojenny dzięki modlitwom i ofiarom. Widać było to po wojnie, gdy dziesiątki tysięcy ludzi przybywało na Jasną Górę, aby zrealizować śluby pielgrzymki przed oblicze Czarnej Madonny składane jako zobowiązanie za ocalenie życia. ©℗

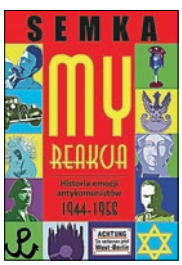

ZIELONE ŚWIATŁO DLA PUTINA

Niemcy i USA zawarły wstępne porozumienie w sprawie Nord Stream 2. W ramach umowy władze w Waszyngtonie zezwalają na ukończenie projektu. W zamian Niemcy zobowiązują się podjąć działania, w tym wprowadzić sankcje, „jeśli Rosja spróbuje użyć energii jako broni lub dokona dalszych aktów agresji przeciwko Ukrainie". Eksperci nie mają wątpliwości: dla Polski to zła wiadomość. Po uruchomieniu nowej nitki zwycięska Rosja będzie mogła jeszcze śmielej stosować wobec Europy Wschodniej szantaż energetyczny. ***(jap)*** ©℗

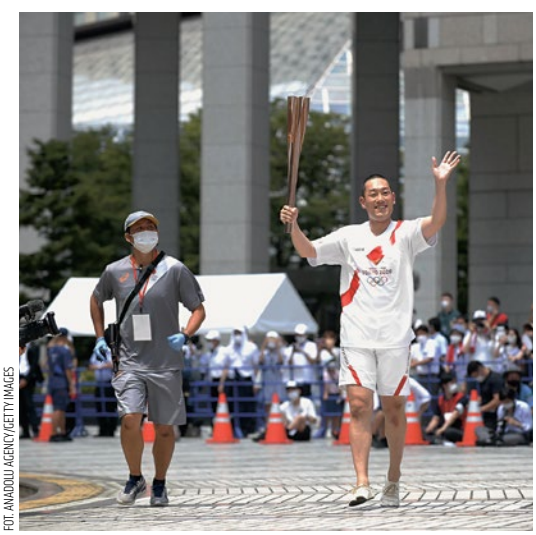

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

RUSZYŁY IGRZYSKA W TOKIO

Ponad 11,3 tys. sportowców z 207 krajów bierze udział w rozpoczętej w piątek olimpiadzie Tokio 2020. Ceremonia otwarcia odbyła się niemal bez kibiców i z ograniczoną liczbą sportowców. Przeciw rozpoczęciu igrzysk olimpijskich do ostatniej chwili protestowali Japończycy, obawiający się, że rozgrywki przyczynią się do rozwoju w Tokio pandemii koronawirusa.

Polska kadra olimpijska liczy 215 osób. Według amerykańskich ekspertów polscy sportowcy mogą przywieźć do kraju ponad 20 medali. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

PIEKŁO NA BARYKADZIE. PORUSZAJĄCY WYWIAD Z WETERANEM POWSTANIA '44

Piotr Zychowicz – **Hitler na haju**
Norman Ohler – **Wunderwaffe w pigułce**
Jacek Bartosiak – **Polska musi liczyć na siebie**
Tomasz Stańczyk – **Spór o lekarza z Auschwitz**
Sławomir Koper – **Tajemnica śmierci Batorego**
Mikołaj Iwanow – **Wanda Wasilewska i Stalin**
Radosław Golec – **Inwazja III Rzeszy na Anglię**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Kłamanie prawdą**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2139ab4c34

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prawo Kargulów

Nowy Rzecznik Praw Obywatelskich niewiele zdołał jeszcze powiedzieć, a już podpadł jastrzębiom opozycji. Mecenas Michał Wawrykiewicz, założyciel i przywódca „inicjatywy Wolne Sądy", zarzucił mu, że reprezentuje „prawniczy pozytywizm", czyli zasadę „kurczowego trzymania się litery prawa, niezależnie od tego, w jakich warunkach zostało ono uchwalone" (i przez kogo, dodajmy zawartą implicite w wypowiedzi Wawrykiewicza istotę sprawy). O domniemanym pozytywizmie prof. Wiącka trudno mi się wypowiadać, ale takie wyznanie z ust lidera rokoszu, szermującego hasłem „praworządności", ma swoją wagę. Jest przecież mimowiednym przyznaniem, że rokoszanie „praworządność" czy – do niedawna – „konstytucję" traktują, najdelikatniej mówiąc, instrumentalnie, „litera prawa" znaczy dla nich niewiele, liczy się „słuszność", a co słuszne, rozstrzygają sami.

Żachnięcie się pana mecenasa na „literę prawa" zbiegło się w czasie z ogłoszeniem przez Borysa Budkę długo oczekiwanego konkretu programowego. „Jednym z pierwszych kroków" PO, gdy sięgnie po władzę, będzie „wprowadzenie odpowiedzialności regresowej za buble prawne" dla „Ziobry i spółki". Mówiąc krótko, zapowiada Budka, że posłowie, którzy głosowali za „bublami", zostaną za to ukarani (surowo oczywiście). Pomińmy już, że pan Budka, jako prawnik, musi znać zasadę „lex retro non agit" – już ustaliliśmy, że nie „litera prawa" się liczy, a zemsta. Ale na taki pomysł, żeby karać posłów za to, jak głosowali, nie wpadli nawet Hitler ani bolszewicy.

Charakterystyczne, że takie zapowiedzi w ogóle nie kłócą się opozycji z entuzjastycznym popieraniem TSUE, który jako pretekst do delegalizowania polskiej Izby Dyscyplinarnej podał, że „sędzia nie może być karany za wydane wyroki" (chyba że w Niemczech, bo tam tak jest, ale „co wolno wojewodzie…") – o który to zamiar podejrzewa TSUE naszą IDSN. Ale parlamentarzysta za to, jak głosował, karany być może, i to surowo, i jeszcze z mocą wsteczną, jeśli tylko jest „wrogiem praworządności".

Prawo prawem, ale sprawiedliwość musi być po naszej stronie – znają to Państwo. ©℗

OD POCZĄTKU

Czy można zakazać spowiedzi?

MAREK JUREK

Na początek wyjaśnienie językowe: słowa „spowiedź" używam w znaczeniu powszechnie przyjętym w naszym języku i jednocześnie zdroworozsądkowym (te dwa kryteria doskonale się tu zbiegają). Przychodzimy do konfesjonału, wyznajemy przed księdzem nasze grzechy, otrzymujemy rozgrzeszenie. Czasami są pewne wyjątki, w chorobie ksiądz przychodzi do nas, spowiadamy się na leżąco i tak też otrzymujemy rozgrzeszenie. Na pielgrzymce wyznajemy księdzu grzechy w marszu, a na rozgrzeszenie klękamy. Ale zawsze przed kapłanem i głośno (choć w kościele nie za głośno) odsłaniamy swoje grzechy. Chyba że jest wojna.

Ale dziś i bez wojny spowiedź może wyglądać inaczej. Na Zachodzie są już parafie (Grzegorz Górny pisał kiedyś nawet o całych seminariach), gdzie spowiedzi indywidualnej już nie ma, zastępuje ją recytacja confiteor na Mszy i to uważa się za wystarczające. Zapytałem kiedyś polskiego księdza pracującego w jednej z niemieckich katedr, czy naprawdę wierni nie mogą się wyspowiadać normalnie.

„Oczywiście, że mogą – odpowiedział ksiądz – jeśli do zakrystii przyjdzie jakiś Polak lub Wietnamczyk i powie, że chce się wyspowiadać w tej formie, nie będzie przeszkód".

Ale w przyszłości przeszkoda może się pojawić. Na przykład aroganckie (w języku teologii – „pysznе") przekonanie, że spowiadając się (indywidualnie), postępujemy słusznie. Za czym łatwo może pójść zamknięcie na „wartości" powszechnej spowiedzi wyłącznie „w sercu". A potem „zinstrumentalizowanie" starej formy spowiedzi w celu „dzielenia Kościoła", krytyki praktyk całych Kościołów partykularnych. I czy wtedy – „w obronie jedności" – nie usłyszymy, że spowiadać się indywidualnie, owszem, można, ale pod warunkiem że uwierzymy, iż nie trzeba?

Grecy uważali, że teoria jest rzeczą najpiękniejszą, choć bywa też najstraszniejszą. Ale jest też rzeczą praktyczną. Pewne pytania warto sobie postawić zawczasu, byśmy naprawdę wiedzieli, co trzeba. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O świetlanej przyszłości

W Kanadzie Jonathan Simpson poczuł się kobietą i zmienił nazwisko na Jessica Yaniv. Następnie postanowił poddać się zabiegowi depilacji intymnych części ciała. Ale w żeńskich salonach piękności mu odmówiono, bo intymne części ma męskie. Jessica vel Jonathan oskarżył wszystkie salony o transfobię. I zażądał od każdego 15 tys. dol. odszkodowania za poniesione szkody. Miał doświadczyć „neonazizmu skierowanego przeciw osobie transseksualnej".

Salony się jakoś wybroniły, ale dwa musiały się zamknąć, bo wydały majątek na adwokatów.

Nieco wcześniej Jessica wpadł w konflikt z prawem. Oskarżył policjantów i władze miasteczka Langley o dyskryminację, ponieważ gdy został zatrzymany, a potem był w areszcie, zwracali się do niego „mister" i mówili o nim, używając niewłaściwych, bo męskich, zaimków osobowych.

Natomiast rok temu Jessica postanowił wystartować w konkursie piękności dla pań, ale organizatorzy nie przyjęli zgłoszenia, tłumacząc, że impreza zarezerwowana jest dla kobiet i transseksualistów po zabiegu zmiany płci na żeńską. Naturalnie Jessica wniósł sprawę do sądu, oskarżając organizatorów o dyskryminację i transfobię. Postępowanie trwa.

Potem przyszła kolej na ginekologów. Nie chcieli Jessiki ani odwiedzić w domu, ani przyjąć, wyjaśniając, że są fachowcami od narządów, których nie posiada. Jessica umieścił na Twitterze nagrania konwersacji z lekarzami, zarzucając im wiele przestępstw. Nie jest jasne, czy sprawa trafiła do sądu.

Co się z trudem mieści w głowie, we wszystkich tych prowokacjach Jessikę dzielnie wspierały środowiska i organizacje LGBTQ+.

Natomiast w Italii w ramach walki o równouprawnienie gatunków Stowarzyszenie Obrońców Zwierząt i Środowiska uznało za dyskryminujące słowa popularnej kabaretowej piosenki „Kura" („Gallina") sprzed 57 lat, bo się zaczyna: „Kura nie jest zwierzęciem inteligentnym". Zdaniem organizacji to „niedopuszczalna obraza zwierząt".

To wszystko prędzej czy później nieuchronnie nas czeka, czy nad Tybrem, czy nad Wisłą. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Gołębie, proszę Państwa

Miłe złego początki, a koniec na Twitterze. W czerwcu roku ubiegłego Twitter polski był podzielony na pół za sprawą Marka Niedźwieckiego i jego „Listy Przebojów Programu Trzeciego". Powychodziły wtedy jakieś sprawy, że Kazik śpiewał piosenkę „Twój ból jest lepszy niż mój" niepochlebną dla Jarosława Kaczyńskiego, która to piosenka miała zająć miejsce pierwsze na liście. To miało się nie spodobać PiS-owcom rządzącym mediami i kazali w nocy piosenkę zdejmować. I wszyscy się wtedy ponapinali do czerwoności. PiS-owcy, że manipulowano listą ręcznie (znaczy się Niedźwiecki), a Niedźwiecki, że do widzenia Państwu, ja z Państwem pracować nie zamierzam, ewentualnie was pozwę do sądu. No i pozwał pan Niedźwiecki za sugestię, że manipulował przy „Liście", i żądał 30 tys. zł na jakiś tam cel szlachetny. Bardzo to przeżywały obozy twitterowe, że moskiewskie mamy już media i że odpowiecie za to albo że panie, co pan, to oszustwo tego Niedźwieckiego grubymi nićmi przeszyte.

Każdy już był najmądrzejszy, bo każdy już wiedział swoje. Lecz wtedy (znaczy teraz) na wierzch wypłynęły e-maile ze służbowej skrzynki Niedźwieckiego. No cóż, z korespondencji wysyłanej przez dobrotliwego pana Marka wynika jasno, że pan Marek listę ustawiał ręcznie według, zdaje się, kryterium „a bo tak". Pan Marek wysyłał wydawcy e-maile niezależnie od głosowań, jak np. takie: „Prawie jest OK, »Jestem w niebie« zrzuć na 20. miejsce. Wywal Lao Che i Traperów. Wchodzą do top 30 Mortas i Morrissey. Na 50 wstaw Kozakiewicza (zamiast Podsiadły). I to tyle zmian na dziś... Dzięki – M".

I stał się jakby cud na TT albo co. Po prostu jedna strona zniknęła. Ta, która twierdziła, że moskiewskie media i PiS-owski putinizm, po postu nagle dostała chyba bólu brzucha i kataru i nie mogła nic, a nic pisać przez te boleści. Z tego właśnie powodu pan Marek nie był broniony, a ci PiS-owcy raz sobie jakby triumfowali. Oczywiście spointowano to w ten sposób dziwny, że tak naprawdę to z tymi skrzynkami e-mailowymi to bieda jest. No bo np. Michał Dworczyk używał prywatnych skrzynek e-mailowych i stąd są bardzo poważne problemy, a taki Marek Niedźwiecki ma problemy właśnie dlatego, że używał skrzynek służbowych.

Co więc robić, proszę Państwa, jak żyć? Odpowiedź jest prosta: gołębie. Trzeba karmić gołębie. Gołębia można zjeść, ale nie da się go odtworzyć. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

eprasa.pl 2139ab4c34

EKSPERT W TEORII

Kuba Wojewódzki postanowił skomentować informacje o końcu małżeństwa swojej znajomej z TVN – podróżniczki Martyny Wojciechowskiej. Kilka dni temu media plotkarskie obiegła wieść, że Wojciechowska rozstała się z Przemysławem Kossakowskim niemal zaraz po ślubie.

– Podobno podróżnik wyprowadził się zaraz po ślubie. Wszystko zgodnie z moją teorią: małżeństwo to trzygwiazdkowy hotel. A dużo lepiej się śpi pod tysiącem gwiazd – skomentował sprawę Wojewódzki. 57-letni kawaler. Ekspert od małżeństwa. Tego głosu nam brakowało!

CYCKI I DRAMATY

Oburzyła się Kaja Paschalska, celebrytka i aktorka, znana głównie z roli Oli Lubicz w serialu „Klan". Poszło o to, że Kaja – tak jak wszystkie celebrytki – wrzuca na Insta i inne portale społecznościowe masę swoich zdjęć i bulwersuje ją, gdy dostaje w odpowiedzi seksistowskie komentarze. „Do co poniektórych Panów: To, że wstawiam zdjęcie w bikini, z dekoltem czy po prostu z klatką piersiową w kadrze (jak w ostatnim poście), nie jest zaproszeniem do sprośnego komentowania moich »cycuszków«, »bimbałków«, »wymion« etc. Nie jest to też zachęta do publicznej sondy pt. »Przeleciałbym czy nie«. To samo tyczy się moich pośladków i innych części ciała. Cokolwiek tam macie w głowie, pisząc takie teksty, to nie jest ani fajne, ani sexy, ani zabawne, zapewniam" – napisała wzburzona Paschalska. Aktorka dodała też, że ma dość analizowania tego, jakie zdjęcia wrzuca. – Siedzę teraz i rozkminiam, czy to, że mam na wallu parę zdjęć, jak stoję w bikini (o zgrozo – tyłem), nie czyni ze mnie hipokrytki w kontekście tego posta – zastanawia się poruszona Kaja. Mamy superradę, która rozwiąże wszystkie dylematy za jednym zamachem. Nie wrzucać zdjęć w bikini, a najlepiej żadnych! Tadam! Tak, tak, wiemy, to nie przejdzie. Mamy więc radę numer dwa. Zamiast cycków niech wrzuca zdjęcia, na ten przykład, palca u nogi. Skończą się seksistowskie żarty. Tylko wtedy zasięgi klapną. I to dopiero byłby najprawdziwszy dramat.

FOT. PAWEŁ GROMADA

ODWAGA ZA MILIONY

Przy okazji niedawnego rankingu najbogatszych Polaków magazyn „Forbes" zrobił wywiad z Dominiką Kulczyk, która opowiadała, jak to jest żyć z piętnem miliarderki. Odpowiedziała, że zwyczajnie. – Zawsze miałam poczucie, że mam świetnych rodziców, najlepszych, jacy mogli mi się zdarzyć – mówi Kulczyk. – I nie miał tu żadnego znaczenia nasz status materialny, bo jako dziecko nie odczuwałam go aż tak mocno, choć oczywiście czułam, że niczego nam nie brakuje. O tym, że mój tato jest najbogatszy w Polsce, dowiedziałam się w wieku 15 lat, gdy „Wprost" zrobił pierwszy taki ranking. Moja mama była poważnie zatroskana, że pozwalamy umieścić się „na świeczniku". Tata zaczął się wszystkim z bogactwem kojarzyć i my, jako rodzina, zaczęliśmy być przez ten pryzmat postrzegani – opowiada. Motywuje także kobiety do działania i do tego, by pokazywały charakter. – Nie wyobrażałam sobie życia, w którym jestem miłą dziewczynką od wydawania kasy, uśmiechającą się i ładnie wyglądającą na wielkich rautach zdominowanych przez facetów. Ja jestem czymś dużo więcej i zawsze chciałam być dużo bardziej – mówi. – Zastanawiałam się, czy poradzę sobie w biznesie. Teoretycznie mogłam spakować walizki i wyjechać z dziećmi w ciepłe kraje. Ale to by była najprostsza droga. Pomyślałam: Niby dlaczego miałoby mi się nie udać? Nic nie zmienisz, jeśli się nie odważysz – dodaje. Pani Dominika pewnie nie wie, bo skąd ma wiedzieć, ale odwaga jest o wiele tańsza, gdy ma się miliony na koncie.

ŻYCZĘ SOBIE

Celebrytka Blanka Lipińska, której popularność przyniosło napisanie thrillera erotycznego, wzorowanego na „50 twarzach Greya", obchodziła niedawno urodziny. Z tej okazji postanowiła sama sobie złożyć życzenia. Oczywiście na Insta. – Wszystkiego najlepszego, Blaniu! – pisze sama do siebie, swój wpis okraszając swoim zdjęciem.

– Życzę sobie, bym umiała zwolnić! Życzę sobie miłości, która zatrzyma mój świat! Życzę sobie szczęścia i wdzięczności, które sprawiają, że płaczę, śmiejąc się! Miałam 35 lat na to, by udowadniać coś komuś, to strasznie dużo czasu...

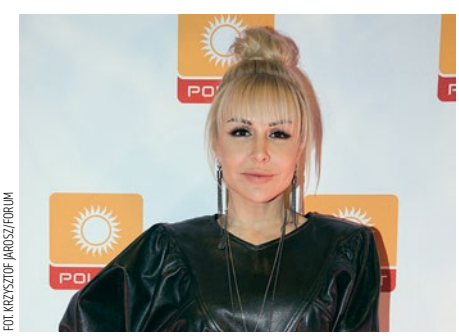

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

Teraz życzę sobie żyć! – pisze Blanka. A czy mogłaby żyć z dala od Internetu? To dopiero byłby piękny prezent dla świata! ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, miliarder Jeff Bezos poleciał sobie właśnie w kosmos w rakiecie, która miała kształt zdecydowanie falliczny. Trudno o bardziej jaskrawy przykład męskiej supremacji niż falliczna rakieta latająca nad wspólnym przecież niebem.

Oczekujemy, że kolejna rakieta, która zostanie wystrzelona w kosmos przez dowolną firmę lub instytucję, będzie zdecydowanie mniej patriarchalna. Im więcej waginalnych rakiet na orbicie, tym większy krok wykonujemy jako ludzkość na drodze do równouprawnienia oraz wyrównywania szans.

A już w ogóle pięknie by było, gdyby jakieś równościowe kolektywy opracowały kształt rakiety, który nie nasuwałby skojarzenia z żadną z płci. Ewentualnie skonstruowanie rakiety, która by wszystkie płcie zadowoliła.

W ostatnim czasie obserwujemy znaczący wzrost cen. Musimy jednak Was uspokoić – nie każda podwyżka musi Was martwić.

Na przykład ceny paliw. Większość z Was pewnie wspiera ekologiczny transport i wybiera rowery i hulajnogi. W ten sposób nie dość, że chronicie planetę, to jeszcze eliminujecie wpływ cen paliwa na Wasze życie. A jeśli już ktoś z Was posiada samochód, to niech jak zawsze tankuje za 50 zł i cyk, podwyżka ominięta.

Albo takie ceny mięsa. Jako osoby wege możecie się tylko cieszyć. Poza tym im więcej osób będzie rezygnować z mięsa, tym więcej może się zainteresować produktami roślinnymi. A jak wiadomo – im większy popyt, tym niższe ceny. To są podstawy ekonomii, kochani, bądźcie więc spokojni.

Właśnie rozpoczęły się kolejne igrzyska olimpijskie, rozgrywane w myśl średniowiecznej zasady, iż że ktoś robi coś szybciej, mocniej i wyżej, to jest lepszy od innych.

W tym roku przynajmniej nie będą tego oglądać kibice na stadionach, więc szkodliwy wpływ takiego myślenia będzie mniejszy niż w latach ubiegłych.

Denerwuje nas za to powtarzający się co cztery lata dyskurs, iż Polacy jadą po medale, i te oczekiwania wobec sportowców, iżby przywieźli wiele medali. A więc – ni mniej, ni więcej – a oczekujemy, iż pokażą innym sportowcom, że są od nich lepsi. To takie typowo polskie brawurowe myślenie – szabla w dłoń i hej na wroga.

My za to mamy nadzieję, iż przez polskich sportowców żadnym innym sportowcom nie będzie przykro i smutno, bo najważniejsze jest, iżby wszyscy tak samo dobrze (albo tak samo źle) się bawili. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Homofobiczne warunki

Robert, ilu ty masz w zasadzie członków?

W jakim sensie, Włodku?

Jak to w jakim? Normalnym. Muszę przecież coś odpowiadać, jak mnie pytają, z kim my się właściwie zjednoczyliśmy. Nie mogę przecież mówić, że z jakąś grupą 20 twoich kumpli.

Wiesz, to jest trudne pytanie, dawno nie liczyłem.

Jak nie liczyłeś? To nie masz jakiegoś rejestru? Ludzie wam chyba jakieś składki płacą? Musisz coś mieć, człowieku!

No dobrze, już dobrze, nie krzycz na mnie, bo mnie to stresuje. Zaraz policzę: ja, Krzysiu, w zarządzie mamy sześć osób, ale to już ze mną, posłanek i posłów chyba 17, ale to już z Krzysiem, to będzie 16, ostatnio sąsiada zapisałem, to będzie jednak 17...

Jaja sobie robisz?! Człowieku, to jest poważna sprawa, jak wyjdzie, że ta twoja partyjka to jest jakiś gejowski klub towarzyski, to mnie zjedzą!

Przestań krzyczeć! Ja w takich homofobicznych warunkach liczył nie będę! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dziś władza, kiedy mówi »suwerenność«, myśli o tym, jak panować nad człowiekiem".

DONALD TUSK, *były premier, podczas wiecu ze swoimi sympatykami w Gdańsku*

eprasa.pl 2139ab4c34

dwaj panowie g

Wakacji w polityce nie będzie, ale ci, którzy sądzili, że ostre zmiany zaczną się po tym, jak kongres PiS dokooptował premiera Mateusza do władz partii, są w mylnym błędzie. Od kongresu PiS czy obrad Rady Politycznej partii znacznie ważniejsze jest inne wydarzenie: urlop naczelnika.

Dla szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego urlop to bowiem nie tylko okazja, by błysnąć oryginalną pelerynką. Na urlopie prezes PiS na nowo układa sobie w głowie rozmaite zaskakujące roszady. Z dala od wszystkich, którzy go łapią za rękaw. Więc jesienią będzie się wiele działo.

O niektórych planowanych wymianach ministrów już pisaliśmy. Dziś kolejne info. Taki minister rolnictwa, na przykład, to siedzi sobie cichutko jak mysz pod miotłą i sądzi, że wszystko jest OK. Otóż nie. Złe języki mówią, że jesienią on także zostanie zrekonstruowany. Niektóre wiewiórki precyzują: wielka zmiana planowana jest na grudzień.

Wiewiórki opowiadają, że zmiany w ustawie medialnej wywalające w powietrze układ właścicielski TVN jednak przejdą. Choćby się Ameryka i Europa piekliły, ile chcą. Na szczytach władzy panuje bowiem przekonanie, że kopać nas będą i tak, więc lepiej, żeby kopali za coś, co się zrobiło, niż za coś, czego się nie zrobiło.

Z okazji otwarcia igrzysk olimpijskich w Tokio z kurtuazyjną wyprawą do Japonii wybrał się prezydent Andrzej Sebastian. To wszyscy wiedzą. Ale mało kto wie, w jakim poleciał towarzystwie. Otóż zabrał ze sobą Marcina Mastalerka, popularnego Mastę. Niegdyś rzecznika PiS. Wiewiórki mówią, że bliska współpraca Andrzeja i Masty ma zostać zacieśniona.

Do Tokio mieli też lecieć premier Mateusz, wicepremier Gliński oraz wicepremier Sasin. Mateusz scedował honor na Glińskiego, ten zrezygnował, a Sasin zrezygnował i bez cedowania. Wszystko przez wyjątkowo restrykcyjne restrykcje pandemiczne obowiązujące w Japonii. I my to w pełni rozumiemy.

Teraz o dyplomacji w wymiarze mniej olimpijskim. Źli ludzie opowiadają, że polski ambasador w Brukseli, niejaki Andrzej Sadoś, miał wywołać kontrowersje. Otóż jednemu z wpływowych rozmówców miał oświadczyć, że Polska wygasza swoje zainteresowanie kierunkiem wschodnim, a w szczególności Ukrainą. I będzie się teraz bardziej orientować na Afrykę. Problem polega na tym, że polska dyplomacja nic o tym nie wie.

Uwaga, mamy ostateczny dowód na to, że Polak lepszy jest od Niemca. Pamiętacie Polska Press? Taki koncern medialny kupiony od Niemca przez Orlen? Otóż polityka Niemca przez lata była taka sama: wydrenować i oszwabić. Stąd zarobki dziennikarzy po 1,5 tys. ziko na łebka. Po zmianie właściciela stał się cud: nowi naczelni się zbiesili i zażądali pieniędzy dla podwładnych. Wiewiórki opowiadają, że bunt dowodzony jest przez Kraków i Poznań.

Apropos Polska Press. Miało miejsce ostatnio wielkie spotkanie rozmaitych naczelnych i wicków gazet tej firmy z całej Polski. Odkryto na nim, że Dorota Kania jest najodważniejszym człowiekiem w Polsce. Powiedziała bowiem naczelnym, że gdyby jacyś PiS-owcy próbowali wywierać na nich naciski, to mają to zgłaszać do niej, a ona już sobie z nimi (PiS-owcami, nie naczelnymi) poradzi. Gdyby PiS-owcy mieli takie cojones jak Kania, to partia miałaby w sondażach 60 proc. poparcia.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Eine Totalopposition. W izbie hejtu i glejtu, zwanej dla niepoznaki Senatem, spotkali się Zły Donald z Sopotu oraz senatorowie opozycji. Senatorowie skarżyli się na PiS przez dwie godziny, a monarcha Donald milczał lub odpowiadał zdawkowo. Senator Bosacki podsumował: „Było tak, jak sobie wymarzyliśmy". Po marzeniach ich poznacie, mówi Pismo.

Objawił się i inny rozmarzony słuchacz – Jerzy Urban, Goebbels stanu wojennego. Jeszcze jeden koneser, który wyznał, że „chętniej słucha teraz Tuska niż kompozytorów klasycznych, jak Bachy, Beethoveny i inne Mozarty", gdyż „Tusk to jest piękna melodia". W sumie jak popatrzymy na tę opozycyjną menażerię w Senacie, to Urban nam pasuje. I jako słuchacz, i jako dyrygent.

Wielki Przewodniczący Czao Czarzasty nie rozmawiał co prawda ze Złym Donaldem, ale ogłosił, że gdyby rozmawiał, to o dwóch warunkach poparcia dla nowego rządu: podwyżkach dla budżetówki i walce z umowami śmieciowymi. Głupia sprawa – jeśli przewodniczący Czao chciałby poprzeć rząd, który ma te punkty w planach, to nie musi szukać Donalda. Wystarczy, że poprze rząd PiS.

Nie pytaj, co Tusk może dla ciebie zrobić, pomyśl, jak ty możesz wspomóc Tuska" – to internetowe hasło rozpowszechniane przez Staszka Gawłowskiego. Czyli dawną gwiazdę PeŁo, co siedziała kiedyś w pierdlu, a teraz siedzi w Senacie. Postulat Staszka jest słuszny. I zbieżny z tendencjami wśród elektoratu. Jak pamiętacie, Platforma zawsze wygrywała w więzieniach.

Na koniec wieści z resortu zdrowia. Otóż nie ma tam od dawna zastanawiania się, czy czwarta fala pandemii będzie czy nie będzie. Wszyscy wiedzą, że będzie. Odpowiednie instrukcje poszły już do szpitali, gdzie też mamy swoje wiewiórki, które opowiadają, że atmosfera jest jak w okopach przed ofensywą. Niestety chodzi o ofensywę wroga. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

INWESTYCJE

Domy modułowe dla każdego

Bartosz Dąbrowski

Całoroczny dom gotowy do zamieszkania już w kilka tygodni od zamówienia? Zgadza się. HModular to najwyższej jakości domy modułowe wykonane w najnowocześniejszej technologii prefabrykacji betonowej. Transport i montaż wykończonego domu z meblami zajmują... jeden dzień

Wielu Polaków, na skutek pandemii koronawirusa, zaczęło rozglądać się za odskocznią od miasta i szukać bezpiecznego miejsca do wypoczynku. Doskonałą odpowiedzią na tego typu potrzeby jest budowa domu do 35 mkw. na zgłoszenie, czyli w uproszczonej procedurze, bez pozwolenia na budowę. Domy takie charakteryzują się prostą konstrukcją oraz niskimi kosztami budowy i użytkowania. I, co najważniejsze, istnieje możliwość postawienia takiego domu w ekspresowym tempie, korzystając z wyspecjalizowanych firm budownictwa modułowego. Jedną z takich firm jest wchodzący w skład Grupy Inwest producent materiałów prefabrykowanych HM Factory sp. z o.o., który tego lata wprowadził na rynek produkt pod nazwą HModular.

NAJWYŻSZY STANDARD

HModular to domy modułowe wykonane w technologii prefabrykacji betonowej, będące atrakcyjną alternatywą dla domów wykonanych w konstrukcji lekkiej – drewnianej, stalowej bądź z kontenerów. Dzięki betonowej konstrukcji są to wysokiej jakości budynki całoroczne, charakteryzujące się doskonałymi parametrami cieplnymi i akustycznymi. Moduły, z których się je składa, produkowane są w fabryce HM Factory, gdzie od lat wytwarzane są też spełniające najwyższe europejskie standardy elementy prefabrykowane dla budownictwa mieszkaniowego wykorzystywanego w Polsce i w Skandynawii.

HModular przeznaczony jest dla każdego, kto marzy o własnym domu z przestrzenią i ogrodem. To marzenie można zrealizować w ciągu kilku godzin bez ponoszenia wysokich kosztów. Nie trzeba angażować się w skomplikowany proces budowlany. Taki dom, co ważne, będzie nam służył nie tylko na weekendowy wypad za miasto czy w czasie dłuższego urlopu, lecz także będzie spełniał funkcję samowystarczalnego obiektu całorocznego. HM Factory oferuje domy zarówno w standardzie deweloperskim, jak i pod klucz – czyli łącznie z wykończeniem i meblami w zabudowie oraz ruchomymi.

IDEALNA ALTERNATYWA

Oferta przeznaczona jest zarówno dla klienta indywidualnego, który chce zainwestować w miejsce rekreacji na swojej działce, jak i dla przedsiębiorcy, chcącego zbudować domki pod wynajem lub urządzić sobie biuro. Ciekawą opcją jest również zakup domku modułowego dla gości, zapewniającego im komfort w osobnej przestrzeni z własną łazienką.

Warto też pamiętać, że w ramach Polskiego Ładu prawdopodobnie od 1 stycznia 2022 r. bez pozwolenia na budowę będzie można postawić dom o powierzchni do 70 mkw. Przy tak dużej konstrukcji tym bardziej warto będzie skorzystać z renomowanej firmy specjalizującej się w budownictwie modułowym.

Więcej informacji na stronie: https://hmodular.pl/.

Artykuł przygotowany we współpracy z HM Factory sp. z o.o.

Grupa Inwest
HM FACTORY Sp. z o.o.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 2139ab4c34

TURÓW: Trójstyk granic – węglowe wyzwanie przekuć w rozwój regionu

Kwestia wydobycia węgla u styku granic Polski, Czech i Niemiec budzi ostatnio emocje. Jak przekonują samorządowcy i eksperci, to doskonały moment na zacieśnienie współpracy w regionie, w którym po każdej stronie granicy funkcjonuje łącznie 10 kopalni węgla brunatnego

Pięć po czeskiej, cztery po niemieckiej i jedna po polskiej stronie granicy – tyle kopalni węgla brunatnego jest obecnych w tzw. trójstyku granic. Region stoi przed wyzwaniami, które zbyt rzadko wybrzmiewają w dyskusji dotyczącej transformacji energetycznej. O tym, jak sobie z nimi poradzić i zmienić to, co nieuniknione, w motor rozwoju regionu, rozmawiali uczestnicy trójstronnej debaty, zainicjowanej przez PGE, która odbyła się w Bogatyni.

NIEZBĘDNA WSPÓŁPRACA

Nadszedł moment, w którym region trójstyku granic Polski, Czech i Niemiec musi wytyczyć swoją ścieżkę transformacji energetycznej oraz wizję przyszłości bez węgla, na którym opierają się lokalna gospodarka, rynek pracy, a przez to i budżety okolicznych samorządów.

W opinii uczestników dyskusji, wybrzmiewało przekonanie o przewadze kompleksowego spojrzenia na region w kontekście transformacji i wspólnych transgranicznych działań, nad niezależnymi działaniami poszczególnych gmin. Wskazywano na konieczność poszukiwania wspólnych, przyszłościowych rozwiązań na płaszczyźnie środowiskowej, społecznej i gospodarczej z uwzględnieniem potrzeb lokalnych mieszkańców. Nasi mieszkańcy chcą przystępnych cen energii, które mogą spaść, jeśli wykorzystamy środki na transformację. Trzeba im zapewnić to, czego oczekują, czyli stabilne miejsca pracy, czyste środowisko i bezpieczne dostawy zielonej energii – to jest właśnie sprawiedliwa transformacja – mówił Jerzy Buzek, były premier, członek Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii Parlamentu Europejskiego (ITRE).

Zdaniem panelistów jednym z najważniejszych wyzwań dla regionu będzie stworzenie nowych miejsc pracy. Obecnie kopalnie po trzech stronach granicy zapewniają pracę 50 tys. osób.

Jak podkreślał inicjator spotkania, Wojciech Dąbrowski – prezes Zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej: Aby transformacja energetyczna była sprawiedliwa, musi zostać przeprowadzona w sposób skoordynowany, nie może być to dzika transformacja. Proces modernizacji energetyki i polityka klimatyczna nie powinny być oderwane od ludzi, dlatego niezbędne jest długofalowe planowanie na podstawie konkretnych projektów twardych inwestycji oraz programów społecznych z finansowaniem zapewnionym w ramach funduszy sprawiedliwej transformacji.

Na długofalowość procesów zmian zwracała uwagę Anna Zalewska, która przytoczyła przykład Wałbrzycha, gdzie zamknięcie kopalń doprowadziło do długoletniej zapaści miasta. O wrażliwość społeczną i czas na przeprowadzenie sprawiedliwej transformacji apelowali samorządowcy – burmistrz miasta i gminy Bogatynia Wojciech Dobrołowicz oraz Artur Bieliński, starosta zgorzelecki. Z kolei marszałek województwa dolnośląskiego Cezary Przybylski przypominał o konieczności zbudowania strategii zmian gospodarczych na pograniczu. Zwracano także uwagę, że bez wsparcia ze środków Unii Europejskiej nie będą w stanie zrealizować nawet części z zakładanych projektów, a Fundusz Sprawiedliwej Transformacji to kropla w morzu.

PRZYKŁAD Z NIEMIEC

Paneliści zwracali uwagę na doświadczenia innych krajów. Dotyczyło to m.in. procesu restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego w Niemczech – w Zagłębiu Ruhry i kraju Saary. Jej istotnymi elementami były inwestycje w badania i rozwój, tworzenie centrów badawczych, uniwersytetów i parków technologicznych, wsparcie dla transferu technologii oraz dla MŚP. Nowe miejsca pracy tworzone były przede wszystkim w sektorze. Dodatkowo prowadzona jest tam polityka, która ma na celu zapewnienie miejsc pracy w sektorach niewęglowych.

WIZJA PRZYSZŁOŚCI REGIONU

Dostrzeżenie wspólnych szans, kontynuowanie transformacji z poszanowaniem interesu społecznego, korzystanie z synergii i wzajemnych doświadczeń – to kluczowe wnioski z debaty. Najważniejszym zaś jest przekonanie o konieczności kontynuowania regionalnych uzgodnień i realizacja wspólnych działań.

TURÓW: WODA POD OCHRONĄ

Bogatyńska debata toczyła się w chwili, gdy trwają rozmowy polskiego rządu z rządem Czech w związku ze skargą Czech do TSUE na działanie kompleksu Turów. Obserwatorzy ostatnich wydarzeń zwracają uwagę m.in. na jej wpływ na środowisko – w tym na ochronę wód powierzchniowych i głębinowych w regionie, co pozostaje jednym z priorytetowych zadań PGE.

Już w latach 60. XX w. kopalnia Turów rozpoczęła budowę podziemnego ekranu o długości ponad 4 km, funkcjonującego na terenie kopalni wzdłuż granicy z Niemca-

eprasa.pl 2139ab4c34

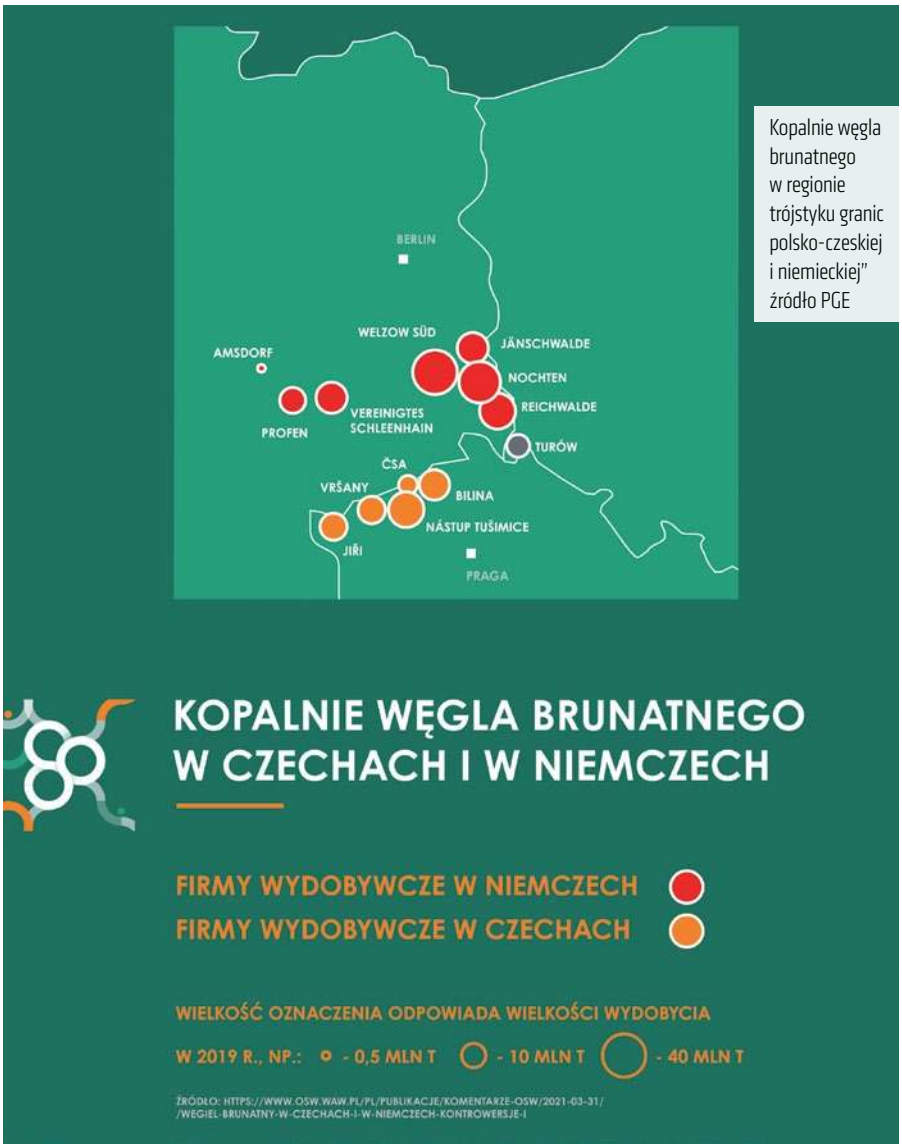

Kopalnie węgla brunatnego w regionie trójstyku granic polsko-czeskiej i niemieckiej" źródło PGE

mi, chroniącego wody po stronie niemieckiej, w tym graniczną rzekę Nysę Łużycką. Przesłona spełnia swoje zadanie od 1987 r.

Obecnie dobiega końca budowa podobnego ekranu przeciwfiltracyjnego, który dodatkowo zabezpieczy sąsiadujące z kopalnią tereny po czeskiej stronie granicy przed potencjalnym odpływem wód gruntowych. Inwestycja będzie gotowa we wrześniu br., a jej koszt wynosi ok. 17 mln zł. Więcej informacji o ekranie dostępnych jest pod adresem: www.youtube.com/watch?v=trdTHL_pexw. Dodatkowo w 2017 r. ukończono rozbudowę trzeciej oczyszczalni wód kopalnianych nad potokiem Ślad, którą wyposażono w instalację odwadniania osadów, wydatkując 43 mln zł.

MNIEJ HAŁASU I PYŁÓW

Kopalnia i elektrownia Turów są na bieżąco monitorowane zarówno w zakresie hałasu, jak i stężeń pyłów. W latach 2016–2020 kopalnia zainwestowała ok. 15 mln zł w wymianę krążników przenośników taśmowych na nowocześniejsze tzw. krążniki cichobieżne, o lepszych parametrach akustycznych. Ograniczeniu emisji pyłów służą głównie intensywne zraszanie przesypów i punktów załadunkowych oraz dodatkowe zraszanie dróg w rejonie zasobnika. Inwestycja znacząco przyczyniła się do eliminacji problemu zapylenia ze zweryfikowaną badaniami 98-procentową skutecznością. Obecnie trwają prace nad budową ekranu przeciwwiatrowego, którego zadaniem będzie ograniczenie emisji niezorganizowanej z zasobnika węglowego poprzez ograniczenie siły wiatru w jego rejonie. Szacowany koszt inwestycji to ok. 20 mln zł.

Kopalnia prowadzi także rekultywację terenów pogórniczych, na których nie jest prowadzona już działalność wydobywcza. Na zrekultywowanym w 2008 r. zwałowisku posadzono ok. 22 mln drzew. Teren zwałowiska przekazany został Lasom Państwowym. Obecnie byłe zwałowisko zewnętrzne stanowi kompleks leśny, cenny dla gminy Bogatynia.

NIEZBĘDNA PRODUKCJA ENERGII

Te i wiele innych inwestycji prośrodowiskowych dokonywanych w ramach transformacji energetycznej Kompleksu Turów znacząco przyczyniło się do ochrony wód, poprawy jakości powietrza i eliminacji hałasu. Ze względu na odstawienie istniejących mocy wytwórczych i zapotrzebowanie polskiego systemu elektroenergetycznego w maju 2021 r. oddano do użytku jeden z najnowocześniejszych w Europie bloków energetycznych o mocy 450 MW, którego uruchomienie zapewniło stabilne dostawy energii dla ok. 1 mln odbiorców, niezbędne podczas przewidzianego na wiele lat procesu transformacji energetycznej i gospodarczej regionu.

Blok, który zastąpił wyłączone wcześniej stare bloki nr 8, 9 i 10 (206 MW każdy), spełnia unijne normy emisyjności. Emisja dwutlenku siarki jest prawie 20 razy mniejsza, emisja pyłów – blisko 10 razy, emisja dwutlenku węgla o ok. 15 proc. niż w przypadku zastępowanych bloków. Nowo oddany blok energetyczny to jeden z kluczowych elementów Krajowego Systemu Elektroenergetycznego. Będzie odgrywał bardzo ważną rolę w systemie krajowego bezpieczeństwa energetycznego do czasu, kiedy w systemie pojawią się niskoemisyjne i stabilne moce wytwórcze.

NIE TYLKO ENERGIA ELEKTRYCZNA

Elektrownia Turów oprócz energii elektrycznej produkuje także ciepło, które codziennie płynie do lokalnych odbiorców. Tanie ciepło stanowi pod względem ekologicznym i ekonomicznym najlepsze rozwiązanie dla pobliskich mieszkańców, a także przyczynia się do redukcji niskiej emisji i zjawiska smogu. Wkrótce ciepło z Elektrowni Turów popłynie do kolejnej dzielnicy Bogatyni – Trzcińca. W tej sprawie w marcu przedstawiciele Elektrowni Turów, gminy Bogatynia oraz Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej w Bogatyni podpisali list intencyjny.

Więcej informacji odnośnie do Kompleksu Energetycznego Turów dostępnych jest pod adresem: https://turow2044.pl.

eprasa.pl 2139ab4c34

eprasa.pl 2139ab4c34

Są wśród polskich europosłów tacy, którzy zrobią wszystko, by zaszkodzić PiS. Są jednak i tacy, dla których UE powinna stać się naszą „ojczyzną", a kraj jedynie jednym z „landów" zjednoczonej Unii FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Unijczycy polskiego pochodzenia

Jan Fiedorczuk

Prawdziwym dramatem polskiej polityki jest to, że funkcjonują w niej osoby, które czują się bardziej związane z abstrakcyjną Unią Europejską niż realnym państwem polskim

W połowie maja Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej przychylił się do wniosku czeskich władz i nakazał Polsce natychmiastowe wstrzymanie wydobycia w Kopalni Węgla Brunatnego „Turów" do czasu ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy.

W konflikt zaangażowały się najważniejsze osoby w państwie, w tym sam premier Morawiecki, który zapewnił, że polski rząd nie podejmie żadnych działań godzących w bezpieczeństwo energetyczne państwa. Sprawa szybko zyskała rozgłos, a opozycji posłużyła do ataku na partię rządzącą, która od kilku miesięcy znajduje się w pełzającym kryzysie. Żadne nazwisko jednak tak często nie pojawiało się w kontekście tego sporu jak europoseł Róży Thun.

MANEWRY RÓŻY THUN

Po raz pierwszy kontrowersyjna polityk przypomniała o sobie, gdy wiceminister Sebastian Kaleta zamieścił na Twitterze wpis poświęcony sędzi Silvie de Lapuerta, która jednoosobowo nakazała natychmiastowe zamknięcie polskiej kopalni. „Brawo, Pani Sędzio!" – skomentowała Thun. Jej wypowiedź wywołała falę krytyki, a w dyskursie kolejny raz wybrzmiały takie określenia jak „zdrada" czy „targowica". – Przykre. Bo nie mam wątpliwości, że triumfalizm Róży Marii Barbary gräfin von Thun und Hohenstein wynika wyłącznie z tego, że TSUE... zaszkodził Polsce – komentował prezes Ordo Iuris, mec. Jerzy Kwaśniewski.

Niedługo później na jaw wyszło, że europosłanka już tydzień przed decyzją TSUE lobbowała przeciwko rodzimej kopalni. Thun wraz z Janiną Ochojską oraz Sylwią Spurek podpisała się pod listem europosłów do KE, w którym przekonywano, że „nadszedł czas, aby Komisja Europejska wykorzystała wszystkie dostępne instrumenty, by chronić obywateli zamieszkujących narażone tereny", i rozpoczęła procedurę naruszeniową przeciwko Polsce.

Sam konflikt polsko-czeski ponownie naświetlił fundamentalną oś podziału przebiegającą przez nasze społeczeństwo. Co więcej, w tym samym czasie, gdy spór nabierał mocy, Thun kolejny raz zaangażowała się w działania przeciwko polskiej suwerenności. W połowie maja zaczęła ponaglać Komisję Europejską, żeby zastosowała mechanizm warunkowości względem państw „łamiących praworządność" (chodziło o Polskę i Węgry). Europosłanka

eprasa.pl 2139ab4c34

zaczęła nawet grozić KE, że ją pozwie za bezczynność. „Nie możemy być biernymi świadkami coraz głębszego kryzysu praworządności w UE. Komisja Europejska dysponuje mechanizmem warunkowości (pieniądze tam, gdzie przestrzegane jest prawo), ale go nie stosuje. Rozważamy pozew za bezczynność" – napisała na Twitterze.

Zasadę unijnego patriotyzmu w sposób najbardziej otwarty wyraził poseł Koalicji Obywatelskiej Krzysztof Mieszkowski, który określił swoje środowisko mianem „Europejczyków polskiego pochodzenia"

W przypadku Thun widać jak na dłoni, że poczucie lojalności względem własnego państwa już dawno ustąpiło miejsca abstrakcyjnym ideom, „wartościom europejskim" oraz unijnym instytucjom. Europosłanka najpierw prosząca KE o interwencję w sprawie Polski, a następnie grożąca Komisji pozwem, jeżeli ta nie przejedzie walcem po Warszawie, to jedynie pewien wyraz szerszej tendencji, która od lat drąży polskie życie publiczne.

Stawką w tej grze jest suwerenność – podstawowy atrybut państwowości. Sam konflikt jest nieodłączną częścią polityki (szczególnie w jej demokratycznej odsłonie), jednakże ramy wszelkich sporów partyjnych muszą być ograniczone ideą dobra wspólnego. Dlatego prawdziwym dramatem jest to, że w polityce funkcjonują osoby, które czują się bardziej związane z abstrakcyjną Unią Europejską niż z realnym państwem polskim.

UNIA JAKO OJCZYZNA

Thun reprezentuje styl myślenia charakterystyczny dla grupy osób, które porzuciły już klasycznie rozumiane przywiązanie do ojczyzny, sytuując się na pozycjach uniocentrycznych, dlatego też ich polityczną aksjologię – jeżeli to szumne określenie jest w ogóle adekwatne w tym wypadku – najlepiej oddaje określenie „unijczycy". Sprawa jest złożona i sprowadzenie jej wyłącznie do antypolonizmu byłoby błędnym uproszczeniem. Nie chodzi o to, że wypowiedzi np. Róży Thun są przesiąknięte ojkofobią, tylko że dla europosłanki to właśnie Unia Europejska jest naczelnym obiektem politycznej lojalności.

Dla przykładu – na początku zeszłego roku europosłowie wybrani z list Koalicji Europejskiej z entuzjazmem głosowali przeciwko państwu polskiemu, co – jakkolwiek katastrofalne samo w sobie – wydaje się jednak „jedynie" filarem ich polityki antypisowskiej. Skoro Kaczyński ma Warszawę, to my będziemy mieli Brukselę – na takiej, dość cynicznej, zasadzie Platforma Obywatelska oparła swój byt polityczny w ostatnich latach. Przyjęcie rezolucji potępiającej Polskę oraz optowanie za powiązaniem wypłat funduszy z tzw. postulatem praworządności jest kompromitujące dla każdego polskiego polityka, jednak dla większości z europosłów PO była to właśnie wyłącznie kwestia taktyki politycznej. Takiego Radosława Sikorskiego, Ewę Kopacz czy nawet Donalda Tuska trudno określić mianem „unijczyków", gdyż ich przywiązanie do Brukseli jest podyktowane raczej politycznym wyrachowaniem i kunktatorstwem. Na ich tle osoby pokroju Róży Thun czy Sylwii Spurek ewidentnie się wyróżniają, gdyż nie sposób nie odnieść wrażenia, że nie uczestniczą one w żadnym teatrze politycznym, ale rzeczywiście działają z pobudek ideowych czy nawet quasi-patriotycznych. Ten patriotyzm jest jednak dosyć osobliwy, gdyż punktem odniesienia staje się nowa ojczyzna, w której Polska odgrywa rolę zaledwie jednego z wielu landów.

Dlatego też gdy wybuchł kryzys wokół kopalni w Turowie, to np. posłanka Klaudia Jachira momentalnie stanęła po stronie adwersarzy państwa polskiego – właśnie państwa, a nie rządu, gdyż spór dotyczy bezpieczeństwa energetycznego oraz suwerenności polskiej wspólnoty politycznej i sprowadzenie go do poziomu partyjnej kłótni jest przejawem skrajnego infantylizmu. To kwestia graniczna, która rozróżnia postawę propaństwową od prounijnej – tertium non datur. „Kryzys wokół Turowa pokazuje bezradność rządu, prezydenta i Kaczyńskiego – oni w ogóle nie potrafią rozmawiać, a na problemy reagują agresją. Umieją tylko obiecywać, rozdawać i dalej nas zadłużać. Zachowują się jak patologiczni rodzice, dlatego UE założy nam niebieską kartę" – napisała Jachira na Twitterze. Kluczowe jest właśnie to pozycjonowanie kierownictwa własnego państwa jako „patologicznych rodziców", a Brukseli jako nadrzędnej względem nich władzy, która może założyć niebieską kartę i której winniśmy posłuszeństwo.

Tę zasadę unijnego patriotyzmu w sposób najbardziej otwarty wyraził poseł KO Krzysztof Mieszkowski, który kilka miesięcy temu określił swoje środowisko mianem „Europejczyków polskiego pochodzenia". Ze względu na to, że te słowa padły na konferencji, podczas której poseł domagał się powiązania unijnych funduszy z tzw. mechanizmem praworządności, jest to przełomowa deklaracja. Do tej pory kręgi lewicowo-liberalne raczej unikały posądzenia o kosmopolityzm czy ojkofobię, przekonując, że bezwarunkowe poparcie dla Brukseli wynika z troski o dobro państwa polskiego. Mieszkowski przesuwa granicę i przekracza te narodowe bariery, sytuując się na pozycjach post-Polaka, który dojrzał do porzucenia swoich lokalnych zobowiązań na rzecz „europejskiej republiki". To nihilizm narodowy, narodowa apostazja, w ramach której polskość zostaje zredukowana do ciekawostki etnograficznej. Bruksela staje się głównym obiektem lojalności, a interes polski zostaje podporządkowany europejskiemu.

W związku z tym jakakolwiek racjonalna dyskusja nie ma sensu, gdyż dla „unijczyków" kwestia członkostwa Polski w strukturach UE jest aksjomatem. Dogmatów wiary nie poddaje się pod dyskusję. Można je jedynie zaakceptować bądź odrzucić. Dlatego też u radykalnych euroentuzjastów taką wściekłość wywołują nie tylko dyskusje nad członkostwem Polski w Unii, lecz także nawet wszelkie próby korekty brukselskiej polityki.

eprasa.pl 2139ab4c34

Dowodem może być prawdziwa histeria, która wybuchła wokół jednego z zeszłorocznych numerów „Do Rzeczy", gdzie postawiono pytanie o samą możliwość ewentualnego polexitu. Wszelkie racjonalne argumenty przestały mieć wówczas znaczenie, a liberalne redakcje zapłonęły fanatycznym wzburzeniem. To, że Rafał A. Ziemkiewicz w okładkowym artykule wcale nie postulował opuszczenia UE, nie miało żadnego znaczenia. Zdaniem „unijczyków" członkostwo Polski w UE jest wartością samą w sobie, a ocenianie go pod kątem tego, jak służy państwu polskiemu, to czysta herezja. Jak stwierdził europoseł Wiosny Łukasz Kohut: „Cokolwiek zrobicie, jak daleko posuniecie się w polityce wychodzenia z Unii, Śląsk zostanie w Europie. A przyjaciół z Europy proszę: Don't let us walk alone". Ergo – tożsamość unijna jest ważniejsza od tożsamości polskiej, która to tak długo przejawia jakąś wartość, jak długo jest wkomponowana w paneuropejski projekt. Jeżeli natomiast dochodzi do konfliktu na linii Bruksela–Warszawa, to należy stanąć bezwarunkowo po stronie UE. Dlatego też, gdy w ostatnich latach dochodziło do takich sporów, to Thun czy Spurek momentalnie zaczynały domagać się nałożenia sankcji na państwo polskie. Były lojalne wobec Brukseli.

PROUNIJNOŚĆ TOTALNA

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy dziennikarze Onetu i „Rzeczpospolitej" oburzali się naszą okładką, w izbie niższej parlamentu trwała burzliwa dyskusja nad Funduszem Odbudowy, podczas której część polityków Solidarnej Polski groziła zawetowaniem projektu, co ponownie wywołało histerię w szeregach opozycji. Na czoło liberalnego peletonu wysunęła się wówczas Klaudia Jachira, która grzmiała z mównicy sejmowej, że wstydzi się tego, że jest Polką, oraz dziękowała holenderskiemu rządowi za to, że zajął się „kwestią łamania praworządności w Polsce".

Dyskusja nad ratyfikacją KPO uwypukliła dysonans między stanowiskiem prounijnym ze względów taktycznych (antypisowskich) a prounijnością ideową (by nie rzec – totalną). Europejskie porozumienie finansowe w naturalny sposób jest powiązane z pogłębioną integracją kontynentu. Oprócz uwspólnotowienia długu, w czym wielu komentatorów dopatrywało się „momentu hamiltonowskiego" UE, Bruksela zyskała również nowe prerogatywy kosztem suwerenności państw członkowskich (ustalanie nowych podatków). O ile politycy z kręgów PO podkreślali podczas dyskusji, że fundusze unijne są wielką szansą dla Polski (to, że ostatecznie nie poparli KPO, mówi wszystko o przywództwie Borysa Budki), o tyle pokolenie młodej lewicy spod sztandarów partii Razem argumentowało na zupełnie innym poziomie.

– Pan minister Ziobro mówi, że będzie głosować przeciwko, bo Fundusz to jest federalizacja Europy, krok w stronę europejskiego superpaństwa. Odpowiadam panu Ziobrze: nie myli się pan, panie ministrze. To jest pogłębienie integracji europejskiej. I bardzo dobrze, że tak jest – przemawiał w Sejmie poseł Lewicy Adrian Zandberg.

Jego słowa następnie ochoczo potwierdziła inna poseł Lewicy Magdalena Biejat. – Unia Europejska przestaje być tylko unią wspólnych interesów handlowych, a staje się tworem, który myśli również o prawach socjalnych i pracowniczych – mówiła w rozmowie z Radiem Wnet.

Tutaj dotykamy kwestii kluczowej. O ile opozycja totalna jest gotowa głosować za dosłownie każdym rozwiązaniem, które uderzy w znienawidzony „reżim" PiS, o tyle „unijczycy" popierają radykalną integrację ze szczerych pobudek ideowych. Na końcu obranej przez nich drogi widnieją kres państwa polskiego oraz narodziny Stanów Zjednoczonych Europy. Ich nadejście oficjalnie wieszczył swego czasu Martin Schulz. Obecnie o Schulzu już nikt nie pamięta, ale jeszcze kilka lat temu powszechnie mówiło się, że ma szanse zastąpić Angelę Merkel na funkcji kanclerza Niemiec, stając się tym samym jednym z najważniejszych polityków w UE. „Do 2025 r. powstaną Stany Zjednoczone Europy. Kto się nie podporządkuje, ten opuści Unię Europejską" – deklarował nie tak dawno ówczesny lider SPD.

Gdy w 2004 r. wchodziliśmy do UE, tego typu deklaracje były przyjmowane z lekkim uśmiechem politowania zarówno wśród sceptyków, jak i entuzjastów europejskiej integracji. Dzisiaj jednak enuncjacje pokroju słów Schulza są na porządku dziennym. Na przykład cytowany już europoseł Kohut swego czasu zasłynął stwierdzeniem, że na Śląsku zostanie wywołane powstanie przeciwko państwu polskiemu, jeżeli TVP nie przestanie emitować materiałów krytycznych względem Unii Europejskiej. Z kolei Róża Thun należy (wraz z np. Danutą Hübner oraz Pawłem Świebodą) do Grupy Spinelli – organizacji dążącej do całkowitej federalizacji UE. Nazwa wywodzi się od włoskiego komunisty Altiero Spinellego, który w głośnym manifeście z Ventotene postulował likwidację suwerennych państw, zniesienie bądź ograniczenie własności prywatnej oraz przeprowadzenie „europejskiej rewolucji socjalistycznej". Jego imieniem został nazwany jeden z głównych budynków Parlamentu Europejskiego.

O ile opozycja totalna jest gotowa głosować za każdym rozwiązaniem, które uderzy w „reżim" PiS, o tyle „unijczycy" popierają radykalną integrację ze szczerych pobudek ideowych

Również „Europejczyk polskiego pochodzenia", nieoceniony poseł Mieszkowski, stwierdził, że opowiada się za przekształceniem UE w jednolity organizm polityczny, który dysponowałby wspólną walutą, armią, suwerenną polityką zagraniczną, rządem, prezydentem itd. „Jestem zwolennikiem Rzeczypospolitej Europejskiej, czyli odejścia od państw narodowych. Taki kierunek musimy przyjąć" – podkreślał w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej". Gdy prowadzący rozmowę Robert Mazurek wytknął politykowi, że domaga się on de facto likwidacji państwa polskiego, ten nawet nie próbował zaprzeczać. „Jesteśmy dziś częścią Unii

eprasa.pl 2139ab4c34

Europejskiej i bylibyśmy w przyszłości częścią Rzeczypospolitej Europejskiej, tak jak województwo śląskie jest częścią Polski" – przyznał poseł.

Porównanie państwa polskiego do unijnego województwa (mówmy wprost – landu) jest wymownym podsumowaniem aspiracji „unijczyków". Polska ma zostać zredukowana do wymiaru jednostki regionalnej. Mieszkowski zachwala swój projekt, przekonując, że w takim państwie nie byłoby miejsca na żadnego typu nacjonalizmy, co w przełożeniu na nasze znaczy tyle, że nie byłoby tam miejsca na różnorodność i pluralizm – wszystkie narody, całe to wielkie bogactwo Europy, które dojrzewało przez wieki, zostałoby zglajchszaltowane do wymiaru jednolitej, mdłej, acz niewątpliwie postępowej, papki. I tak jak „Ślązacy dopominający się o uznanie swego języka nie rezygnują z kultury polskiej", tak można domniemywać, że Polakom w „Rzeczypospolitej Europejskiej" z wizji Mieszkowskiego pozostałoby jedynie dopominać się o możliwość używania własnego narzecza.

Zdaniem „unijczyków" polskie „województwo" nie może rościć sobie pretensji, by jego prawo krajowe miało pierwszeństwo przed prawem unijnym

WYCHOWAĆ POLAKÓW

Dlatego też zdaniem „unijczyków" polskie „województwo" nie może rościć sobie pretensji, by jego prawo krajowe miało pierwszeństwo przed prawem unijnym. Nie tak dawno widzieliśmy na własne oczy, jak praworządność i konstytucja, o które opozycja tak zaciekle walczyła od 2015 r., zostały za jednym zamachem wyrzucone na śmietnik. Euforia po decyzji TSUE i histeria po wyroku Trybunału Konstytucyjnego były najlepszą egzemplifikacją postawy „unijczyków". To, że decyzja TK w sprawie aborcji nie była novum, gdyż wpisuje się w linię orzecznictwa wytyczoną wcześniej za czasów prezesury prof. Rzeplińskiego, a jeszcze wcześniej prof. Safjana – nie miało nic do rzeczy. Bo i praworządność nie miała nigdy żadnego znaczenia w partyjnej wojnie, którą obserwujemy od sześciu lat. To jedynie polityczny totem, którym można wymachiwać na partyjnych wiecach. Zresztą to, że najnowszy wyrok TK jest osadzony w pewnej tradycji i – powiedzmy – wpisuje się w narrację PiS, ma drugorzędne znaczenie; podstawową kwestią nie jest sprawa praworządności, tylko suwerenność jako taka.

Paradoksalnie stosunek „unijczyków" do zarówno Brukseli, jak i polskiego społeczeństwa najlepiej oddał polityk Platformy Obywatelskiej Bogusław Sonik.

– Róża Thun prezentuje taki euroentuzjastyczny charakter prowadzenia polityki europejskiej na zasadzie, że Polaków trzeba wychować przez ład europejski, przez cywilizację europejską. W związku z czym nie ma specjalnie dużo pola do dyskusji z instytucjami europejskimi. Trzeba po prostu entuzjastycznie oklaskiwać wszystko, co płynie z Brukseli – stwierdził Sonik, de facto streszczając w krótkiej wypowiedzi całą filozofię nie tylko Thun, lecz także takich postaci, jak Spurek, Kohut czy Mieszkowski.

Ta potrzeba cywilizowania polskiego ludu przez, jak to ujął swego czasu Bartłomiej Sienkiewicz, „oświeconych reformatorów" to jeden z lejtmotywów polskich liberałów, którzy przez całą III RP nie byli w stanie wykreować żadnej twórczej myśli, kopiując jedynie zachodnie trendy.

„Nierzadko spotykamy się ze zdaniem, że nowoczesny Polak powinien jak najmniej być Polakiem. Jedni powiadają, że w dzisiejszym wieku praktycznym trzeba myśleć o sobie, nie o Polsce, u innych Polska zaś ustępuje miejsca – ludzkości" – słynne słowa otwierające „Myśli nowoczesnego Polaka" Romana Dmowskiego (mimo upływu ponad stu lat!) wydają się doskonałym podsumowaniem działań tej części opozycji, która trawiona kompleksami popadła w objęcia ojkofobii i jest przeświadczona, że jedyną szansą na postęp jest bezrefleksyjne powielanie zachodnich wzorców (modernizacja przez kserokopiarkę – jak to trafnie ujął prof. Ryszard Legutko).

W tejże perspektywie bardziej zrozumiałe wydają się choćby słowa prezydenta Poznania, Jacka Jaśkowiaka, który ledwie kilka tygodni temu podczas otwarcia Studium Obywatelskiego im. Pawła Adamowicza deklarował: „U nas ten pruski element, te 123 lata tej obecności w Prusach i to wszystko, co się z tym wiązało, jednak prowadzi do tego, że się świetnie rozumiemy, jeśli chodzi o Gdańsk, Wrocław, i uważamy, że z wiedzy, z nauki warto czerpać, należy czerpać i w związku z tym tak dobrze się u siebie wzajemnie czujemy". Prusy, które dla tylu pokoleń symbolizowały grozę germanizacji i prześladowań, zostają przedstawione jako dobroczynne centrum cywilizacji, promieniujące dorobkiem naukowym na polskie peryferia, które to nie zostały gwałtem wcielone do niemieckiego imperium, a jedynie były tam „obecne".

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Mieszkowski, Jaśkowiak, Jachira czy Thun to jedynie wycinek szerszego problemu. Sztuczna kreacja unijnej quasi-tożsamości jest zagadnieniem o wymiarze ogólnoeuropejskim, które znalazło już swój wyraz zarówno w środowisku brukselskich elit politycznych, jak i w kręgach intelektualistów, czego przykładem takie wielbione postaci, jak choćby Antonio Negri i Michael Hardt (wraz z ich koncepcją imperium), Ulrich Beck oraz Edgar Grande (vide: ich praca „Europa kosmopolityczna"), Altiero Spinelli, Ulrike Guérot czy Jan Zielonka. Zresztą przeciwników idei państwa narodowego oraz klasycznej koncepcji Europy ojczyzn nie musimy szukać na zagranicznych uniwersytetach, gdyż nie brakuje ich także nad Wisłą, i to nawet wśród rodzimej prawicy (czego przykładem słynny „postkonserwatysta" Tomasz Gabiś).

Sam pomysł stworzenia „człowieka unijnego" to oderwany od rzeczywistości utopijny wymysł polityków i intelektualistów i jako taki jest skazany na niepowodzenie. Nie zmienia to jednak tego, że szkody dla narodów Europy, które poczynią zastępy „unijczyków" owładniętych tą chorą i zwodniczą wizją, będą jak najbardziej realne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

PGNiG

77 rocznica Powstania Warszawskiego

PGNiG sponsor koncertu

Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki

1 sierpnia, godz. 20:30, Park Wolności,
Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl 2139ab4c34

Kamila Baranowska

Słabe punkty Tuska

Donald Tusk swój powrót do polskiej polityki zaczął od próby rozbrojenia niewygodnych dla siebie tematów. To, czy będzie w tym wiarygodny i skuteczny, może być decydujące dla jego dalszych politycznych planów

Tematów, które są Donaldowi Tuskowi mocno nie na rękę, nazbierało się całkiem sporo. Części z nich będzie po prostu unikał, ale z częścią musi się zmierzyć i znaleźć na nie jakąś odpowiedź. Po jego ostatnich wystąpieniach widać, że doszedł do wniosku, iż im wcześniej zneutralizuje niewygodne dla siebie wątki, tym szybciej ludzie przejdą nad tym do porządku dziennego i dalsze ich wypominanie przez PiS nie będzie miało tak dużej mocy rażenia. O ile te kalkulacje mogą sprawdzić się w odniesieniu do żelaznych wyborców Platformy, którzy wybaczą wszystko, o tyle trudniej będzie przekonać całą resztę, która tłumaczenia Tuska może po prostu uznać za niewiarygodne. Zwłaszcza że im bliżej wyborów, tym mocniej PiS będzie przypominał to, o czym Tusk pamiętać nie chce.

„500+”

Program „500+” to jeden z największych sukcesów politycznych PiS i wyborczych atutów. Donald Tusk odrobił lekcje i dziś już nie kwestionuje jego słuszności. Przybrał dokładnie odwrotną taktykę, sugerując, że właściwie ów sztandarowy program PiS wymyśliła tak naprawdę Ewa Kopacz. – Miała już przygotowany projekt dość podobny do „500+” z podobnymi skutkami, ale ona była w tym ostatnim roku porządkowania sytuacji po światowym kryzysie finansowym. Ja wiem, że my wielu ludzi nie przekonamy, ale chcę, żebyście wiedzieli, jak to naprawdę wyglądało – mówił Tusk na swojej pierwszej konferencji prasowej po powrocie do kraju. Informacja poszła w świat, choć sama premier Kopacz skomentowała słowa Tuska ostrożnie. – Pewnie Donald Tusk chciał powiedzieć, że były podobne projekty dotyczące wsparcia nie tylko dzieci, lecz także całych rodzin – mówiła Kopacz w „Kropce nad i”.

Narracja o tym, że to Platforma wymyśliła „500+” wydaje się jednak zbyt grubymi nićmi szyta, by kogokolwiek przekonała. Zwłaszcza że Platforma od początku miała z tym programem problem i zmieniała zdanie kilkakrotnie. Kiedy PiS zaprezentował ów pomysł jeszcze przed wyborami, mieliśmy wysyp komentarzy polityków PO, że nie ma na to pieniędzy w budżecie. Mówił o tym zresztą sam Tusk. – Jeśli ktoś w Polsce wie, gdzie te miliardy leżą zakopane i można je natychmiast uruchomić i porozdawać ludziom, to ja będę najszczęśliwszym premierem w Europie, jeśli będę mógł być autorem czy współautorem takiego projektu – stwierdził w lutym 2014 r.

Później, gdy „500+” wchodziło w życie, pojawiła się krytyka, że powinno istnieć kryterium dochodowe. Kiedy i ta narracja nie wypaliła, wajcha poszła w drugą stronę i Platforma przekonywała, że niesprawiedliwością jest przyznanie 500 zł tylko na drugie i kolejne dziecko. A kiedy PiS rozszerzył program także na pierwsze dziecko, znów wrócił temat ograniczenia programu tylko do najbardziej potrzebujących. I tak w kółko.

Dziś Tusk doszedł do wniosku, że politycznie nie ma sensu narażać się wyborcom. – Nikt nikomu nie zabierze „500+”. To, co dała poprzednia władza, zostanie utrzymane. Temat jest zamknięty – oznajmił na konferencji na początku lipca, słusznie kalkulując, że o wiele więcej można ugrać na zapewnieniach,

eprasa.pl 2139ab4c34

Donald Tusk podczas wiecu ze swoimi sympatykami w Gdańsku, 19 lipca

FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

że się programu „500+" nie ruszy, niż na jego kwestionowaniu.

WIEK EMERYTALNY

Obok programu „500+" to właśnie temat cofnięcia Tuskowej reformy wieku emerytalnego przesądził o wygranej w 2015 r. najpierw Andrzeja Dudy, a potem PiS. Już pierwsze wewnętrzne badania sztabu Andrzeja Dudy pokazywały, że podniesienie wieku emerytalnego przez rząd Tuska jest tym, co budzi wśród Polaków największe negatywne emocje. PiS wykorzystał to i wykorzystuje nadal, przypominając nieustannie, że Tusk podniósł wiek emerytalny, a rząd Beaty Szydło cofnął tę decyzję.

Donald Tusk zapewne zdaje sobie sprawę, że nawet po latach kojarzy się Polakom z podniesieniem wieku emerytalnego, i dlatego będzie próbował znaleźć sposób, by to zmienić. Jedną z takich prób była złożona na razie w dość luźny sposób propozycja skrócenia tygodnia pracy. – Świat dyskutuje o skróceniu tygodnia pracy w związku z robotyzacją, wprowadzeniem sztucznej inteligencji i pandemią, która wymusiła pracę zdalną – mówił w Gdańsku były premier, wywołując natychmiast dyskusje nad tym, czy naprawdę będzie chciał wprowadzić czterodniowy tydzień pracy. I o to chodziło. Bez konkretów, bez obietnic, ale wywołując temat, który ludziom może się spodobać, bo dotyczy ich bezpośrednio. W najbliższym czasie pojawi się pewnie więcej wypowiedzi mających odczarować wizerunek Tuska jako bezwzględnego liberała, który podniósł wiek emerytalny.

OK, BOOMER

Tusk, wracając do polskiej polityki, zdawał sobie sprawę, że pierwszym politykiem, z którym będzie musiał się zmierzyć, jest nie Jarosław Kaczyński, lecz Szymon Hołownia. To Hołownia jest dziś największym zagrożeniem dla Platformy, bo to do niego odpłynęło najwięcej dawnych wyborców PO. Chcąc ich odzyskać, Tusk musi pokazać, że jest od Hołowni lepszy. Atutami Hołowni są m.in. jego świeżość, czyli fakt, że jest człowiekiem spoza polityki, a także jego młody wiek, który sprawia, że to jemu łatwiej niż Tuskowi przekonać do siebie młodszych wyborców. Tusk, odnosząc

eprasa.pl 2139ab4c34

swe największe polityczne sukcesy, bazował także na wizerunku młodego, wysportowanego i dobrze prezentującego się polityka, stawianego jako przeciwieństwo Jarosława Kaczyńskiego. Dziś dla młodzieży 64-letni polityk to „dziaders" albo „boomer" – ktoś z innej epoki, kogo trudno traktować jako punkt odniesienia.

Tusk wie, że młodzież to jego potencjalny elektorat, tylko nie wie jeszcze, jak do niej dotrzeć. Stąd próby odmładzania się i pokazywania jako energicznego i nowoczesnego polityka. Nie bez powodu już następnego dnia po konwencji Platformy, na której został p.o. przewodniczącym partii i poinformował o swoim powrocie do krajowej polityki, Tusk wcześnie rano udał się na poranny jogging w Łazienkach. Relację na żywo z biegania byłego premiera mogliśmy śledzić na twitterowym profilu Platformy.

Także w tym kontekście należy odczytywać wezwanie do debaty, skierowane pod adresem Jarosława Kaczyńskiego, a nie np. Mateusza Morawieckiego. Ten ostatni jest dla Tuska o wiele mniej wygodnym przeciwnikiem z wielu różnych przyczyn, także dlatego, że jest młodszy, równie obyty w świecie i równie dobrze jak Tusk rozumie mechanizmy marketingu politycznego.

PRAWDZIWY EUROPEJCZYK

Słuchając pierwszych wystąpień Donalda Tuska w roli nowego-starego szefa Platformy, możemy zauważyć, że bije z nich przekaz o tym, iż PiS realizuje rosyjski scenariusz i że kieruje Polskę w ramiona Putina.

– PiS w 100 proc., w każdym wymiarze realizuje rosyjską agendę – mówił Tusk już podczas pierwszego wystąpienia na Radzie Krajowej PO. Z kolei podczas spotkania z sympatykami w Gdańsku, cytując swoją sąsiadkę, stwierdził, że władza wprowadza nie polski, lecz „ruski ład", czyli – jak wyjaśnił – „porządek bliźniaczo podobny do tego, który wprowadza Putin w Rosji".

Jeden z polityków PiS, analizując powody, dla których Tusk tak często i usilnie uderza w rosyjskie tony, stwierdził, że to efekt sondaży. – Założę się, że z badań, które pewnie robili na temat oczekiwań i lęków Polaków, w tym wyborców Platformy, wyszło, że ludzie tego się właśnie boją, więc Tusk to wykorzystuje aż do przesady. Pytanie, czy nie przegrzeje i czy akurat w zarzucaniu nam bratania się z Moskwą on, człowiek, który oddał Rosji śledztwo smoleńskie i ściskał się z Putinem po katastrofie, jest wiarygodny – podkreśla nasz rozmówca.

Donald Tusk zdał sobie sprawę, że zapowiedziany przez Borysa Budkę skręt Platformy w lewo nie był zbyt dobrym pomysłem

Jest jeszcze jeden powód, dla którego Tusk może chcieć wpychać PiS w ramiona Rosji. Chodzi o stworzenie kontrastu między PiS a Tuskiem, który przyjechawszy z Brukseli, reprezentuje Europę i zachodnie wartości. Tusk tym samym wyprzedza też ataki, których zapewne się spodziewa, a które już dziś padają z ust polityków PiS. Dotyczą one przede wszystkim bilansu tego, co osiągnął jako szef Rady Europejskiej i co dobrego zrobił dla Polski. Z naszych informacji wynika, że PiS zamierza konsekwentnie budować narrację, że z pobytu w Brukseli Tuska korzyści osiągnął tylko on sam, a nie Polska. – Jeżeli popatrzymy na dokonania, jakie ma Donald Tusk, jak dzielnie służył interesom niemieckim, chociażby ten Nord Stream, to można powiedzieć, że rzeczywiście ma zasługi, i to nawet nie tylko jako pracownik etatowy, lecz także jako pracownik bardzo zaangażowany w obronę interesów niemieckich – oświadczył niedawno poseł PiS Marek Suski.

OBROŃCA KOŚCIOŁA?

Donald Tusk zdaje sobie sprawę, że zapowiedziany z hukiem przez Borysa Budkę skręt Platformy w lewo nie był zbyt dobrym pomysłem. Chcąc walczyć z PiS o zwycięstwo, Platforma nie może zamykać się na szerszy, bardziej konserwatywny elektorat. Rozumiał to kiedyś Grzegorz Schetyna, mówiąc o konserwatywnej kotwicy, rozumie to Donald Tusk, który zawsze dbał o równowagę (choćby i pozorną) poglądów w partii. Były premier wie, że oskarżanie go o lewicowe zapędy w sferze ideowej będzie mocno przez PiS grzane. Zwłaszcza że sam dał ku temu argumenty, choćby firmując głośne antykatolickie przemówienie Leszka Jażdżewskiego, które poprzedzało jego wystąpienie na Uniwersytecie Warszawskim w 2019 r. Tusk nie odciął się wówczas od słów Jażdżewskiego ani ich nie skomentował. – Kto podnosi rękę na Kościół, podnosi rękę na Polskę! – mówił dzień później Jarosław Kaczyński, odnosząc się do słów Jażdżewskiego i braku reakcji Tuska.

Dziś szef PO próbuje ustawić się w roli tego, który ma bronić Kościoła przed PiS. – Oni głoszą wszem wobec, że są katolikami, że wierzą w Boga i Boga mają w sercu. Nikt tak bardzo nie przyczynił się do upadku Kościoła w Polsce jak rządy PiS przez sześć lat. Komuniści w 40 lat nie dali rady – mówił w Gdańsku. – Ukradli też wierzącym to, co dla wierzącego tak ważne, czyli autentyczny, prawdziwy Kościół. Upodlili instytucję, która chroniła polską niepodległość, też naszą moralność i solidarność. Dzisiaj zrobili z tego przybudówkę swojej władzy, swojej partii. Tego też nigdy im nie zapomnimy – dodawał.

WOJNA Z TVP

Sprawą, z którą Donald Tusk będzie musiał się mierzyć, są także nowe realia medialne. Tusk, będąc premierem, a później szefem Rady Europejskiej, nie był przyzwyczajony do tego, że na każdym kroku musi się pilnować. Dziś na wszystkich jego spotkaniach są obecne kamery TVP, które śledzą jego każdy krok i czekają na najmniejszy błąd czy źle sformułowaną wypowiedź, by móc ją nagłośnić. W podobny sposób byli traktowani politycy PiS podczas kampanii wyborczych w 2015 r. i wcześniej.

Tusk może być mocno zaskoczony skalą ataku telewizji publicznej. Widać, że budzi to w nim nerwowość, czego dowodem był atak na dziennikarkę TVP Info, którą nazwał „funkcjonariuszką telewizji PiS-owskiej, rządowej". Takie zachowanie Tuska nie licuje z wizerunkiem, dzięki któremu wygrywał niegdyś wybory – miłego, sympatycznego premiera, który postuluje politykę miłości. Możliwe zatem, że to przemyślane działania wyprzedzające. Tusk, wiedząc, że TVP będzie go atakować (co już zresztą czyni), już na starcie próbuje odpowiednio ustawić spór, pokazując, że telewizja publiczna jest politycznym przeciwnikiem, z którym należy grać równie ostro, co z samym PiS. Przy okazji jednak w świat będą szły zdjęcia i nagrania z jego nerwowymi reakcjami. Pytanie, czy to nie zaszkodzi mu bardziej niż ataki TVP?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER GŁÓWNY PZU

PARTNER Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl 2139ab4c34

Konfederacja z Platformą?

Rafał A. Ziemkiewicz

Tylko Donald Tusk może pomóc Konfederacji przerwać swoisty propagandowy „kordon sanitarny", jakim próbują ją otaczać lewicowo-liberalne salony

Z kręgów zbliżonych do Donalda Tuska wyciekła pogłoska, że w politycznym planie byłego premiera jest zmarginalizowanie i pominięcie w budowanej koalicji anty-PiS lewicy na rzecz współpracy z Konfederacją. Może to prawda, a może tylko plotkarska „wrzutka". Na pewno jednak jest to dobra okazja, by zapytać, czy Tusk ma cokolwiek do zaproponowania elektoratowi wiernemu ideom wolnorynkowym.

Jest bardzo możliwe, że użycie mediów do wysłania politycznym partnerom sygnału „bliżej nam do Konfederacji niż do Lewicy" płynie z motywacji wyłącznie taktycznych. Na lewicy, jak to opisywaliśmy w poprzednim numerze „Do Rzeczy", trwa walka o władzę, napędzana „politycznym kryzysem wieku średniego" starych towarzyszy z SLD, skłonnych związać się z PO nawet za cenę całkowitej „lubnaueryzacji", bo kolejnej okazji „załapania się" na władzę już mieć nie będą. Snując wizję rzekomo dopinanego „cichego porozumienia" z Konfederacją i odsunięcia ich na bok, ludzie Tuska zwiększają determinację tej grupy w walce ze starającym się utrzymać odrębność ugrupowania Czarzastym oraz jej gotowość do zerwania związków z „młodą lewicą".

ODKRĘCANIE LEWICOWYCH ZAPĘDÓW?

Można jednak rozumieć ten sygnał także inaczej: jako kierowany do elektoratu, i to nie tylko tego, który głosując na Konfederację, w drugim wyborze gotów jest popierać raczej PO niż PiS (II tura wyborów prezydenckich pokazała, że pod tym względem wyborcy Konfederacji podzieleni są po połowie). Także do elektoratu umiarkowanie prorynkowego, który zawsze PO popierał jako partię „kapitalizmu", a rozczarowany dokonującym się de facto i ogłoszonym otwarcie przez Borysa Budkę przejściem jej na pozycję lewicowe przeniósł sympatię na Polskę 2050 Hołowni lub do sondażowej poczekalni „żadna z powyższych partii". Wskazaniem „raczej Konfederacja niż Lewica" daje Tusk znać temu elektoratowi, że zamierza „odkręcić" lewicowe zapędy Budki i przywrócić Platformie tożsamość z czasów, gdy to on był jej szefem i premierem.

Brzmi to zresztą o tyle prawdopodobnie, że z Lewicą rzeczywiście wydaje się Tuskowi nie po drodze. Nie ze względów ideowych – nikt go już chyba nie posądza o jakiekolwiek przekonania – ale taktycznych. Tusk – rzecz wśród polityków „antyprawicowych" unikalna, poza nim można tu wskazać chyba tylko jednego Millera – nie był nigdy zauroczony „salonem", michnikowszczyzną i intelektualistami, małpującymi polityczne nowinki z zachodnich, postępowych campusów. Jego inicjacją jako lidera był przecież polityczny mord na Bronisławie Geremku i Unii Wolności, który dopiero po dłuższym czasie został mu przez wspomniane środowiska wybaczony – i tylko jako „mniejszemu złu", politykowi, który może „powstrzymać Kaczyńskiego". Dopóki zależało mu na polskich wyborcach, dopóty dystansował się od antyklerykalnej histerii, „związków partnerskich", nie mówiąc o „uzgadnianiu płci" czy „trzecich toaletach". Tusk uniknął powszechnego po jego stronie sceny politycznej błędu,

eprasa.pl 2139ab4c34

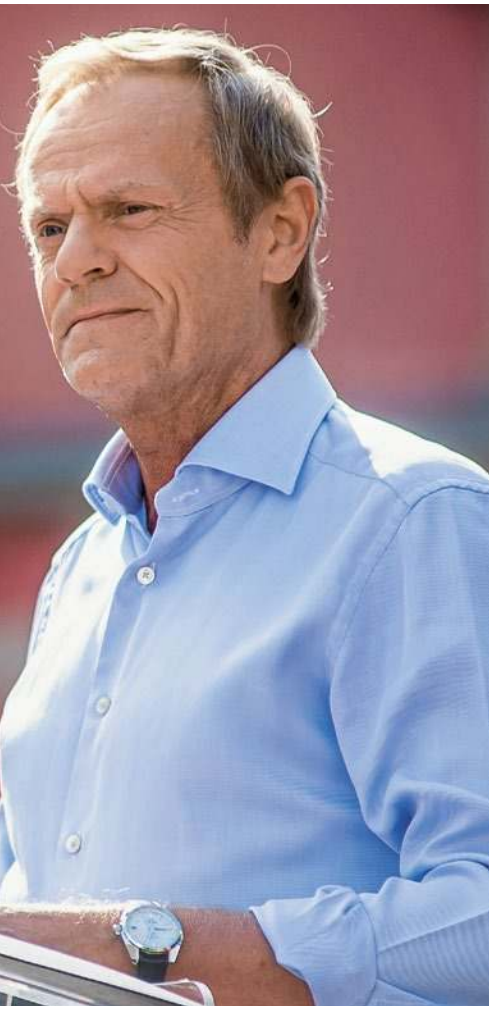

FOT. KAROL MAKUROT/REPORTER

jakim jest przekonanie, że dyskurs lewicowo-liberalnych mediów odzwierciedla mentalność szerokich rzesz Polaków i że zasłużenie na ich pochwały przekłada się automatycznie na poparcie społeczne. Lewicową agendę przyjął w większym stopniu dopiero wtedy, gdy zaczął starania o posadę w Brukseli.

Owszem, historycznie Platforma Obywatelska jest partią liberalną – wywodzi się przecież z Kongresu Liberalno-Demokratycznego, a ten ze środowiska „gdańskich liberałów". Był to jednak zawsze liberalizm balcerowiczowski, a więc za główną liberalną cnotę mający stabilność budżetową, mało natomiast dbający o równość szans w rynkowej grze i chętnie dopuszczający państwowe ingerencje w rynek, obliczone na wzmacnianie wielkich graczy. A więc raczej „kapitalizm bogaczy", wielkich koncernów, to, co w politycznym dyskursie przyjęło się nazywać „neoliberalizmem" i definiować zasadą „prywatyzacja zysków, uspołecznianie kosztów". Mimo takiej samej nazwy był to więc liberalizm zupełnie inny od promowanego przez Unię Polityki Realnej, której kontynuacją jest w wielkim stopniu Konfederacja (bo nawet jej nurt „narodowy" stanowczo odcina się od etatyzmu, tym chętniej, że jest on tak mocno zaznaczony w tożsamości PiS-owskiej).

CZEGO WIĘKSZOŚĆ NIE WIDZI

Kto nie widzi, że pod słowem „liberalizm" polityczne potomstwo „gdańskich liberałów" rozumie co innego niż wychowankowie Korwin-Mikkego, może snuć wizje porozumienia PO z Konfederacją na rzecz przywrócenia Polsce „liberalnego kursu gospodarczego". A nie widzi tego większość, dlatego właśnie dyskretne wskazywanie jako możliwego partnera politycznego PO Konfederacji daje się „sprzedać" jako postulat współpracy sił, które politycznie wszystko dzieli, ale zbliża je troska o to, co dla Polski najważniejsze. W obecnym stanie sceny politycznej jest to wizja korzystna dla obu stron – PO wyznacza miejsce Lewicy i w oczach umiarkowanego centrum odcina się od jej płciowych fiksacji, a Konfederacja jako potencjalny partner partii podupadłej wprawdzie ostatnio, ale wciąż uważanej za jedną z głównych w Polsce, zyskuje na politycznej „gravitas".

W istocie jednak jest odwrotnie, niż się wydaje. Tematy gospodarcze raczej nie mogą do siebie Konfederacji i PO zbliżyć, choć oczywiście nie jest wykluczone doraźne poparcie przez Konfederację jakiegoś konkretnego projektu – natomiast tym, co może być podstawą wspomnianej w cytowanych przeciekach „cichej współpracy", jest właśnie czysta polityka. Stosunek PiS do Konfederacji jest – jak dotąd – nieprzejednanie wrogi, właściwie niedopuszczający żadnej innej możliwości niż jej zagłada. Po części wynika to z antyendeckiej, „żoliborskiej" fobii Kaczyńskiego i osobistej, wieloletniej niechęci do Korwin-Mikkego, po części z politycznej zasady, że na prawo od PiS nie powinno być niczego, tak by „żelazny elektorat" – nawet najbardziej rozczarowany kontrastem między twardymi zapowiedziami a miękką praktyką rządzenia – zwyczajnie nie miał dokąd uciekać. W każdym razie mimo że Konfederacja jako siła radykalnie eurosceptyczna i o niebo lepiej docierająca z konserwatywnym przekazem do najmłodszego pokolenia powinna być dla PiS naturalnym sojusznikiem, w praktyce jest wręcz przeciwnie – politycy i media PiS nie przepuszczają żadnej okazji, by zasugerować, że Konfederaci to putinowska agentura i „foliarze", a środowiska życzliwe Konfederacji walą w PiS jak w bęben, równie nie przebierając w słowach, jak lewicowo-liberalne salony, choć stawiając zarzuty nieco rozsądniejsze niż „prawny polexit".

Ze względów taktycznych więc jest jak najbardziej w interesie konfederatów wszystko, co służy przerwaniu swoistego propagandowego „kordonu sanitarnego", którym próbują ją otaczać lewicowo-liberalne salony. I Tusk jest chyba jedynym politykiem umownej lewej strony, który może im to dać. Histeria antypisowska jest na salonach tak głęboka, frustracja i potrzeba sukcesu tak silne, a zaufanie do Tuska jako zbawiciela tak wielkie, że przełkną one nawet wyciągnięcie ręki do „faszystów", wrogich aborcji, LGBT i innym „wartościom europejskim". Zresztą kariera, którą zrobił w obozie anty-PiS Roman Giertych, mimo że jego użyteczność okazała się, delikatnie mówiąc, daleka od oczekiwań, pokazują, iż mentalność lewicowo-liberalnych elit przypomina pobożnych wyznawców islamu: jeśli ktoś prowadzi świętą wojnę z niewiernymi, to uchybienia co do innych wymogów ortodoksji będą mu wybaczone.

SZANSA KONFEDERACJI

„Tajny plan Tuska" i jego rzekome „ciche porozumienie" z liderami nagłośnione przez Onet i inne media anty-PiS potraktowałbym więc znacznie bardziej poważnie niż większość komentatorów, choć – podobnie jak oni – nie uważam go za zapowiedź powrotu do dawnej, „prorynkowej" tożsamości PO. Tusk wie, że odbiór liberalnych haseł jest dziś jeszcze mniej entuzjastyczny niż w czasach, gdy podzielenie Polski przez PiS na „liberalną" i „socjalną" zapewniło braciom Kaczyńskim wyborczy sukces. Sam więc ku pochwale wolnego rynku raczej nie pójdzie. Pewnie wolałby swoją starą metodą pozycjonować się jako gwarant „zdroworozsądkowego" wyważenia pomiędzy skrajnościami „roszczeniowości" z jednej a „dzikiego kapitalizmu" z drugiej strony. I do takiej właśnie gry Konfederacja doskonale mu się może przydać, a wspomniana już nieprzejednana wrogość okazywana jej przez PiS każe liderom tej ostatniej podchwycić okazję.

Dla obserwatorów widzących tylko polityczne etykiety może to być zaskakujące, ale w istocie – nie powinno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

Z Piotrem Glińskim, wicepremierem oraz ministrem kultury, dziedzictwa narodowego i sportu
rozmawia Tomasz Rowiński

Wartość historyczna Pałacu Saskiego jest nie do przecenienia

TOMASZ ROWIŃSKI: Dlaczego idea odbudowy Pałacu Saskiego jest tak ważna?

PIOTR GLIŃSKI: To kwestia polskiej tożsamości, naszej wspólnej pamięci, naszego dziedzictwa – kulturowego i historycznego. To ostatni etap rekonstrukcji Warszawy po hekatombie drugiej wojny światowej, a zarazem symbol naszej niezłomności i przesłanie dla przyszłych pokoleń. Trzeba pamiętać, że Pałac Saski wysadzili wycofujący się ze stolicy Niemcy w grudniu 1944 r., już po powstaniu warszawskim. To jeden z ostatnich aktów tego, co możemy określić jako planowe ludobójstwo kulturowe. Jego celem było unicestwienie Polski, zniszczenie Polaków jako wspólnoty kulturowej i politycznej. A jednak ogromnym wysiłkiem naszych rodaków, którzy się na to nie godzili, którzy nie pozwolili stłamsić i zniszczyć polskości, udało się powstrzymać ten plan. Odbudowując Pałac Saski, możemy wypełnić ich testament, zadośćuczynić polskiemu dziedzictwu, a także naszej tożsamości i pokoleniom, które Polskę tworzyły. Ale to także nasz dar dla przyszłych pokoleń. Szkoda tylko, że podejmujemy – jako państwo – ten wysiłek, dopiero po tylu latach.

Czy będziemy mieli do czynienia z rekonstrukcją dawnych budynków, czy będzie to raczej projekt w stylu odbudowy pałacu Jabłonowskich, gdzie mamy zrekonstruowaną fasadę osadzoną na nowoczesnym budynku?

W planach przewidziana jest odbudowa Pałacu Saskiego wraz z pałacem Brühla oraz trzema kamienicami narożnymi od strony ul. Królewskiej. Te trzy budowle stanowią pewną architektoniczną i urbanistyczną całość mającą ok. 75 tys. m kw. Od strony architektonicznej budowla będzie nawiązywała prawdopodobnie do okresu dwudziestolecia międzywojennego. Jeśli chodzi o to, co znajdzie się we wnętrzu budowli, to trwają jeszcze na ten temat pewne dyskusje. Pewne jest natomiast to, że będziemy odbudowywali Pałac Saski zgodnie z zasadami polskiej sztuki konserwatorskiej, czyli z zasadami wypracowanymi przy odbudowie Warszawy m.in. przez prof. Jana Zachwatowicza.

Chcemy, żeby to nie była odbudowa tekturowa czy styropianowa, której symbolem jest wspomniany przez pana pałac Jabłonowskich, ale realna, realizowana zgodnie z dostępnymi planami i metodami tradycyjnymi. To musi być budynek odbudowany z wielką pieczołowitością, z dbałością o szczegóły architektoniczne, z właściwych materiałów, aby był jak najbardziej autentyczny. Tak jak Stare Miasto w Warszawie, które – mimo że nie jest artefaktem, że było zbudowane niejako na nowo – zostało w 1980 r. umieszczone na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jestem przekonany, że odbudujemy Pałac Saski z taką samą starannością.

Czy nie żal symbolicznego charakteru Grobu Nieznanego Żołnierza? Wydaje się, że w obecnej formie jest on wcieleniem hasła: „Nigdy więcej wojny, nigdy więcej zburzonej Warszawy?".

Pałac Saski wraz z Grobem Nieznanego Żołnierza stanowi integralny element naszej spuścizny narodowej i jest obecny w zbiorowej świadomości Polaków. Grób Nieznanego Żołnierza został odsłonięty w 1925 r. i znajdował się w kolumnadzie Pałacu Saskiego właśnie. Nie powinniśmy godzić się na to, że dużą część architektury i przestrzeni miejskiej stolicy zorganizowali nam – poprzez agresję, brutalność i barbarzyństwo w czasie drugiej wojny światowej – Niemcy. Okupant z pełną premedytacją dążył do zniszczenia Warszawy także w wymiarze materialnym, licząc na upadek polskiej kultury i tożsamości. Po wojnie Warszawa powstała dzięki tej sile i determinacji Polaków. Cały naród rzeczywiście budował swoją stolicę w przenośni i dosłownie – do Warszawy przybywały przecież dziesiątki tysięcy ochotników, którzy własnymi rękami odbudowywali miasto, fundusze (a nawet cegły) na ten cel spływały z całego kraju. Dzięki tym

eprasa.pl 2139ab4c34

Wizualizacja odbudowy Pałacu Saskiego
FOT. SASKI360/SKYCONCEPT

heroicznym wysiłkom obywateli i władz państwowych odbudowaliśmy wiele zabytków – np. Starówkę czy Zamek Królewski. Odbudowa Pałacu Saskiego to dopełnienie tego dzieła i symboliczne domknięcie odbudowy Warszawy.

Może zamiast przywracania wersji pałacu stworzonej w XIX w. na zlecenie rosyjskiego kupca Skworcowa lepiej byłoby odtworzyć XVIII-wieczny kompleks pałacowo-ogrodowy związany z czasami niepodległości I Rzeczypospolitej?

Znam te opinie niektórych ekspertów, którzy uważają, że Pałac Saski jest rosyjskim budynkiem i pałacem rosyjskiego kupca. To prawda, że nasz kraj, naznaczony wiekami politycznej zawieruchy, ma trudną i zawiłą historię, w tym tę związaną z zaborami. Warszawa znajdowała się pod zaborem rosyjskim, a jednak nigdy nie straciła polskiej tożsamości i polskiego ducha. W 1918 r., po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Józef Piłsudski zdecydował się nadać właśnie Pałacowi Saskiemu ważną rangę i symbolikę, podejmując jednocześnie decyzję o rozbiórce ulokowanego na ówczesnym pl. Saskim soboru Aleksandra Newskiego jako symbolu dominacji rosyjskiej i rusyfikacji, z którą zacięcie walczyli w okresie zaborów Polacy. I to właśnie w kolumnadzie XIX-wiecznego Pałacu Saskiego został ulokowany Grób Nieznanego Żołnierza. Jego odbudowa w przedwojennym kształcie jest zgodna zarówno z doktryną konserwatorską, jak i z ideą domknięcia odbudowy Warszawy – po zniszczeniach drugiej wojny światowej.

Jaki jest cel odbudowy sąsiedniego pałacu Brühla i kamienic od strony ul. Królewskiej?

Budynki te stanowią spójną urbanistyczną i architektoniczną całość, którą – dysponując dokładnymi planami, rzutami Pałacu Saskiego z lat międzywojnia – możemy odtworzyć jeden do jednego. Nie musimy posiłkować się jedynie przekazem ikonograficznym i uważamy, że posiadając tak bogatą dokumentację, powinniśmy z niej skorzystać. Wzniesiony w wyniku rozbudowy XVII-wiecznego pałacu Jana Andrzeja Morsztyna Pałac Saski był wielokrotnie przebudowywany. W jego wnętrzach znajdowały się urzędy, był chociażby siedzibą Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, zaś pałac Brühla – siedzibą MSZ. Chcemy nawiązać do historycznego wykorzystania tych przestrzeni. W zamierzeniu Pałac Saski ma się stać miejscem, w którym swe podwoje otworzą instytucje kultury, który gościć będzie różnego rodzaju inicjatywy ważne z punktu widzenia życia społecznego. Pałac Brühla może funkcjonować jako siedziba Senatu, a kamienice narożne od strony ul. Królewskiej są rozważane jako przyszła siedziba Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego.

Co z zasadą zawartą w Karcie weneckiej podpisaną przez Polskę w 1964 r., by nie tworzyć wiernych kopii budynków, które już przestały istnieć? Czy punktem odniesienia jest przeprowadzona w Niemczech odbudowa zamku w Berlinie?

Należy się zastanowić, czy dyskusja o odbudowywaniu zabytków w Warszawie, w której w czasie drugiej wojny światowej zniszczono 84 proc. lewobrzeżnej zabudowy, ma ten sam sens co w przypadku miast, takich jak Wenecja czy Rzym, które same w sobie są jednym wielkim zabytkiem. Stolica Polski została niemal zrównana z ziemią, a odtworzenie jej historii i architektury to wręcz moralny obowiązek państwa. Powstała w latach 60. Karta wenecka to dokument, który jest w jakimś stopniu podręcznikiem dobrych praktyk czy rekomendacją, do którego jednak żadne z państw obligatoryjnie nie musi się stosować – o czym świadczy także przytoczona trwająca rekonstrukcja zamku w Berlinie. Sprawa zabytków, zwłaszcza w tak naznaczonym historią mieście, jakim jest Warszawa, to zagadnienie związane z sumieniem i kulturą narodu, do których nie da się stosować jednej teorii czy miary. Wspomniany przeze mnie wcześniej prof. Jan Zachwatowicz w artykule z 1946 r. pisał: „Z premedytacją wydarto całe strony naszej historii, pisane kamiennymi zgłoskami architektury. Nie możemy na to się zgodzić. Poczucie odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń domaga się odbudowy tego, co nam zniszczono, odbudowy pełnej, świadomej tragizmu popełnianego fałszu konserwatorskiego". I ja w całej rozciągłości się z profesorem zgadzam. Przypomnę też, że w 2018 r. na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się międzynarodowa konferencja „The challenges of World Heritage recovery. International conference on reconstruction", podczas której przyjęto tzw. Rekomendację Warszawską, wskazującą zasady, jakimi należy się kierować przy odbudowie zabytków, ze szczególnym uwzględnieniem historycznych miast. Dokument ten potwierdza prawo społeczności do odbudowy – przy zaistnieniu szczególnych okoliczności – zniszczonych obiektów zabytkowych.

Podnoszone są argumenty, że nowy Pałac Saski ograniczy jeszcze bardziej przestrzenie zielone. To prawda – pl. Piłsudskiego to betonowa pustynia. Czy są jakieś plany zmiany tej sytuacji?

Projekt ustawy o przygotowaniu i realizacji inwestycji w zakresie odbudowy Pałacu Saskiego, pałacu Brühla oraz kamienic przy ul. Królewskiej w Warszawie przewiduje, że przy ministrze kultury, dziedzictwa narodowego i sportu utworzona zostanie Rada Odbudowy. Będzie to organ opiniodawczo-doradczy wskazujący na ewentualne zagrożenia wynikające z rekonstrukcji budowli. Chcemy, aby projekt odbudowy Pałacu Saskiego był zgodny z polityką planowania przestrzennego stolicy i oczekiwaniami mieszkańców. Złożony przez prezydenta Andrzeja Dudę na ręce marszałek Elżbiety Witek projekt wprowadza szczególne rozwiązania dotyczące planowania i wykonania planowej inwestycji. Pałac Saski odbudowany zostanie wiernie, zgodnie z posiadanymi przez nas planami, lecz jednocześnie z zastosowaniem najnowocześniejszych technologii

eprasa.pl 2139ab4c34

i zasad projektowania. Będzie spełniał wszelkie standardy związane z ekologią i dostępnością, tak ważne w dzisiejszych czasach.

Krytycy projektu mówią, że nie ma on wymiaru praktycznego, a przenoszenie tam Senatu to działanie wymuszone. Jakie są plany zagospodarowania nowego pałacu?

Nie zgadzam się z tymi zarzutami. Odbudowanie zachodniej pierzei pl. Piłsudskiego ma przypominać zarówno skalę zniszczenia Warszawy, jak i pokazywać troskę państwa o dziedzictwo kulturowe. Co bardzo istotne, nowe obiekty połączą funkcje reprezentacyjne z użytkowymi. W projekcie przewidziano nie tylko wierną rekonstrukcję historycznych budowli, lecz także stworzenie przestrzeni edukacyjnej, kulturalnej i rozrywkowej dla mieszkańców Warszawy i turystów. To ma być miejsce dostępne dla wszystkich. Ponieważ w Pałacu Saskim mieszkał kiedyś Fryderyk Chopin, planujemy tam m.in. zorganizowanie przestrzeni odwołującej się do Chopina, ale także np. do Marii Skłodowskiej-Curie i innych wybitnych twórców polskiej kultury i nauki.

Jaki będzie koszt odbudowy Pałacu Saskiego? Czy musi on być aż tak duży?

Odbudowa Pałacu Saskiego to jeden z głównych punktów Polskiego Ładu, zaprezentowanego przez Zjednoczoną Prawicę programu społeczno-gospodarczego. Chcemy wzmacniać polską kulturę, ugruntowywać i wzmacniać nasze dziedzictwo historyczne i kulturowe, wyrównując tym samym lata zaniedbań. Wśród tych inwestycji odbudowa Pałacu Saskiego ma szczególne znaczenie, o którym mówił już śp. Lech Kaczyński, a my kontynuujemy to, co rozpoczął. Owszem, to duży wysiłek finansowy, ale jednocześnie ogromne dzieło o charakterze symbolicznym. Jest za wcześnie, by mówić o konkretnych kwotach, w jakich zamknie się odbudowa Pałacu Saskiego, natomiast są to kwoty porównywalne chociażby z odbudową wspomnianego zamku w Berlinie – o połowę mniejszego.

Kiedy możemy realnie spodziewać się końca inwestycji?

Nie sposób mówić o końcu inwestycji przed jej rozpoczęciem. Od kilku miesięcy intensywnie pracujemy nad tym projektem. Wiodąca rola w tym procesie – co uważam za zaszczyt – została powierzona Ministerstwu Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu. Nieprzypadkowo zresztą, ponieważ nie tylko odpowiadamy za dziedzictwo kulturowe i za zabytki, lecz także jeden z naszych wiceministrów pełni zawsze funkcję Generalnego Konserwatora Zabytków. W związku z tym wiceminister Magdalena Gawin będzie naturalnie włączona w to przedsięwzięcie. Osobami bezpośrednio prowadzącymi projekt są senator Stanisław Karczewski oraz Jan Kowalski, dyrektor Biura Programu „Niepodległa". Konieczne będzie najprawdopodobniej powołanie spółki celowej, operatora, inwestora właściwego itd. Inwestycja musi być przeprowadzona profesjonalnie, dlatego już od pewnego czasu rozmawiamy i prowadzimy konsultacje z urbanistami, architektami, jesteśmy w dialogu z władzami stolicy. Ten dialog przebiega w dobrej atmosferze i myślę, że idziemy w dobrym kierunku. Nie wyobrażam sobie, aby jakiekolwiek środowiska, instytucje czy samorządy były przeciwne tej idei. Robimy to w taki sposób, w jaki należy to robić – rozsądnie i w porozumieniu ze wszystkimi kluczowymi dla realizacji przedsięwzięcia partnerami.

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Owszem, odbudowa Pałacu Saskiego to duży wysiłek finansowy, ale jednocześnie ogromne dzieło o charakterze symbolicznym

„The Jerusalem Post" przypomniał w kontekście odbudowy Pałacu Saskiego, że to w jego pomieszczeniach, w Biurze Szyfrów Wojska Polskiego, doszło do złamania kodów Enigmy. Czy odbudowa pałacu będzie wiązała się z akcją informacyjną i promocyjną Polski na świecie?

Wartość historyczna Pałacu Saskiego jest nie do przecenienia, a brak decyzji w sprawie jego odbudowy po drugiej wojnie światowej nie był przypadkowy. Przez lata motywowane było to bieżącą polityką oraz symboliką Pałacu Saskiego, który był drzazgą w oku władz komunistycznych. To przecież w Pałacu Saskim po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. siedzibę miał Sztab Generalny Wojska Polskiego. W pałacu działał, pod dowództwem ppłk. Jana Kowalskiego, zespół, który doprowadził do złamania szyfrów w czasie wojny polsko-bolszewickiej, co przyczyniło się do zwycięstwa polskiego wojska nad Armią Czerwoną w wojnie z 1920 r. To w Pałacu Saskim opracowywane były tajne rozkazy o przegrupowaniu do Bitwy Warszawskiej 1920, to tam – w Sztabie Generalnym WP – przygotowywano newralgiczne dokumenty dla Naczelnika Państwa. I wreszcie, rzeczywiście, w Pałacu Saskim znajdowała się w latach 1930–1937 siedziba Biura Szyfrów, gdzie w 1932 r. polscy matematycy dokonali pierwszego złamania kodu niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma.

Jak widać, Pałac Saski, z uwagi na działania polskiego wojska i naukowców, był symbolem doskwierającym obu najeźdźcom. Oczywiście chcemy, by odbudowany Pałac Saski pełnił funkcję obiektu opowiadającego i o bolesnych, i o chwalebnych dziejach naszego kraju. Życzylibyśmy sobie, aby wizyta w zrekonstruowanym Pałacu Saskim była dla odwiedzających cenną lekcją historii i powodem do narodowej dumy. Dlatego planujemy tam m.in. filię Muzeum Historii Polski, odwołującą się do międzywojennej historii tego miejsca, a także np. do walk powstańczych z 1944 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

VI EDYCJA NAGRODY

JUŻ W GRUDNIU

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS: Enea

eprasa.pl 2139ab4c34

Franciszka i Józef Sowowie (na zdjęciu z córką Ireną) za ukrywanie Żydów zostali zamordowani na oczach swych dzieci. Z prawej: grób „Zawołanych" FOT. INSTYTUT PILECKIEGO (X2)

Polscy sprawiedliwi zawołani po imieniu

Maciej Pieczyński

Instytut Pileckiego przywraca pamięć o Polakach, którzy zginęli z rąk Niemców za ratowanie Żydów podczas okupacji. Rodziny zapomnianych dotąd bohaterów są oburzone atakami Jana Grabowskiego, który najchętniej zakazałby upamiętnień polskich sprawiedliwych

Wbrew szalejącemu terrorowi, wszechobecnej śmierci i przeraźliwemu lękowi nasi bliscy nie umieli przejść obojętnie obok krzywdy drugiego człowieka, mimo że sami doświadczali jej z rąk okupanta. Nie odmówili żydowskim współobywatelom pomocy i zapłacili za to najwyższą cenę. Niektórzy z naszych przodków zostali odznaczeni medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ale większość – nie. Demokratyczne państwo polskie po roku 1989 nie chciało o nas pamiętać, a izraelska instytucja powołana do upamiętniania Sprawiedliwych wśród Narodów Świata nierzadko nie spełniła swojej roli" – to fragment listu otwartego, wystosowany pod koniec maja przez rodziny „Zawołanych po imieniu".

Akcja ta, jak przekonują sygnatariusze listu, jest dla nich „uwolnieniem od ciężaru samotnej pamięci". „Po raz pierwszy w historii państwo polskie upomniało się o naszych krewnych, a poprzez upamiętnienie przywróciło nam nadzieję na sprawiedliwość i potraktowanie naszego doświadczenia z należnym mu szacunkiem" – czytamy. List jest również odpowiedzią na ataki ze strony prof. Jana Grabowskiego. Warto zacytować większy fragment: „Jesteśmy rodzinami pomordowanych, mamy różne poglądy i nie reprezentujemy żadnej opcji politycznej. Czytamy z rosnącym oburzeniem kolejne teksty w mediach, które są atakiem na pracę Instytutu Pileckiego i program »Zawołani po imieniu«, zainicjowany przez prof. Magdalenę Gawin. Jej krewna, Jadwiga Długoborska, za ratowanie Żydów zginęła w takich samych okolicznościach jak nasi bliscy – męczona, torturowana, ale do końca wierna swoim zasadom. Dochodzą do nas informacje, że prof. Grabowski w swoich licznych międzynarodowych wystąpieniach, obok slajdu przedstawiającego hajlującego człowieka, umieszcza jednego z nas – Konstantego Budziszewskiego, którego brat wziął na siebie »winę« za ojca, który zdecydował się pomóc Żydom. Upamiętnienia naszych bliskich nazywa w tych odczytach »zniekształcaniem prawdy o Holokauście«. Czytamy, że za indywidualne donosy na naszych bliskich odpowiedzialność mają ponosić całe wspólnoty lokalne. Doniósł jeden – odpowiadają tysiące. Czy odpowiedzialność zbiorowa nie była ulubionym narzędziem terroru niemieckiej policji w latach wojny?".

ODDAĆ NALEŻNĄ CZEŚĆ

„Zawołani po imieniu" to realizowany od 2019 r. przez Instytut Pileckiego projekt upamiętnień Polaków, którzy zginęli za pomoc udzieloną Żydom w czasie drugiej wojny światowej. Inicjatorką programu jest wiceminister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu Magdalena Gawin, z której też inicjatywy powstał IP. Narzuca się porównanie projektu „Zawołani po imieniu" z tytułem „Sprawiedliwi wśród Narodów Świata". Faktem jest, że IP uhonorował wielu bohaterów, którzy swojego drzewka w Yad Vashem się nie doczekali. – Nie rywalizujemy z żadną instytucją. Tytuł „Sprawiedliwego" przyznaje się według nigdzie oficjalnie nie ujętych, ale jasnych kryteriów – mówi „Do Rzeczy" dr Wojciech Kozłowski, dyrektor Instytutu Pileckiego. I tłumaczy: – Albo na podstawie niemieckich dokumentów, które świadczą o pomocy Żydom, albo na podstawie świadectwa uratowanych, którzy rozpoznają tego, kto ich uratował. Z dokumentacją jest ten problem, że Niemcy często po prostu przyjeżdżali do wsi i zabijali wedle własnej woli i decyzji, bez wyroku. Drugie kryterium trudno spełnić, gdy ratowani nie żyją. Yad Vashem generalnie nagradza tych, którym się udało uratować innych. Co jed-

eprasa.pl 2139ab4c34

nak z tymi Polakami, którzy czasem przez wiele miesięcy czy nawet lat ryzykowali życie swoje i rodziny, ukrywając Żydów, a jednak z tych czy innych przyczyn zostali przyłapani przez Niemców i zginęli razem z ratowanymi?! Im też należy się pamięć. I właśnie dlatego „wołamy ich po imieniu" i oddajemy im hołd – dodaje.

– Rodziny Polaków, którzy zginęli za ratowanie Żydów, w czasach PRL nie mogły liczyć ani na wsparcie, ani na oddanie należnej czci ich bliskim. Dopiero dziś jest to możliwe – mówi „Do Rzeczy" dr Mariola Serafin z działu projektów Instytutu Pileckiego. – Ci ludzie przez dziesięciolecia żyli w swoich małych miejscowościach, osieroceni, osamotnieni, często bowiem Niemcy karali śmiercią całą gałąź rodziny. Czuli się wyobcowani, bo większość sąsiadów nie nosiła na barkach takiego ciężaru doświadczeń. Dlatego dziś, pomagając rodzinom „Zawołanych po imieniu", staramy się również te rodziny integrować ze sobą, tworzyć z nich pewną społeczność. To dla nich bardzo ważne – zobaczyć, że nie są jedyni".

Historie „Zawołanych" są wstrząsające. Józef i Franciszka Sowowie ze wsi Wierzchowisko mieli pięcioro dzieci. Przez prawie rok ukrywali kilkoro Żydów w schronie pod oborą. W końcu przyszli Niemcy. Uderzony kolbą karabinu Józef stracił przytomność, a ciężarna Franciszka, pomimo bicia, nie wydała kryjówki. W końcu jednak Niemcy odnaleźli ukrywających się Żydów. Rozstrzelali ich wraz z Franciszką i Józefem na oczach dzieci.

Państwo Kusiakowie ze Starego Lipowca ukryli u siebie Itę Becher, uciekinierkę z getta. Gdy młodą Żydówkę schwytali Niemcy, na torturach zdradziła nazwiska tych, którzy jej pomogli. Żandarmi najpierw zabili siedem osób w Majdanie Nowym, a kilka dni później wraz z Itą pojechali do domu Kusiaków. Dom otoczyli i podpalili. W płomieniach zginęła Ita wraz z częścią rodziny, która wcześniej jej pomogła. Wojciech Kusiak i jego syn Józef przeżyli tylko dlatego, że w chwili tragedii nie było ich w domu – poszli do sąsiada po dzieżę do wyrabiania chleba. Z oddali widzieli śmierć swoich najbliższych i nie byli w stanie im pomóc.

Piotr Kościelecki mieszkał samotnie na obrzeżach kolonii wsi Grądy-Woniecko. Zbiegłych z okolicznych gett Żydów ukrywał w stogu siana na terenie gospodarstwa. Niemcy wpadli na jego trop przypadkiem. Polujący nieopodal żołnierze Wehrmachtu znaleźli ludzkie ślady. Pod nieobecność Kościeleckiego przeszukali gospodarstwo. Żydzi wpadli w popłoch i zaczęli uciekać. Trzech zginęło od kul, pozostałym udało się zbiec. Nazajutrz Niemcy przyjechali po gospodarza. Kościeleckiego zastrzelili i wrzucili do jednego dołu z Żydami, których ukrywał. Pochowali ich sąsiedzi, zmuszeni przez Niemców. Jeden z nich zeznawał przed sądem, że jak kopał dół, Kościelecki jeszcze żył.

Inaczej wyglądała historia Marianny, Władysława i Stanisławy Banaszków z podwarszawskiej miejscowości Pustelnik. W czasie okupacji Banaszkowie wynajmowali swój dom Żydom zbiegłym z getta. Jesienią 1943 r. zostali ostrzeżeni o planowanej rewizji. Marianna pomogła Żydom potajemnie opuścić kryjówkę i uniknąć tym samym pewnej śmierci. Na drugi dzień przyszli niemieccy żandarmi. Odnaleźli kryjówkę, co było jednoznacznym dowodem „winy" Banaszków. Dorastające dzieci Marianny, Władysława i Stanisławę, wywieźli do cegielni w pobliskich Markach i tam zastrzelili. Marianna w tym czasie była w kościele – zginęła od kuli w przedsionku własnego domu, gdy wróciła po mszy św. To o tyle wyjątkowy przypadek, że zginęli Polacy, ratujący Żydów, samym Żydom natomiast udało się ujść z życiem.

Większość „Zawołanych" była mieszkańcami małych miejscowości: wsi i miasteczek. – Część z tych historii była pielęgnowana w rodzinach i przekazywana z pokolenia na pokolenie, część jednak została odkryta dopiero przez Instytut. Wówczas to od nas potomkowie bohaterów dowiadywali się o bohaterstwie swoich przodków – mówi dr Mariola Serafin. Jak mówi, uroczystości poświęcone „Zawołanym" są z reguły bardzo wzruszające, w naturalny, niewymuszony sposób. – Pamiętam, jak odsłanialiśmy tablicę poświęconą Bolesławowi Książkowi, który zginął za ukrywanie żydowskiego chłopca, Idela. Jego chrześnica, Lucyna Urbaniak, wspominała, jaki to był życzliwy człowiek, jak przynosił jej cukierki. Gdy minister Gawin odsłoniła tablicę, pani Lucyna płakała, ocierała łzy biało-czerwoną szarfą. Była wzruszona i dumna, bo po 80 latach czyn jej ojca chrzestnego, do tej pory znany jedynie w rodzinnym przekazie, nie tylko został doceniony, lecz także oficjalnie stał się częścią historii Polski – mówi dr Serafin. – Doświadczenia rodzin „Zawołanych po imieniu" są o tyle trudne, że ich bliscy ginęli za czyny moralnie dobre, które w wyniku przewartościowania przez niemieckiego okupanta zostały uznane za zbrodnicze. Znamy przypadki mordu nie za symboliczny, ale za dosłowny bochenek chleba, podarowany ukrywającym się Żydom. Pomoc, wynikająca z normalnego, naturalnego odruchu ludzkiego serca, w oczach Niemców stawała się przestępstwem kryminalnym – dodaje.

ATAKI PROF. GRABOWSKIEGO

Profesor Jan Grabowski od dawna ostro atakuje Instytut Pileckiego, nazywając IP „IPN-em light", sugerując, że to tak naprawdę grupa urzędników, wykonujących rządowe rozkazy w ramach realizacji „kłamliwej" polskiej polityki historycznej, polegającej na nadmiernej heroizacji Polaków i zamiataniu pod dywan żydowskich ofiar. Badacz rzadko używa merytorycznych argumentów w dyskusji, z reguły są to podszyte polityczną argumentacją insynuacje czy wycieczki personalne. Swego czasu proponował nawet wprowadzenie moratorium na upamiętnianie Polaków ratujących Żydów: „Aż do czasu, kiedy polskie społeczeństwo będzie w stanie otwarcie rozliczyć się ze swoją przeszłością". W jednym z felietonów w „Gazecie Wyborczej" Grabowski apelował o to, by obok Polaków, ratujących Żydów, składać również hołd Żydom, „zamordowanym lub też wydanym na śmierć przez Polaków".

– Program „Zawołani po imieniu" nie jest poświęcony wszystkim ofiarom Holokaustu ani wszystkim ofiarom drugiej wojny światowej. Upamiętniamy Polaków mordowanych za pomoc Żydom – mówi dr Wojciech Kozłowski. – Poza tym prof. Grabowski myli się, twierdząc, że nie dostrzegamy ofiar żydowskich. Opowiadamy o nich podczas uroczystości. W ogromnej większości przypadków ginęli zarówno ratujący, jak i uratowani. Łatwej zidentyfikować tych pierwszych, bo jeśli ktoś się ukrywa, to niekoniecznie ujawnia swoją tożsamość. Ale zawsze wymieniamy nazwiska zamordowanych Żydów, jeśli tylko są znane. We wsi Poręba-Koćęby już w 2019 r. ustawiliśmy pamiątkowy kamień z napisem po polsku i po hebrajsku w miejscu pochówku Żyda, który przed śmiercią ukrywał się u upamiętnianych Polaków. Konsultowaliśmy to z naczelnym rabinem Polski Michaelem Schudrichem. Współpracujemy też z fundacją zapomniane.org, zajmującą się identyfikacją pochówków ofiar Holokaustu. W naszych uroczystościach uczestniczą rabini, odprawiają modlitwy za zmarłych. Żydzi są obecni w naszej narracji. Profesor Grabowski nie ma pojęcia o naszej działalności – konkluduje dr Kozłowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką
przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Eksperyment Borusewicza się opłacił

Maciej Łopiński (na zdjęciu), także absolwent „Topolówki", z nadania Bogdana Borusewicza nadzorował pracę redakcji „Regionówki"

FOT. Z KSIĄŻKI: NIEPOKORNI Z TOPOLÓWKI JANA HLEBOWICZA

JAN HLEBOWICZ: W „Regionówce" waszymi bezpośrednimi przełożonymi byli Maciej Łopiński i Andrzej Liberadzki. Nie przeszkadzało wam, młodym, niepokornym, gniewnym, że Łopiński i inni dziennikarze z jego pokolenia jeszcze kilka lat wcześniej należeli do PZPR?

PIOTR SEMKA: Cezurą był 13 grudnia 1981 r. Jeżeli ktoś przed tą datą był w partii, dla wszystkich było jasne, że nie jest to powód do dumy. Jednocześnie przynależność partyjna nie dyskredytowała. Liczyło się to, jak dany człowiek zachował się po wprowadzeniu stanu wojennego. Odwagą było rzucenie legitymacją partyjną w obliczu zamordyzmu zaserwowanego przez pana w przyciemnianych okularach. Znałem wiele osób, które po Sierpniu '80 z gorliwych piewców PRL i PZPR zamieniały się w równie gorących orędowników Solidarności po to, by w stanie wojennym znowu stać się aktywistami partyjnymi. Łopiński i Liberadzki poszli inną drogą. Ich decyzja o wystąpieniu z partii była nierozerwalna i konsekwentna. To budziło nasz szacunek.

Jak oceniasz „Regionówkę" spod znaku Kurskiego, Semki, Wilczyńskiego?

Myślę, że eksperyment Borusewicza się opłacił. „Regionówka" stała się bardziej dynamiczna, a jej treść docierała nie tylko do tak zwanej starej opozycji, lecz także, dzięki naszym kontaktom, do struktur młodzieżowych – FMW czy WiP-u. Pismo ożyło. Pojawiły się karykatury, zdjęcia, zniknęły suche komunikaty. W końcu „Lewki" dało się czytać.

A i też było na co popatrzeć...

Rzeczywiście, staraliśmy się ożywić pismo graficznie, tak by treści w nim prezentowane trafiały do masowego odbiorcy. Zdecydowaliśmy się nawet opublikować nagi biust słynnej wówczas „Ciccioliny". Elena Anna Staller była włoską gwiazdą filmów porno. W roku 1985 wstąpiła do Partii Radykalnej, a dwa lata później została z jej listy wybrana do parlamentu w okręgu Lazio w Rzymie. W ten sposób została pierwszą w historii gwiazdą porno wybraną do parlamentu demokratycznego państwa i ostro walczyła, by rząd włoski nie zapominał o Solidarności. No to jej podziękowaliśmy na łamach pisma. Oczywiście informacje spod znaku „Ciccioliny" stanowiły w piśmie margines. Głównie zajmowaliśmy się sprawami Solidarności i opozycji. Chociaż pisaliśmy także o wielokulturowych korzeniach Gdańska, co dzisiaj wydaje się oczywistością, jednak w PRL wcale taką oczywistością nie było.

eprasa.pl 2139ab4c34

Przypomnieliście między innymi o dwusetnej rocznicy urodzin związanego z Gdańskiem Arthura Schopenhauera.

Uważaliśmy, że pamięć o niemieckiej spuściźnie w dziejach Gdańska ma sens. Dopiero potem, po 1990 roku, rozpoczął się trend w odwrotną stronę. Niechęć do wszystkiego, co niemieckie, zastąpiła niezdrowa apoteoza niemieckości.

A jak odbierali „Regionówkę" pod waszym kierownictwem ludzie z zewnątrz?

Absolutnie nie istniała żadna świadomość, że gazetę tworzy trójka dwudziestoparolatków. Radio Wolna Europa czytało na antenie nasze artykuły, uznając, że stanowią one wyraz poglądów całej Solidarności. Borusewicz, Łopiński i Liberadzki w ogóle nas nie ograniczali.

Nie wierzę, że nie dochodziło do sporów na linii młodzi redaktorzy–starsi „nadzorcy"...

Bezrefleksyjnie wierzyliśmy wówczas władzom Solidarności, z Bogdanem Borusewiczem na czele. Pamiętam jednak nasze rozmowy z tamtego czasu i rodzący się dystans wobec Lecha Wałęsy. Drażniło nas, że „Lechu" z robotnika i opozycjonisty zamienia się w polityka otoczonego asystentami i zachodnimi dziennikarzami. Ale to były uwagi, które wygłaszaliśmy raczej w swoim gronie. Na zewnątrz lidera Solidarności wciąż broniliśmy jak lwy i w czasie zadym skandowaliśmy nadal: „Lech Wałęsa". Ale niedobre obserwacje się nawarstwiały. Również kościół Świętej Brygidy zaczął jawić się nam jako miejsce postępującej degrengolady. To tam przebywał w tym czasie cały ówczesny „dwór" Wałęsy – Andrzej Drzycimski, Piotr Nowina-Konopka oraz egzaltowane panie z tygodnika „Gwiazda Morza". Średnio inteligentny człowiek widział, że panuje tam jakaś niejasna i niezdrowa atmosfera. Wszyscy mówili o wtyczkach SB, które czują się na plebanii jak u siebie, a jednocześnie nikt z tym nic nie robił. Co niedzielę pojawiały się przed Świętą Brygidą ekipy zagranicznych korespondentów, których otaczali mętni asystenci Wałęsy umożliwiający dotarcie do „szefa" za paczki pall malli, butelkę whisky, a nawet za pieniądze. Im bliżej końca lat 80., tym coraz bardziej znamienici goście pojawiali się na plebanii księdza Jankowskiego. Aktorki i piosenkarki, takie jak Joan Baez, i politycy, między innymi senator Edward Kennedy, a niedługo potem sama Margaret Thatcher. Wałęsa z księdzem Jankowskim prosili gości na salony, serwując bażanty faszerowane pieczonymi węgorzami. W ten sposób, na naszych oczach, rodziła się solidarnościowa nomenklatura. Na tym tle Bogdan Borusewicz jawił się nam jako symbol twardego antykomunizmu i prawdziwy opozycjonista. Pamiętaliśmy doskonale o jego początkach, kiedy w 1968 roku został aresztowany. Wiedzieliśmy, że otacza się ludźmi pamiętającymi jeszcze wileńską partyzantkę Armii Krajowej (na Olgę Krzyżanowską, córkę Aleksandra Krzyżanowskiego, pseudonim Wilk, patrzyliśmy z niemym zachwytem). Zdawaliśmy sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywa w KOR. Dla nas numerem jeden pozostawał „Borsuk".

Wydaje mi się to nieco dziwne. Gdańska opozycja różniła się jednak od KOR-owskiej „warszawki" większym przechyłem w prawo. Tu powstał odwołujący się do tradycji endeckiej Ruch Młodej Polski. Tu wielkim szacunkiem cieszył się bezkompromisowy działacz ROPCiO Tadeusz Szczudłowski. Z czego wynikało wasze bezwarunkowe zapatrzenie w Bogdana Borusewicza?

Z jego aktywizmu i wierności idei Sierpnia. Borusewicz był liderem KOR na Pomorzu, bliskim współpracownikiem Adama Michnika. Z dzisiejszej perspektywy może to się wydać szokujące, ale my byliśmy wówczas wpatrzeni w „Adasia" (tak mówiliśmy na Michnika) jak w obraz. Szczególną miłością późniejszego redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" darzył w tamtym czasie Jacek Kurski.

Co takiego miał w sobie Michnik?

Niewątpliwie wykazał się odwagą w 1968 roku. Odznaczał się nią także po roku 1976 i w stanie wojennym. W naszych oczach egzamin zdany 13 grudnia zmazywał wszelkie grzeszki komunistycznej aktywności Michnika z czasów młodości. Uwiarygodniały go także jego relacje z Kościołem. Mówiło się, że po śmierci Popiełuszki przyjął chrzest i się nawrócił. Był zapraszany do kościołów w całej Polsce, gdzie wygłaszał wykłady i spotykał się z sympatykami Solidarności. Brat stalinowskiego prokuratora brał udział w mszach świętych, we wspólnych modlitwach. Potrafił odciąć się od komunistycznej przeszłości i rodzinnych zależności. To budziło nasz szacunek. Michnik porywał nas także intelektualnie. Pisał pogłębione eseje i książki, w których rzeczowo podchodził do idei narodowej Dmowskiego, do dylematów początków niepodległości oraz do relacji lewicy i Kościoła. Jako „ludzie od Borsuka" bez problemu wchodziliśmy do mieszkań czołowych postaci KOR: Jacka Kuronia, Henryka Wujca, Heleny Łuczywo. Z zapartym tchem słuchaliśmy ich rozmów, planów opozycyjnego działania, roztaczanych wizji przyszłości. Na własnej skórze doświadczaliśmy wręcz mefistofelicznego uroku Michnika.

Nic nie budziło waszych wątpliwości?

Pierwsza, choć niewielka rysa na wizerunku „Adasia" pojawiła się w 1987 roku. W tamtym czasie opozycjonista Marcin Król podjął z władzami rozmowy odnośnie do legalnego wydawania ukazującego się dotychczas w podziemiu pisma „Res Publica". Opowiadano nam, jak na jednym ze spotkań rozmowa zeszła właśnie na ten temat. Kiedy Michnik usłyszał nazwisko Króla, dostał szału. „Co wy, udajecie idiotów? To wy nie wiecie, że to jest najgorszy zdrajca? On poszedł na układ z Urbanem". Wpadł w furię. Zaczął przeklinać i wyzywać Króla. Niezależnie od tego, czy miał rację (nam też nie podobało się pójście środowiska „Res Publiki" na układ z władzą), słuchaliśmy z niepokojem wybuchu Michnika. W ciągu minuty „Adaś" zamienił się w zamordystę, dzielącego ludzi wedle biało-czarnego podziału – albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. ©℗

Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

DOTYCHCZAS WYDRUKOWALIŚMY NASTĘPUJĄCE FRAGMENTY KSIĄŻKI:

- ***„Jak Semkowie Polskę wybrali"*** – nr 16/2021
- ***„Dziadek Jan i dziadek Józef"*** – nr 17/2021
- ***„Gdańsk przesiąknięty tradycją kresową"*** – nr 18/2021
- ***„Niepokorna Topolówka"*** – nr 19/2021
- ***„Dramatyczny czas"*** – nr 20/2021
- ***„Licealna konspira"*** – nr 21/2021
- ***„Koledzy z konspiry"*** – nr 22/2021
- ***„Prywatna wojna z komunizmem"*** – nr 23/2021
- ***„Uciekaliśmy od bezruchu"*** – nr 24/2021
- ***„Pobudzający mętlik idei"*** – nr 25/2021
- ***„Podziemny Lublin, podziemny Gdańsk"*** – nr 26/2021
- ***„Pierwsze niepokojące sygnały"*** – nr 27/2021
- ***„Spełnione marzenie młodego opozycjonisty"*** – nr 28/2021
- ***„Era młodych"*** – nr 29/2021

eprasa.pl 2139ab4c34

Pysiunie na kempingu

Agnieszka Niewińska

W lipcu Internet należał do państwa Majdanów. Relacjami z podróży kamperem zdeklasowali instagramową konkurencję. – Mają dobre wyczucie tłumu – ocenia medioznawca

Na początku była podróż tramwajem. O tym, jak w maju celebrytka Małgorzata Rozenek-Majdan wsiadła do warszawskiej komunikacji, trąbiły wszystkie media. Coś, co dla milionów Polaków jest codziennością, dla Rozenek-Majdan okazało się emocjonującą przygodą. – Pojechałam komunikacją miejską, bo chcę nauczyć się ekologicznych zachowań. Byłam zszokowana tym, jak dobrze wygląda komunikacja miejska. Poczułam się starszą panią, która nie widziała pewnych rzeczy dawno – opowiadała dziennikarzom.

Na tramwaju nie poprzestała i najwyraźniej postanowiła sprawdzić, jak zwykli zjadacze chleba spędzają wakacje. I tak z początkiem lipca Rozenek z mężem Radosławem Majdanem, trzema synami i czterema psami zamiast na ekskluzywne wakacje w meksykańskim Tulum (w ostatnim roku celebryci bawili tam dwukrotnie) zdecydowała się na caravaning. Rzecz jasna, celebrycka rodzina nie gnieździła się w przyczepie kempingowej z Niewiadowa, wyprodukowanej – dajmy na to – w latach 80., ale zapakowała się do ekskluzywnego kampera. Ten oferował dwa pełnowymiarowe łóżka, kuchnię z lodówką i zamrażalnikiem, telewizor, toaletę, prysznic i klimatyzację. Majdanowie wóz przyozdobili pasującymi do wnętrza lampkami. W przeciwieństwie do przeciętnego Kowalskiego nie zabrali ze sobą plastikowych talerzy czy kubeczków, ale przywiezioną z Meksyku zastawę. Mimo to Rozenek-Majdan i tak przeżyła szok, widząc, jak mało będzie miała szafek na ubrania, czy dowiadując się, że zbiornik wody kampera mieści tylko 120 litrów.

Para swoją „kamperiadę" – jak nazwały ich wyprawę plotkarskie media – szeroko relacjonowała w sieci. Gigabajty filmowych relacji zaczęły powstawać już na etapie pakowania i zwiedzania kampera. – Pysiuniu! Dostaliśmy kawior! Ale super! – krzyczała do męża Rozenek-Majdan, zaglądając do kamperowej lodówki (małżonkowie nieustannie mówią do siebie „Pysiuniu"). Kiedy dotarli nad Bałtyk i zapakowali się na pokład promu Stena Line, zachwytom nie było końca. Ekstazę celebrytki wzbudził nie tylko widok Bałtyku za oknem, lecz także wygodne łóżko, automaty do gry, posiłek, spotkanie z kapitanem.

Agnieszka Zembrzycka, rzecznik prasowy Stena Line Polska, zaznacza, że wideorelacja Małgorzaty Rozenek-Majdan z rejsu promem Stena Line nie jest efektem zaplanowanej współpracy celebrytki z firmą. – Państwo Majdanowie po prostu kupili bilet na rejs. O tym, że będą z nami płynąć, dowiedzieliśmy się z listy pasażerów – zapewnia Zembrzycka.

TYLKO NIE PO TRAWIE!

Po zejściu na ląd było już tylko lepiej. Obserwowaliśmy Radosława Majdana za kierownicą, na kempingu, rozkładającego cały wypoczynkowy kram czy zwijającego szlauch wedle instrukcji żony znanej z roli Perfekcyjnej Pani Domu w telewizyjnym show. Rozenek-Majdan pokazywała, jak w kamperze kąpie najmłodszego syna Henryka, demonstrowała składane miski i wiadra.

Szybko uwidocznił się problem za krótkiej podłogi, którą Majdan rozłożył przed wejściem do kampera. – My

eprasa.pl 2139ab4c34

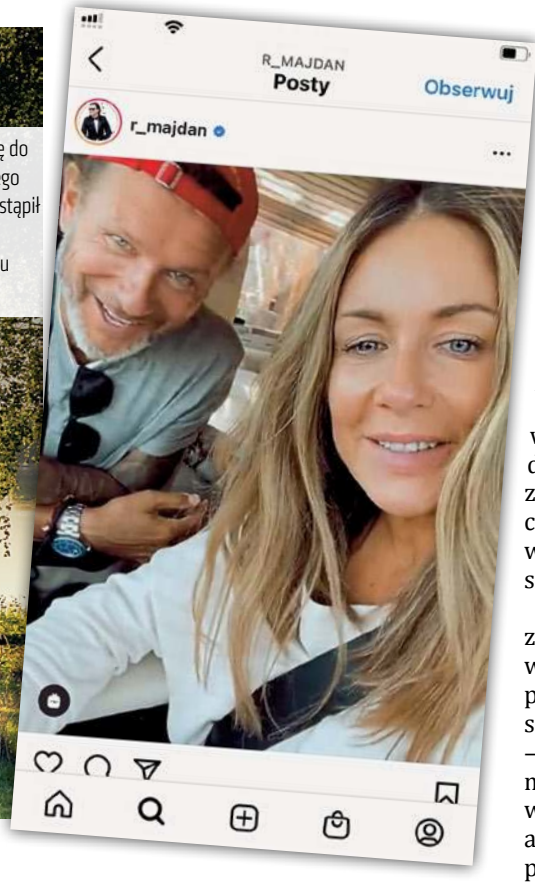

Celebrycka rodzina zapakowała się do ekskluzywnego kampera. Mimo tego po pięciu dniach „kamperiady" nastąpił kempingowy kryzys i Majdanowie przenieśli się do wygodnego hotelu

FOT. ADOBE STOCK, R_MAJDAN/INSTAGRAM

musimy chyba kupić dłuższą podłogę – oceniła Rozenek, martwiąc się, jak po za krótkiej podłodze dotrze do luku bagażowego umieszczonego z tyłu kampera. – I co, ja będę szła do bagażnika po ubrania w piżamie, po trawie? – pytała zszokowana.

Celebrytka dziwiła się bliskości innych wypoczywających na kempingu. – To jest trochę takie dziwne, wszyscy razem sobie na głowie – mówiła przejęta do kamery. Kempingowy kryzys nastąpił u niej po pięciu dniach „kamperiady", w deszczowy dzień. – Boże drogi, ja chcę do domu! Znaczy, do domu nie chcę, chcę do jakiegoś dobrego hotelu – marudziła mężowi. I zaproponowała: – Myślę, że po takich dwóch dniach tutaj, w takiej pogodzie, mały przystanek w hotelu – znam bardzo dobry hotel w Sztokholmie – dobrze nam wszystkim zrobi, prawda?

Marzenie się ziściło, tyle że upatrzony przez Rozenek Grand Hotel w Sztokholmie nie chciał ich przyjąć ze względu na zbyt dużą liczbę zwierząt. Familia Majdanów musiała poszukać innego lokum.

WYCZUCIE TŁUMU

Groteskowe relacje celebryckiej rodziny nieprzywykłej do niewygód spotkały się z ogromnym odzewem internautów. Zamieszczane na Instagramie wideo oglądało po kilkaset tysięcy widzów. Zwłaszcza że Majdanowie nadawali na dwóch kanałach naraz – Małgorzaty (1,4 mln obserwujących) i Radosława (186 tys. obserwujących). Komentarze sypały się setkami. Polubienia postów szły w dziesiątki tysięcy. Po raz kolejny Majdanowie pokazali, że tradycyjne media, programy w telewizjach nie są im już potrzebne, by skupić na sobie zainteresowanie Polaków. I tak codziennie pisały o nich media. I to nie tylko te plotkarskie, lecz także te nieco poważniejsze. W pierwszej połowie lipca w Google Polacy chętniej szukali Rozenek niż głównych aktorów sceny politycznej, i to mimo głośnych partyjnych konwencji. Tylko wieść o powrocie Donalda Tuska sprawiła, że odsetek wyszukiwań dla hasła „Rozenek" spadł. Poza tym celebrytka w Google przegrywała chyba tylko z COVID, o którym wciąż szukamy bardzo wielu informacji.

– Trzeba przyznać, że państwo Majdanowie mają dobre wyczucie tłumu. Potrafią odpowiedzieć na zabawowe potrzeby ludzi i najwyraźniej sami bardzo dobrze czują się w tej grze. Rozumieją mechanizmy rządzące współczesnymi mediami, więc można tylko wyrazić im uznanie. To, co pokazali w sieci, to nie tyle kilka prywatnych zdjęć z wakacji, ile produkcja fabularna, wręcz serial – ocenia prof. Jacek Dąbała, medioznawca, audytor jakości mediów. Dodaje, że choć konkurencja ze strony aktorów, blogerów i różnej maści celebrytów jest na Instagramie duża, to Majdanowie wiedzą, jak znaleźć się na czele tego peletonu. – To, że tak wielu internautów śledziło ich relacje z wakacji w kamperze, w ogóle mnie nie dziwi. Obserwowanie tego to jak zaglądanie do cudzego mieszkania przez uchyloną zasłonkę. Ludzie to lubią. Zwłaszcza jeśli za zasłonką są osoby znane.

Po dwóch tygodniach podróży w kamperze klan Majdanów w końcu dotarł do Polski. Jeszcze z kampera zachwalał taki rodzaj wakacji, zachwycając się rodzinną wspólnotą, przygotowywaniem posiłków razem, wspólnym sprzątaniem po sobie.

Jak mówi Agnieszka Zembrzycka ze Stena Line Polska, na razie jest za wcześnie, by mówić o tym, czy Polacy pójdą śladem znanej pary i zdecydują się na zwiedzanie Szwecji kamperem. – Z pewnością wzrosła liczba odwiedzin naszej strony internetowej. Co prawda, w Szwecji wakacje kończą się 15 sierpnia, ale kamperem można zwiedzać ten kraj przez cały rok. Wyjazdy kamperem są od lat niezmiernie popularne w Niemczech czy Szwecji, a wiele wskazuje, że i Polacy polubili takie spędzanie czasu – w drodze, ale blisko natury. Skandynawia jest stworzona do takich przygód, bo oferuje zarówno zwiedzanie ciekawych miast, jak i piękne krajobrazy oraz ciche i świetnie utrzymane kempingi, gdzie naprawdę można wypocząć. Do zwiedzania blisko natury kamper poza tym nie jest konieczny. Sama podróżowałam po Szwecji z namiotem i rowerem. Relacje państwa Majdanów obserwowałam z dużym zainteresowaniem, bo choć dobrze znam Szwecję, to z ich filmów dowiedziałam się o miejscach, w których jeszcze nie byłam – opowiada.

ODPOCZYNEK PO WAKACJACH

– Jesteśmy mega, mega zmęczeni, bo jak jedziesz kamperem, to zawsze masz coś do roboty – zwierzała się widzom Rozenek w pożegnalnym live.

Na szczęście Pysiunie mogą wypocząć po trudach wakacji w kamperze. W ubiegłym tygodniu ruszyli na wypoczynek do Włoch. Tym razem bez dzieci i tylko z jednym psem – mieszczącą się w dłoniach Franceską. Od relacji wideo nie robią sobie jednak wakacji. Komu mało filmów ze Szwecji, ten może już oglądać Majdanów w nagraniu z Lotniska Chopina, skąd ruszali na południe Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

Wiesław Chełminiak

Bohater naszych czasów

Osiemdziesiąt lat temu światło dzienne ujrzała „Kariera Nikodema Dyzmy" – arcydzieło ironii, które mąci dobre samopoczucie skuteczniej niż wydumane, antypatriotyczne pamflety spod znaku Gombrowicza i Mrożka

Powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – czy się to komu podoba, czy nie – należy do naszego kulturowego kanonu. Jej siłę rażenia zwielokrotnił serial z życiową rolą Romana Wilhelmiego. W PRL „Karierę…" próbowano wykorzystać propagandowo do zohydzania przedwojennej Polski. Książkę zaopatrzono we wstęp przekonujący, że nie ma w niej cienia przesady i tak właśnie wyglądała rzeczywistość II RP. Państwa pogrążonego w permanentnym kryzysie, obojętnego na nędzę chłopsko-robotniczych mas i zarządzanego przez elity zafascynowane faszyzmem.

Ideologiczne zaklęcia nie mogły jednak zmienić faktu, że dopiero komunistyczny przewrót umożliwił błyskawiczne awanse ludziom znikąd. Po 1944 r. zaroiło się od Dyzmów w administracji, sądownictwie, wojsku, służbach porządkowych i specjalnych, a nawet oświacie. Przykład szedł z góry – prezydentem został Bolesław Bierut, a premierem Edward Osóbka-Morawski. Przed wojną obaj panowie pracowali w warszawskiej Spółdzielni Spożywców „Wyzwolenie". Pierwszy jako buchalter, drugi jako zaopatrzeniowiec. Czerwona legitymacja stała się przepustką do stanowisk, o niebo skuteczniejszą niż kompetencje i wykształcenie.

SATYRA PODSKÓRNA

Historia leszcza, omyłkowo wziętego za rekina, uczyniła z Dołęgi-Mostowicza człowieka zamożnego. Osiemdziesiąt lat temu w Polsce panował kryzys i książka była dobrem luksusowym. W bibliotekach na wypożyczenie popularnego tytułu czekało się w długiej kolejce. Kwitł więc proceder ich przepisywania tudzież kolekcjonowania gazetowych odcinków. „Kariera Nikodema Dyzmy", podobnie jak

eprasa.pl 2139ab4c34

Powieść była satyrą, która przetrwała próbę czasu. Na zdjęciu: Roman Wilhelmi jako filmowy Dyzma FOT. INPLUS/EAST NEWS

powieści Sienkiewicza, Prusa, Reymonta czy Żeromskiego, najpierw ukazała się na łamach prasy, znakomicie poprawiając wyniki sprzedaży stołecznego dziennika „ABC" (skrót od „Aktualne, Bezpartyjne, Ciekawe").

Sukces, jak to często nad Wisłą bywa, ściągnął gromy na głowę autora. Krytycy i zawistni koledzy uznali powieść za tandetną i schlebiającą drobnomieszczańskim gustom. Powodzenie następnych utworów jeszcze tę opinię utrwaliło. Pisarz udawał, że złośliwości nie robią nań wrażenia, lecz w rzeczywistości łaknął akceptacji literackich salonów i cierpiał z powodu jej braku. Musiał mu wystarczyć zachwyt czytelników.

Do zekranizowania „Kariery..." przymierzał się Eugeniusz Bodo, ale nawet on nie zdołałby wydębić od władz zgody na wyświetlanie w kinach politycznego paszkwilu, za jaki uchodziła powieść. Czy słusznie? I tak, i nie. Bohaterem „Ostatniej brygady", oficjalnego debiutu Dołęgi-Mostowicza, był pełen dobrych chęci milioner, który po powrocie z emigracji zderza się z systemem promującym partaczy i cwaniaków. Pisarz, jeszcze jako publicysta, wielokrotnie dawał wyraz powszechnemu w środowiskach inteligenckich przekonaniu, że po odzyskaniu suwerenności sprawy poszły w złym kierunku, państwo polskie zaś nie zdaje egzaminu. Dopiero gdy wymrze pokolenie zdemoralizowane zaborami i wojną, dojdzie do pozytywnego przełomu.

Książkę reklamowano sloganem: „Akcja odbywa się w dzisiejszej Warszawie w środowiskach uprzywilejowanych". W roku 1931 takim środowiskiem byli piłsudczycy. Prostak, który nie nadawał się na fordansera, lecz stał się kandydatem na zbawcę ojczyzny, zdawał się karykaturą arywisty spod znaku sanacji. Warszawka snuła domysły, że płk Wareda to w rzeczywistości Bolesław Wieniawa-Długoszowski, książę Roztocki przypomina zaś Janusza Radziwiłła. Pisarz unikał jasnych deklaracji. Mówił o „podskórnej satyrze" i „próbie syntezy psychiki społeczeństwa polskiego". Tłumaczenia, że akcja powieści rozgrywa się „może dziś, może za lat 20, a może przed majem 1926 r.", współcześni uznali zapewne za wykręty. Dziś wiemy, że Dołęga-Mostowicz miał rację: rzecz jest ponadczasowa.

NIE WYSTARCZY BYĆ

2 maja 1931 r. cenzura zablokowała rozpowszechnianie wydrukowanych już egzemplarzy „ABC". Powodem był odcinek, w którym Mańka – była sąsiadka Dyzmy – została pobita i zgwałcona na posterunku policji. W wersji książkowej ten fragment został wykropkowany. Co ciekawe, nie przywrócono go do dzisiaj.

Nigdy nie dowiemy się, jaki kształt przybrałaby „Kariera..." sfilmowana przez największego gwiazdora przedwojennej kinematografii. Można być jednak pewnym, że interwencja cenzury stępiłaby drapieżność oryginału. Adaptacja z 1956 r. okazała się z kolei tępą farsą z grubymi nićmi szytym przesłaniem: zdemoralizowanej elicie II RP marzył się ktoś w rodzaju Hitlera i Mussoliniego. Adolf Dymsza zamiast dyktatora zagrał jednak poczciwego proletariusza, siłą zmuszanego do udziału w grze, której reguł nie akceptuje. Pytany o przyszłość, odpowiada: „Byczo będzie!", co widzowi musiało kojarzyć się z premierem Felicjanem Sławojem Składkowskim.

W 1931 r. cenzura zablokowała rozpowszechnianie dziennika „ABC", w którym drukowano powieść Dołęgi-Mostowicza

Polska znajduje się na skraju bankructwa, jedynym ratunkiem jawią się zagraniczne pożyczki (czytaj: wyprzedaż majątku narodowego). Prasa kłamie, rząd działa pod dyktando obszarników, przemysłowców i pospolitych aferzystów. Gdy w miastach szaleje bezrobocie, a na wsi klęska urodzaju, w eleganckich knajpach trwa bal na „Titanicu". Rozochocone hrabiny tańczą na stołach, pijani oficerowie strzelają w sufit.

Najgorsze, że twórcy ekranizacji nafaszerowali ją własnymi, kiepskiej jakości, pomysłami. Pod scenariuszem podpisał się Ludwik Starski, który przedwojenny show-biznes znał z autopsji. Może dlatego Polska z „Nikodema Dyzmy" przypomina kabaret. Reżyser Jan Rybkowski przed śmiercią zdążył się jeszcze zrehabilitować, kręcąc serial, wyjątkowo wierny literackiemu oryginałowi. W tym samym 1979 r. w amerykańskich kinach furorę robiła komedia „Wystarczy być". Czy ojciec chrzestny sukcesu, emigrant z PRL, Jerzy Kosiński, dopuścił się plagiatu? Zdania są podzielone, jednak nie ulega wątpliwości, że umysłowo ociężały ogrodnik, uznany przez mądrali z Waszyngtonu za męża opatrznościowego, jest zaledwie bladym cieniem Dyzmy.

POBITY ZA MŁODU

W oczach fanów serialu Tadeusz Dołęga-Mostowicz mógł uchodzić za postać tajemniczą. Życie pisarza, przerwane nagle w okolicznościach, które ujawniono dopiero pod koniec XX w., obrosło mitem i konfabulacją. Kariera, choć nie aż tak błyskawiczna jak Dyzmy, kłuła w oczy. Od pierwszego sukcesu do śmierci od kuli czerwonoarmisty minęło tylko

eprasa.pl 2139ab4c34

osiem lat. Luki próbowano wypełnić fantazjami lub fragmentami powieści, mającymi rzekomo autobiograficzny charakter. Dopiero w 1987 r. ukazała się uczciwa monografia, poświęcona twórczości Dołęgi-Mostowicza (pióra Józefa Rurawskiego). Na biografię czekaliśmy jeszcze dłużej.

W „Parweniuszu z rodowodem" Jarosław Górski oddzielił ziarno od plew, pozostając odporny zarówno na złotą, jak i czarną legendę pisarza. Choć zaczyna narrację od porwania i pobicia Dołęgi-Mostowicza, wówczas jeszcze żurnalisty, przez „nieznanych sprawców", to daleki jest od przeceniania tego epizodu. „Rzeczpospolita" sympatyzowała z opozycją, lecz młody dziennikarz z trzyletnim stażem nie miał wpływu na linię polityczną gazety. Pisał głównie do popołudniowego, rozrywkowego wydania. Celem ataku został przypadkowo, chciano rzucić postrach na całą redakcję. Kilkanaście miesięcy po przewrocie majowym podobne przygody spotkały licznych przeciwników sanacji. Sprawcy pozostali nietykalni.

Gdy prokurator zdołał ustalić, że auto, którym wywieziono Dołęgę-Mostowicza za miasto, należało do komendanta głównego policji, a jednym z oprawców był osobisty ochroniarz Piłsudskiego, odebrano mu śledztwo. Sąd wojskowy sprawę umorzył. Chciałoby się napisać, że w nocy z 8 na 9 września 1927 r. na skraju sękocińskiego lasu zmarł dziennikarz i narodził się literat, ale byłoby to kłamstwo. Felietony sponiewieranego autora zniknęły z łamów „Rzeczpospolitej" dopiero dwa lata później. „Kariera Nikodema Dyzmy" nie była zemstą na piłsudczykach. Literackie ambicje Dołęga-Mostowicz zdradzał znacznie wcześniej. Jako reporter zdobył bezcenną wiedzę o życiu stolicy, w artykułach używał dialogów, publikował humoreski i nowele.

Urodzony w polskich Inflantach formalnym wykształceniem nie przewyższał Dyzmy. Odebrał jednak solidną domową edukację. Matce zawdzięczał znajomość języków i znajomość klasyki, na czele z „Trylogią" i „Panem Tadeuszem", którego znał na pamięć. W 1919 r. bez zgody rodziców zaciągnął się do ułanów i walczył z bolszewikami pod rozkazami słynnego zagończyka Jerzego Dąmbrowskiego „Łupaszki". Brał też udział w wyprawie Żeligowskiego na Wilno. Z wojny Mostowicze wyszli kompletnie zrujnowani. Dla zdemobilizowanego kaprala nie było innego wyjścia niż wyjazd do Warszawy. Były panicz imał się każdej pracy, także fizycznej, poznał, co to głód i bezdomność. Na szczęście pomógł mu bogaty i dobrze ustosunkowany wuj, zapewniając lokum i angaż w „Rzeczpospolitej".

GABINET KRZYWYCH LUSTER

Dołęga-Mostowicz żył na przełomie epok i może dlatego łączył w sobie sprzeczności. Miał temperament satyryka i moralisty. Krytykował ziemiaństwo, sam będąc snobem i dumnym posiadaczem herbu. Zawołany brydżysta, kierowca i myśliwy, pisał nie dla elit, lecz dla szerokiej publiczności. Jeszcze jako publicysta postulował stworzenie w Polsce kultury popularnej, która szerzyłaby wartości moralne, patriotyzm i przywiązanie do języka, nie zawstydzając przy tym poziomem. Twierdził, że kobieta może się realizować tylko jako żona i matka, jednak zauważał, że panie czytają więcej, więc do nich głównie adresował swe powieści.

Przyjaźnił się z Wiechem, tancerką Lodą Halamą i reżyserem Michałem Waszyńskim, takim samym jak on bon vivantem. Wierzył, że kino ma większą przyszłość niż literatura, lecz narzekał, że „polski film jest najgorszy na świecie". Chciał to zmienić, zostając scenarzystą. Ostatnia powieść, „Pamiętnik pani Hanki" z 1939 r., zwiastowała powrót do wysokiej formy.

Najbardziej poczytny autor II RP był polityczną sierotą. Od endecji się dystansował, lewica też nie uważała go za swojego. „Zginął wraz z ustrojem, który go zrodził, któremu służył i poza którym nie mógłby istnieć jako pisarz" – podsumował złośliwie poeta Stanisław Brucz, pamiętany dziś wyłącznie jako tłumacz rosyjskiej i francuskiej klasyki. Słuch zaginął też po krytykach, którzy porównywali Dołęgę-Mostowicza do Balzaka i Gogola, by później spisać go na straty jako króla książek dla kucharek.

Siła Dyzmy wzięła się z jego idealnej nijakości. Dla innych był lustrem, w którym odbijały się ich zachcianki, marzenia o wpływowym znajomym i silnym mężczyźnie, „który chwyta życie za grzywę i wali w pysk". Tak wyrazisty i zarazem plastyczny bohater musiał wcześniej czy później powrócić. I wrócił, choć żadna z kontynuacji „Kariery..." nie dorównuje oryginałowi. U Marcina Wolskiego („Prezydent von Dyzma") Nikodem po wybuchu wojny traci wszystko, dla kamuflażu zapuszcza brodę i zarabia na chleb, grając na mandolinie. Niestety, przy okazji się uczłowiecza i przestaje przypominać samego siebie. Lesław Furmaga („Upadek Nikodema Dyzmy") jeszcze śmielej popuścił wodze fantazji. Zrobił z byłego urzędnika pocztowego męża stanu, w karkołomnym stylu ratującego Polskę z geopolitycznej matni. Przy okazji pojednał go z Kunickim i Mańką, zaś Ninę wtrącił do sowieckiego łagru.

Można sądzić, że Dołędze-Mostowiczowi najbardziej przypadłaby do gustu trylogia Kazimierza Dymka („Hauptmann Hirsch", „Rotmistrz Ostrowski" i „Major von Kurtitz"). Autor pozwolił Dyzmie nadal brylować w wyższych sferach, uczynił jednak z niego igraszkę w grze wywiadów. Osoba wpływowego pana na Koborowie wzbudza wielkie zainteresowanie Niemców i Sowietów, którzy chcieliby szantażem przymusić go do współpracy. Nawet wytrawnym szpiegom nie mieści się jednak w głowach, że pan Nikodem ma więcej szczęścia niż rozumu.

Międzywojenna literatura powoli odchodzi w zapomnienie, jednak Dyzma zostanie z nami dłużej niż Cezary Baryka, Marek Świda, Zenon Ziembiewicz, Atanazy Bazakbal, a nawet gen. Barcz. Dopóki polska polityka będzie sprowadzała się do żałosnych intryg i załatwiania prywatnych interesów, zaś brak kręgosłupa, skrupułów, kompetencji i rozumu pozostanie najlepszą rekomendacją do państwowych stanowisk. Czyli do końca świata. Za to odkrycie Tadeusz Dołęga-Mostowicz zasłużył przynajmniej na ulicę w Warszawie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tadeusz Dołęga-Mostowicz został pobity i wywieziony. Gdy prokurator ustalił, że auto należało do komendanta głównego policji, a jednym z oprawców był ochroniarz Piłsudskiego, odebrano mu śledztwo. Sąd wojskowy sprawę umorzył

eprasa.pl 2139ab4c34

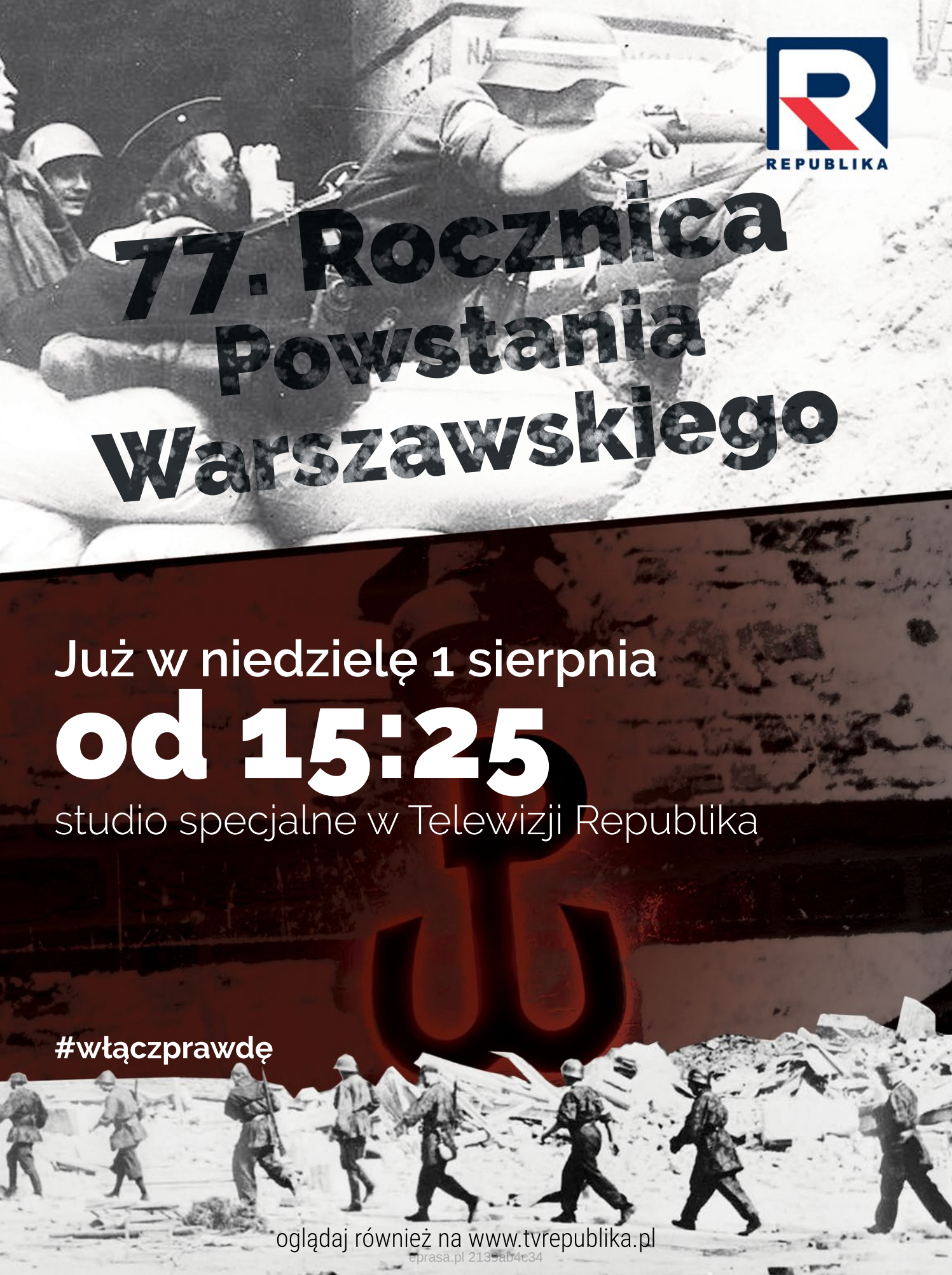

eprasa.pl 2135ab4c34

FOT. ROBERT PALKA

Historie prowincjonalne

Piotr Gociek

„Rojst '97" to świetny serial kryminalny z zaskakująco dobrą rolą Łukasza Simlata. Nie obeszło się jednak bez wpadek

Rojst« zaskakuje na wielu poziomach" – pisałem trzy lata temu, chwaląc serial wyprodukowany przez Showmax, zapomnianego dziś gracza rynku streamingowego. Przypomnijmy, południowoafrykańska konkurencja dla Netflixa ruszała z przytupem, w planach była m.in. opowieść o początkach Polski, którą chciał nakręcić Wojciech Smarzowski (w tym przypadku może akurat dobrze, że nie nakręcił). Historia Showmaxa w Polsce zakończyła się przedwcześnie, ale kariera Jana Holoubka, twórcy „Rojsta", dopiero miała nabrać rozpędu. Przecież jego debiut kinowy, czyli film „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy" (2020), został obsypany nagrodami, a i publika waliła tłumnie do kin.

Teraz Jan Holoubek z pomocą Netflixa przedstawia drugą odsłonę opowieści kryminalnej o małym mieście z Ziem Odzyskanych. W napisach mamy informację, że reżyser jest „autorem formatu", co może zwiastować zarówno kolejne sezony, jak i sprzedanie konceptu zagranicznym producentom. Cieszyć powinna nas i jedna, i druga możliwość.

OCZKO W GŁOWIE SZEFA

W pierwszym „Rojście" był rok 1985, sam środek ponurej epoki Jaruzelskiego. Sezon drugi, „Rojst'97" przesuwa akcję o 12 lat naprzód, do gorącego lata po wielkiej powodzi. Telewizja pokazuje zalaną Polskę, ulice zawalone są wyrzuconymi z mieszkań rozpadającymi się sprzętami. Piotr Zarzycki (ponownie Dawid Ogrodnik) znów trafia to redakcji „Kuriera Porannego". Kiedyś stawiał tu pierwsze kroki jako niepokorny reporter, teraz zostaje przedstawiony jako nowy redaktor naczelny. Sprzedaż gazety spada, a zdaniem Zarzyckiego, aby trend odwrócić, najlepiej dać ludziom więcej sensacji. Wiadomo więc, że sprawy kryminalne będą oczkiem w głowie świeżo nominowanego szefa.

Tymczasem policja znajduje w podmokłym lesie na Grontach (tym samym, który odgrywał ważną rolę – także symboliczną – w pierwszym sezonie) ciało 12-letniego chłopaka. Utonął, co w czasach powodzi nie jest specjalnie zaskakujące, więc sprawa zostaje zakwalifikowana jako nieszczęśliwy wypadek. I nie miałaby żadnego ciągu dalszego, gdyby nie Anna Jass, uparta policjantka z Warszawy, grana przez Magdalenę Różczkę. Jass przybyła na prowincję w ramach wymiany policyjnych doświadczeń, niespecjalnie ma co robić i mało kto poważnie ją traktuje, głównym zajęciem pani sierżant jest więc codzienne zalewanie się w trupa w restauracji hotelu Kosmos. Hotelem kieruje ten sam śliski osobnik co przed laty, grany przez Piotra Fronczewskiego. Wystrój też nie bardzo się zmienił. Tak jest w całej tej opowieści: bohaterowie znani z pierwszego sezonu mieszają się z zupełnie nowymi, zrobione jest to zręcznie i z pożytkiem dla fabuły.

A potem zagadek zaczyna przybywać. Śmierć chłopca w lesie na Grontach wymaga dalszego śledztwa i Anna Jass się w to śledztwo – wbrew woli szefa lokalnej policji – angażuje. Niechętnie pomaga jej miejscowy gliniarz Adam Mika (znakomita rola Łukasza Simlata). Duet Różczka-Simlat wypada na ekranie kapitalnie, ale show kradnie jednak Simlat. Piotr Zarzycki poznaje króla deweloperki, który jest nie tylko najbogatszym osobnikiem w okolicy, lecz także

eprasa.pl 2139ab4c34

największym (i głównym) reklamodawcą „Kuriera Porannego". Tenże przedsiębiorca oczekuje od nowego naczelnego kolejnych artykułów o nierozwiązanej sprawie porwania syna. W grę wchodzą duże pieniądze i szemrane towarzystwo. Małe miasteczka kryją wielkie tajemnice. Własną nosi w sobie Zarzycki – dlaczego otrzymał list, którego autorka wzywa go pilnie do powrotu? Żona Zarzyckiego (Zofia Wichłacz), niezbyt szczęśliwa z powodu powrotu na prowincję, też ma swój sekret.

Ponura legenda, którą otoczony jest las na Grontach, wiąże się nie tylko z tym, że od czasu do czasu znajduje się tam świeżego trupa, lecz także – a może przede wszystkim – z tym, co działo się w miasteczku zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. Wątek ten zasygnalizowany został w pierwszym „Rojście", ale nie był dokładnie objaśniony. Teraz stopniowo poznajemy tę tajemnicę za sprawą retrospekcji w każdym z odcinków serialu; „Rojst '97" zamienia się więc także w serial historyczny, a my śledzimy burzliwą młodość Witolda Wanycza, emerytowanego dziennikarza granego ponownie przez Andrzeja Seweryna (jego młodą wersję gra Krzysztof Oleksyn). Najpierw końcówkę okupacji niemieckiej, potem wkroczenie Sowietów.

Wszystko to opowiedziane jest pewną ręką. Bardzo dobrze zagrane, nakręcone, zmontowane. Oryginalny „Rojst" był przeze mnie chwalony jako jeden z najlepszych polskich seriali kryminalnych ostatnich lat, może i dekady. „Rojst '97" jest równie dobry, a może i jeszcze lepszy. Jan Holoubek wyrasta na speca od świetnie opowiedzianych historii kryminalnych, scenariusz trzyma w napięciu do końca, a sporo zwrotów akcji jest mocno nieoczywistych, więc zaskakujących. Wzrósł budżet serialu, podobno każdy z odcinków kosztował ok. 1,5 mln zł. Nie jest to fortuna, ale pieniądze wydane zostały bardzo rozsądnie i podobnie jak w przypadku pierwszego „Rojsta" nie mamy wrażenia, że ktoś musi oszczędzać na obrazkach. Powtórzę: dobra robota.

PROBLEM ZE SPÓJNOŚCIĄ ŚWIATA

Są jednak też kwestie, które należałoby twórcom wytknąć. W większości drobne sprawy, które okazują się albo złym wyborem, albo niedopatrzeniem. Za zły wybór uważam muzyczną ilustrację serialu. Mnóstwo tu piosenek zgranych, znanych i lubianych. Stare hity to zawsze ważny element budowy ekranowej iluzji i zakotwiczania opowieści w odpowiedniej chwili w historii, ale tutaj solidnie przestrzelono. Co prawda pojawia się hip-hop, ale w to, że nocny klub jedynego hotelu w mieście zachęca w roku 1997 klientów piosenkami Martyny Jakubowicz, Obywatela G.C. i elektronicznym pingoleniem Kapitana Nemo – sorry, ale uwierzyć nie mogę.

Pamiętam wielką powódź, pamiętam, jak w radiu w kółko leciał hit Big Daya „W dzień gorącego lata" oraz remiks „I'll be missing you" z bitem ukradzionym od The Police. I pamiętam, że na straganach, w knajpach i dyskotekach królowały popowe tandetne importy, które dziś można znaleźć na starych składankach typu „Bravo Summer Hits 97". Polska małomiasteczkowa słuchała na potęgę RMF FM, w którym właśnie wystartowała (czerwiec) lista przebojów Hop Bęc. Do miejsca i czasów pasuje Kayah z przebojem „Supermenka" – i tu akurat twórcy „Rojsta '97" trafili – ale pomysł, że z głośników sączy się „W domach z betonu nie ma wolnej miłości", podczas gdy półnagie panienki fikają w hotelu Kosmos na rurze – to już absurd.

Zwracam na tę kwestię tyle uwagi z dwóch powodów: po pierwsze, niby drobiazg, a rozbija spójność świata przedstawionego. Po drugie, dobrze wprowadza nas w największy problem „Rojsta '97", czyli zakorzenienie opowieści w realiach „tu i teraz" (znaczy „tam i wtedy"). Narzekałem na to przy okazji pierwszego sezonu. „Rojst", którego akcja rozgrywała się w roku 1985, nie zauważał ani istnienia Solidarności, ani żadnego z tematów, którymi żyła wtedy ulica (od procesu zabójców ks. Jerzego Popiełuszki do drastycznych podwyżek cen żywności). Ukazywał historię wypreparowaną z kontekstów politycznych, a więc i historycznych.

W „Rojście '97" jest podobnie. Mamy lato roku 1997, powódź powoli dobiega końca, coraz bliżej do wyborów, które zakończą pierwsze rządy postkomunistów w nowej Polsce, a do władzy wyniosą AWS. Rozkręca się kampania wyborcza, tygodnik „NIE" szaleje, pół kraju jest wściekłe na premiera Cimoszewicza, który powiedział powodzianom, że trzeba się było ubezpieczyć. Nic z tego nie przebiło się do świata serialu. Stary komunistyczny naczelny „Kuriera Porannego", którego zastępuje teraz Zarzycki, nie może mówić, że jednych drani zastąpili inni, bo po pierwsze jeszcze nie zastąpili, a pod drugie akurat dobiega końca kadencja (1993–1997) oryginalnych drani – znaczy komunistów. A na Ziemiach Odzyskanych wybory (także samorządowe) wygrywają nieustannie komuniści pospołu z przemalowanymi ludowcami. I tak dalej.

Podobnie z wątkiem historycznym. Dzieje romansu młodego Polaka z niemiecką rówieśniczką opowiedziano zręcznie. Ale czy naprawdę w Polsce A.D. 1997 nie można było mówić o tym, że Sowieci zaganiali niemiecką ludność do obozów, gwałcili, mordowali, a ocalałych wywozili za Odrę? A przecież atmosfera „wielkiej tajemnicy z przeszłości" unosi się nad obydwoma sezonami „Rojsta". Rozumiem, że o rosyjskim bestialstwie nie można było mówić w roku 1985. Ale w 1997 r.?

LESBIJKA O CYGAŃSKICH KORZENIACH

A jeżeli wielką tajemnicą miało być stwierdzenie, że byli i Polacy, którzy przykładali rękę do krzywdzenia niemieckich „sąsiadów", to przypomnę, że już ładnych parę lat wcześniej „Wyborcza" lansowała twierdzenia o antysemitach z Armii Krajowej i bez wątpienia opowieść o złych Polakach i dobrych Niemcach znalazłaby wielu chętnych do naświetlenia i rozgłoszenia. Ignorowanie realiów politycznych i historycznych nie prowadzi, wbrew temu, co sądzą twórcy obu „Rojstów", do stworzenia opowieści bezpiecznej, lecz do opowieści brzmiącej fałszywie.

Ciekawe, że wymogi współczesnej polityki kulturalnej Netflixa autorzy pojęli za to bardzo szybko, przerabiając niespodziewanie jedną z kluczowych postaci serialu na lesbijkę, a drugiej lesbijce dorabiając cygańskie korzenie – bo przecież dziś pora na mniejszości seksualne i etniczne. I tak oto niewłaściwie dobrane przyprawy zepsuć mogą smak najlepiej nawet przyrządzonej potrawy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

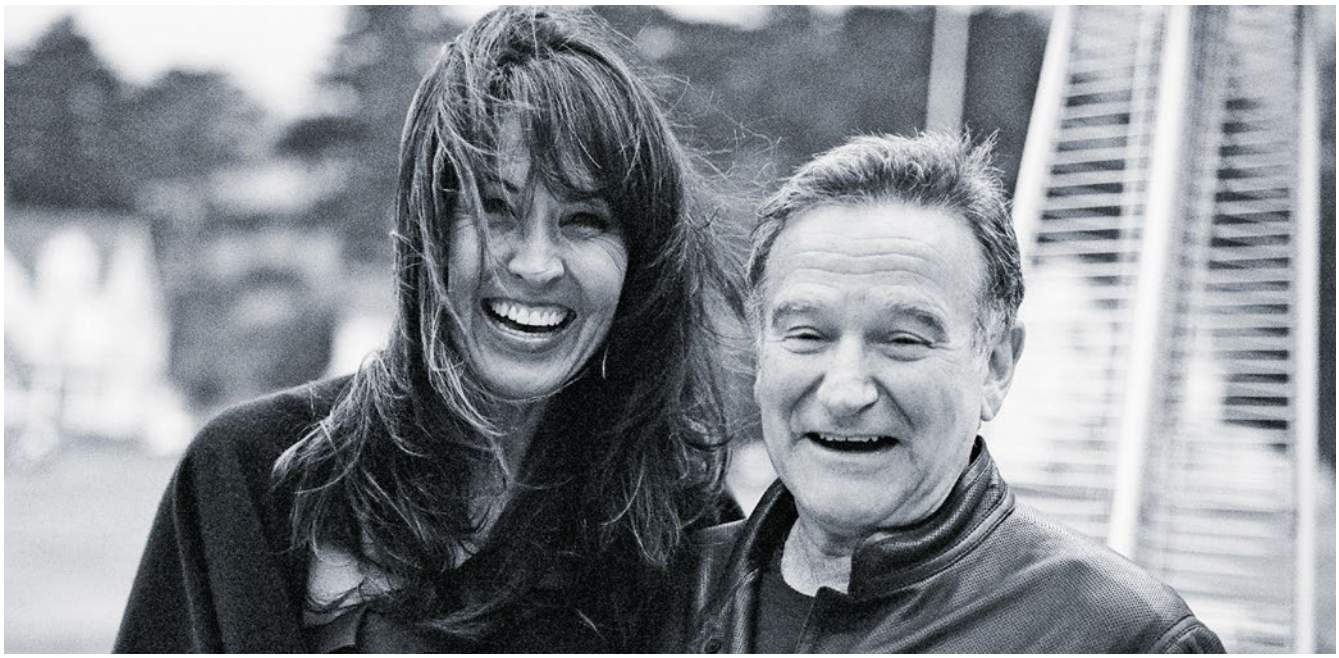

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Żegnaj, Robin!

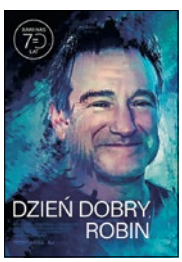

★★★★☆☆

REŻ. TYLOR NORWOOD
„DZIEŃ DOBRY, ROBIN" („ROBIN'S WISH")
USA 2020
CANAL+ DOKUMENT
dokumentalny

Dokument Tylora Norwooda o ostatnich dniach życia Robina Williamsa to wstrząsające uzupełnienie filmu „Robin Williams: W mojej głowie" (2018). Tamten, wykorzystując unikatowe materiały wideo (także domowe), opowiadał historię życia i kariery genialnego komika. „Dzień dobry, Robin" ukazuje prawdę o jego umieraniu.

Kiedy Williams popełnił samobójstwo (było to 11 sierpnia 2014 r.), w mediach natychmiast wezbrała fala spekulacji. I większość ludzi na planecie poinformowana została, że do tragedii doszło, bo aktor cierpiał na depresję/pił/ćpał/miał kłopoty finansowe/miał kłopoty rodzinne/był chory psychicznie/dopadła go artystyczną niemoc – wybierajcie swą ulubioną hollywoodzką przypadłość sami i wierzcie, w co chcecie. Cóż, święty nie był, od używek nie stronił, ale to akurat nie alkohol i narkotyki skłoniły Williamsa do samobójstwa. Co do diagnoz lekarskich: rzeczywiście stwierdzono u niego wczesne objawy choroby Parkinsona, ale prawda jest bardziej skomplikowana.

Wyszła ona na jaw podczas autopsji, której szczegóły opisano dwa lata później w artykule opublikowanym na łamach naukowego pisma „Neurology". Robin Williams cierpiał na DLB – otępienie z ciałami Levy'ego – ciężką odmianę demencji. Zdaniem lekarzy był to jeden z najcięższych przypadków, jakie widzieli. Co gorsza, choroby nie wykryto, aktor do końca nie miał więc pojęcia, co i dlaczego się z nim dzieje. Tracił pomału wszystko to, co czyniło go wyjątkowym: umiejętność improwizacji, jasność umysłu, refleks, pamięć, i nikt nie potrafił wyjaśnić mu dlaczego. „Chciałbym zresetować mój mózg" – wyznał pewnego razu. Rodzina, znajomi, współpracownicy – wszyscy byli równie zaniepokojeni, równie błądzący w ciemnościach, równie bezradni.

Film „Dzień dobry, Robin" oddaje hołd wspaniałemu artyście, odkłamuje sensacyjne doniesienia o przyczynach jego samobójstwa, ale przede wszystkim jest zapisem wielkiego dramatu. Ktoś może powiedzieć, że to opowieść nazbyt jednostronna, bo przecież Williams świętym nie był, nie bez powodu najwięcej w filmie ma do powiedzenia o nim wdowa, a inni członkowie rodziny nie bardzo. Życie Robina i życie z Robinem lekkie nie było, ale historia jego umierania jest po wielokroć bardziej ponura. ©℗

NOWE SERIALE: „ULICA STRACHU"

Trzyczęściowa opowieść „Ulica strachu" to owoc tęsknoty za popkulturą lat 90. Tak jak serial „Stranger Things" żerował na latach 80. Mieszkańcy małego miasteczka Shadyside (najwyższa liczba morderstw w USA) zmagają się z klątwą czarownicy zabitej w 1666 r. Część pierwsza to udany pastisz slasherów Wesa Cravena. Część druga odwołuje się do klasycznego „Halloween" Johna Carpentera. Część trzecia przenosi nas do XVII stulecia – korzeni przedstawianej ponurej historii. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Leigh Janiak „Ulica strachu" („Fear Street"), USA 2021, wyst. Kiana Madeira, Olivia Scott Welch, Benjamin Flores jr***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Mów mi Kat" („Call Me Kat")****, USA 2021* COMEDY CENTRAL
- *sezon 2* ***„Co robimy w ukryciu" („What We Do in the Shadows 2")****, USA 2020* FOX
- *sezon 2* ***„Outer Banks"****, USA 2021*

eprasa.pl 2139ab4c34

Polak potrafił

Rzeźbiarz z PRL, lubiący spędzać wakacje nad Morzem Czarnym, wchodzi w paradę francuskojęzycznym przemytnikom narkotyków. Na plaży i w namiocie dotrzymuje mu towarzystwa młodsza o jakieś 30 lat Heidi. Dziewczyna kocha Pawła na zabój. On, jak przystało na weterana powstania warszawskiego, ani myśli odwzajemniać uczuć Niemki. Będąc wytrawnym pływakiem, kucharzem, poliglotą i uwodzicielem, może mieć każdą kobietę, poza tym zżera go zgoła inna żądza – chce posiąść 20 tys. dol. Bułgarska milicja liczy, że się letnik opamięta, jednak na wszelki wypadek otacza Polaka specjalną opieką. Ten fabularny zakalec zrodził się w wyobraźni Wojciecha Żukrowskiego, moralisty bez kręgosłupa. Cierpliwy papier wszystko zniesie, jednak na ekranie fałsz widać znacznie wyraźniej. W dodatku filmowców zmogły bałkańskie upały.

„Zapach psiej sierści" – nudny kryminał i denerwujący melodramat – powstał w czasach wzlotu tudzież upadku Solidarności, lecz zalatuje hipokryzją, charakterystyczną dla epoki Gierka. Nie ratują go muzyka Włodzimierza Nahornego ani paradujący w żółtych majtkach Roman Wilhelmi (świeżo po zagraniu życiowej roli w serialu „Kariera Nikodema Dyzmy"). W jednej ze scen katolicki ksiądz z Burgas ubolewa, że „religia upada". Kto pamięta realny socjalizm, ten ów dowcip z pewnością doceni. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★☆☆☆☆

REŻ. JAN BATORY
„ZAPACH PSIEJ SIERŚCI"
POLSKA/ BUŁGARIA 1981

wyst. Roman Wilhelmi, Izabella Dziarska, Dobri Dobrew

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZŁE WIBRACJE

KINO

W królestwie X muzy najbardziej deficytowym towarem jest odwaga. Aktorzy podlizują się reżyserom, reżyserzy klękają przed producentami, producenci wychodzą ze skóry, by zadowolić publiczność. Jedną z metod zrzucania odpowiedzialności na widzów jest kręcenie filmów z założenia dwuznacznych. Sam musisz zdecydować, co właściwie oglądasz. W rezultacie dla jednych „Intruz" to studium schizofrenii, dla drugich reklama zabobonu. Dość oryginalnego, gdyż zasadzającego się na przekonaniu, że człowiek jest jak instrument: emituje dźwięki. Niestety, czasem ich tonacja bywa fałszywa. Znerwicowana bohaterka uwierzy w akustykę ciał tym łatwiej, że pasjami udziela się w chórze i dubbinguje zagraniczne filmy. Rivas, panna młoda z „Dzikich historii", bardzo się stara, jednak głos wewnętrzny podpowiada mi, że eskalacja dziwactw tudzież niepokojących zdarzeń przypadnie do gustu jedynie garstce koneserów.

★★★☆☆☆

REŻ. NATALIA META
„INTRUZ" („EL PRÓFUGO")
ARGENTYNA/ MEKSYK 2020

wyst. Érica Rivas, Nahuel Pérez Biscayart, Cecilia Roth

DOGONIĆ MARZENIA

Komu życie potoczyło się nie tak, jak chciał, ten Waltera zrozumie. Zamiast świat zmieniać i góry przenosić, ugrzązł w dziale negatywów w niegdyś kultowym, lecz dogorywającym w dobie Internetu magazynie „Life". Żeby całkiem nie zardzewieć, śni na jawie o wyczynach godnych supermana. Znienacka los wystawia naszego bohatera na próbę: musi wytropić słynnego fotografa-globtrotera. Walter tylko raz wyjechał z rodzinnego stanu i nawet nie pamięta już, po co, lecz wsiada do samolotu i leci na Grenlandię. Dziś ogląda się ten film inaczej niż siedem lat temu, gdy najważniejszy wydawał się pozytywny przekaz. A przecież namawianie szaraków, by „poczuli dreszcz ryzyka", tworzenie list miejsc, które należy przed śmiercią odwiedzić, tudzież wyzwań, którym koniecznie trzeba sprostać – to ewidentne objawy choroby cywilizacyjnej. Pod pewnymi względami gorszej od COVID-19, bo atakującej mózg. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. BEN STILLER
„SEKRETNE ŻYCIE WALTERA MITTY" („THE SECRET LIFE OF WALTER MITTY")
USA 2013

wyst. Ben Stiller, Kristen Wiig, Adam Scott

GRA TYGODNIA: „F1 2021"

★★★★★☆

Nie trzeba być fanem F1, by przy „F1 2021" świetnie się bawić, bo to po prostu dobra gra wyścigowa. Dająca poczucie prędkości, oferująca wiele zróżnicowanych trybów rozgrywki, doskonale zbalansowana. Po włączeniu wszystkich ułatwień nawet niedoświadczeni kierowcy będą mogli na koniec otwierać szampana (i nie poczują się prowadzeni za rączkę). Z wyłączonymi „wspomagaczami" wyzwanie staje się poważne. Jeśli miałbym się czepiać, to zwłaszcza wyglądu otoczenia toru. Tekturowe ludziki na trybunach nowej generacji już nie przystoją. Z drugiej strony, jeśli masz czas narzekać na wygląd trybun, to znaczy, że jedziesz za wolno. A więc gazu! ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Wyścigi*
- ***Platforma:*** *PC, XSX, XONE, PS5, PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Codemasters, Electronic Arts Inc.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2139ab4c34

MOJA PÓŁKA

Wojenny poemat Rembeka

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Jedną z niedawnych „Półek…" poświęciłem książce prof. Macieja Urbanowskiego „Rok 1920 w literaturze polskiej", w stulecie wojny polsko-bolszewickiej podsumowującej rozdział rodzimego piśmiennictwa dotyczący tego właśnie zmagania. Rozdział bynajmniej nie tak skromny, jak powszechnie sądziliśmy, w którym zupełnie szczególne miejsce zajmuje twórczość Stanisława Rembeka (1901–1985), na czele z powieściami „Nagan" i „W polu".

Dziś z ogromną satysfakcją anonsuję w tym miejscu ukazanie się trzech pierwszych tomów „Dzieł zebranych" Rembeka, odnoszących się do zakończonej zwycięstwem wojny z szykującą się do podboju Europy bolszewią. Edycję rozpoczynają „Dziennik 1920 i okolice" oraz dołączone do niego tematycznie związane opowiadania; tom drugi to „Nagan", a trzeci „W polu". „Dzieła…" ukazują się w opracowaniu prof. Urbanowskiego, z jego notami edytorskimi i posłowiami. Całość wydania zamierzona jest na dziewięć (a może i dziesięć) tomów; w przyszłym roku opublikowane zostaną utwory Rembeka o drugiej wojnie światowej, z dziennikiem okupacyjnym, „Wyrokiem na Franciszka Kłosa" i niedokończoną powieścią o wrześniu 1939 r.; wreszcie edycję zamkną „Ballada o wzgardliwym wisielcu i gawędy styczniowe" (o powstaniu w 1863 r.), tom „Szabla i przemoc" oraz nieznana powieść o powstaniu listopadowym „Wianek Malwiny".

Edycja ta należała się autorowi „W polu" jak mało komu. Wojna z bolszewikami, której był kombatantem, zaciążyła bowiem na jego życiu, skazując w PRL na literacki niebyt lub, w najbardziej dla niego pomyślnych latach, na drugorzędność. Przy tym, w myśl zasady: „Każdemu to, na czym mu mniej zależy", najwięcej trudności z dotarciem do czytelników miała

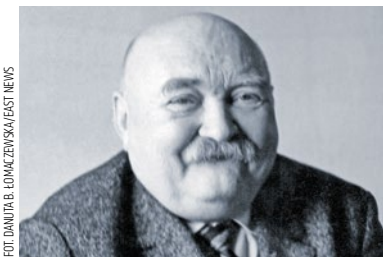

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

jego zdecydowanie najwybitniejsza proza, jaką jest „W polu" właśnie. I to począwszy od jej pierwszego wydania w roku 1937, kiedy to Rembek skarżył się Marii Dąbrowskiej, że sprzedało się zaledwie 80 egzemplarzy tej byle jak wydanej powieści. Być może pisarz przesadzał, bo trzeba pamiętać, że krytyka bardzo „W polu" chwaliła, a Lech Piwoński nazwał ją – jakże słusznie – „poematem grozy, klęski i zagłady".

Kiedy główny bohater „W polu", por. Paprosiński, w jakiejś mierze wykazujący podobieństwo do autora, „wyruszał na front, radował się nadzieją, że pośród wszelkich niewygód, trudów i grozy znajdzie tam cenne i czyste jak brylant poczucie pełnienia najcięższego obowiązku. Tymczasem rozczarował się zupełnie. To, co ze swej strony uważał za najwyższe poświęcenie, było naturalnym i radosnym żywiołem dla bardzo wielu jego towarzyszy broni, wśród których – jak się przekonał – co najmniej tylu było łotrów, co bohaterów, tylu wyrzutków społeczeństwa, co jego obrońców. Wszystkie zbrodnie cieszyły się tu bezkarnością, z wyjątkiem nieposłuszeństwa i tchórzostwa. Nie mogło być inaczej".

Wspaniały teatr wojny przedstawiony przez Stanisława Rembeka jest surowy, jak najdalszy od wielkich słów, odarty z patosu. Co bowiem począć ma dowódca z żołnierzem, który skamle, że nie może iść dalej, „bo – powiada – jestem ranny w głowę za pomocą odłamka od granaty". Apelować do jego uczuć wyższych?

W przedmowie do wydania powieści mającego się ukazać na fali popaździernikowej odwilży ok. 1957 r. Stanisław Rembek pisał niepopularne i wtedy, i dziś rzeczy. Ot, tak na przykład, wspominając okoliczności, w których Polska odzyskała niepodległość. Był wtedy uczniem gimnazjum w Piotrkowie: „[…] wkroczenie legionów Piłsudskiego nie spotkało się z entuzjazmem. Legionistów traktowano jako młodzież otumanioną przez agentów austriackich. Zapalczywsi nazywali ich po prostu – »pruskimi pachołkami«. Jedynie młodzież nie mogła się oprzeć urokowi rogatywek, czak ułańskich, barw narodowych, a zwłaszcza orzełków na czapkach, chociaż te były »oskalpowane«, czyli pozbawione koron. Wszyscy główni twórcy legionów, jak Piłsudski, Sosnkowski, Rydz-Śmigły, byli socjalistami. W imię demokracji odrzucili oni państwowy herb Polski, zastępując go rodowym, a więc prywatnym niejako herbem Piastów, podobnie jak dzisiaj komuniści". Oczywiście „W polu" nie wydano ani wtedy, ani później przez cały okres PRL. Zakaz złamała dopiero w 1983 r. „Nowa" w drugim obiegu; wcześniej do tego arcydzieła polskiej literatury wojennej dostęp mieli jedynie posiadacze przedwojennego wydania „W polu" lub egzemplarza edycji Instytutu Literackiego w Paryżu, gdy Jerzy Giedroyc w 1958 r. opublikował powieść w półtoratysięcznym nakładzie.

Na przełomie wieków miało już „W polu" kilka wydań; szczególnie warto w tym miejscu przypomnieć zasługi Grzegorza Łatuszyńskiego i jego żony Maryli w popularyzacji utworów Rembeka. Dziś pisarz ten zostaje nam ukazany – za sprawą Macieja Urbanowskiego i PIW – w całej swej krasie. ©℗

★★★★★★
STANISŁAW REMBEK „DZIEŁA ZEBRANE", T. I–III
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 2139ab4c34

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Graj, nie żałuj strun

Najlepsze są w tej powieści partie, w których czytamy o muzyce: wszystkie przepojone są głęboką miłością. Aż nieswojo mi się zrobiło, gdy przypomniałem sobie, że przecież Marcin Ciszewski sam niegdyś grywał w kapelach. Dawno, dawno temu, w innym życiu, bo teraz jest autorem bestsellerów historycznych, militarnych i kryminalnych. Jednak dawna miłość nie rdzewieje i coś aż eksplodowało mu pod piórem, gdy zabrał się do historii fikcyjnego Jana Bergera, lidera grupy Katmandu.

Ten zaś „w życia wędrówce, na połowie czasu, w głębi ciemnego znalazł się lasu" (to akurat Dante, nie Ciszewski), na tym mrocznym rozdrożu zaś czyhają na niego same niebezpieczeństwa. Kumple z kapeli przestali go rozumieć. Bezlitosny menago zespołu knuje. Córka Bergera nie chce go znać. A do drzwi puka 19-latka w ciąży – czyżby niosąc owoc tego, co wydarzyło się pół roku wcześniej po koncercie w Szydłowcu? Wszystko zmierza więc ku przesileniu, a jeśli dodamy do tego skłonność bohatera do trunków wysokoprocentowych, to wydaje się z początku, że jesteśmy na drodze do katastrofy. Czegoś w rodzaju melodramatu „Narodziny gwiazdy", w którym zostaniemy bez nowej gwiazdy – tylko ze starymi demonami.

Ciszewski poddał jednak swego bohatera próbie nieco mniej niszczącej, co nie znaczy, że mało ważnej. Tak, jest to powieść o dorastaniu, i to mocno spóźnionym (Berger zbliża się już do sześćdziesiątki). Ale jednocześnie, mam wrażenie, rozliczenie z marzeniami i spojrzenie na rozterki bliskie nie tylko podstarzałym gwiazdom rocka. Każdy – pisarz, muzyk, malarz – bije się z takimi myślami: stare emocje umarły, czy da się wykrzesać nowe? Co, jeśli wygrały już na dobre wygodnictwo, rutyna, stała kasa, lekka znieczulica (bo tylko młodzi i naiwni przejmują się cudzymi uczuciami)?

Jest w „Ostatnim liście" chwila, gdy Berger zdaje się być przekonany, że tylko wielka tragedia pozwala tworzyć rzeczy ponadprzeciętne. Ostatecznie jednak lekcja brzmi: można je także wywieść z doświadczenia, mądrości, zrozumienia. Przede wszystkim zaś zapominać nie wolno, że gdy jedne drzwi się zamykają, zwykle otwierają się inne. Trzeba tylko potrafić je dostrzec. Spójrzcie na historię samego Ciszewskiego: trzy dekady temu straciliśmy basistę zapomnianych już doszczętnie zespołów, ale za to kilkanaście lat później zyskaliśmy popularnego i utalentowanego pisarza. ©℗

★★★★☆
MARCIN CISZEWSKI „OSTATNI LIST" PASCAL 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor świetnej książki o geopolityce („Więźniowie geografii") tym razem wraca do swych doświadczeń z lat 90. XX w. Jako reporter Sky News relacjonował wtedy wydarzenia w byłej Jugosławii prowadzące do wojny o Kosowo (1999).

TIM MARSHALL „W TEATRZE CIENI" ZYSK I S-KA

Polemicznie, ciekawie, na przykładach. Nie tylko o tym, jak filmy fałszują historię, także o tym, jaki wpływ ma to zjawisko na postrzeganie kluczowych wydarzeń przez widzów nieświadomych, że ulegają manipulacji. Pouczające.

JAKUB OSTROMĘCKI „SKRĘCONA HISTORIA" BELLONA

Zbiór opowiadań cenionego autora czeskiego. W stylu, który znamy i lubimy: wesoło, czyli smutno, z elementami śmiesznych miłości. Powtarza się zwłaszcza motyw zauroczenia starszych panów młodszymi niewiastami.

JIŘÍ KAMEN „ŚWIECE W POGAŃSKIM GAJU" DOWODY NA ISTNIENIE

Ciąg dalszy „Urodziłem się w Barbakanie", czyli Papcio Chmiel, twórca Tytusa, Romka i A'Tomka, o swoim życiu powojennym i karierze rysownika. Wznowienie pośmiertne: geniusz polskiego komiksu zmarł 22 stycznia. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

H.J. CHMIELEWSKI „ŻYWOT CZŁOWIEKA ZMAŁPIONEGO" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „OLEG"

Oleg ma wspaniałą żonę, nastoletnią córkę i głowę pełną niesamowitych obrazów – żyje z rysowania komiksów i okładek. Autotematyczna opowieść znanego szwajcarskiego twórcy jest zarówno hołdem dla życia rodzinnego, jak i rozważaniami o twórczych mękach artysty rozdartego między własnymi obsesjami a komercyjnymi wyzwaniami rynku. Trzecia warstwa to lament nad tym, jak ludzie traktują swoją planetę („przecież nie będziemy sobie wszystkiego odmawiać" to argument beztroskich przejadaczy wszystkiego). Nawet jeśli nie jest to dzieło odkrywcze, to bardzo często wzruszające. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

FREDERIK PEETERS „OLEG" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2021

eprasa.pl 2139ab4c34

Siedem lat i jedenaście wycieczek

FOT. MUCHY/FACEBOOK

Już po pierwszym demie niektórzy widzieli w nich „nadzieję polskiego rocka", nazywano ich „najlepszym polskim zespołem bez kontraktu". Zagrali setki koncertów, wydali cztery albumy studyjne, płytę live z Jarocina i… zniknęli na siedem długich lat. Niedawno Muchy wróciły z piątym albumem studyjnym, wydanym przez Kayax.

„Ten album to 11 wycieczek po siedmiu ostatnich latach życia – mówią Muchy o swoim albumie »Szaroróżowe«. – Po siedmiu latach od ostatniej płyty, z których szczególnie dwa ostatnie były bardzo wymagające, ten album jest jak haust świeżego powietrza – pomost, po którym można bezpiecznie przejść ze starego świata w nowy i osobisty przewodnik, jak się po nim poruszać. Płyta miała czas, żeby dojrzeć. Była praktycznie gotowa już rok temu, ale nie chcieliśmy wypuszczać jej w lockdownowym niebycie. Z dzisiejszej perspektywy była to dobra decyzja. Mogliśmy w skupieniu ją dopracować i zaprosić wspaniałych gości". Goście ci to m.in. Kasia Nosowska, Monika Borzym, Jan Borysewicz, Zbyszek Krzywański.

Muchy zakładał w Poznaniu w 2004 r. wokalista i gitarzysta Michał Wiraszko. Rok później gotowe było demo „Galanteria", ale pierwszy duży pełnoprawny album – „Terroromans" – ukazał się w 2007 r. Zespół zdobył kilka nagród i wyróżnień. Zafascynowani zarówno polskim rockiem lat 80., jak i najnowszymi trendami w muzyce, tworzyli ciekawą mieszankę muzyczną, której wartość dodaną stanowiły też teksty pisane przez Wiraszkę („Przesilenie" z drugiej płyty „Notoryczni debiutanci" wspięło się na szczyt Listy Przebojów Trójki). Trzeci album „Chcecicospowiedziec" ukazał się w roku 2012, a ostatnią przed siedmioletnią przerwą płytą studyjną była „Karma Market". ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jazz

Utytułowana wytwórnia Blue Note, kierowana obecnie przez producenta Dona Wasa, stawia na nowe kierunki w jazzie, mogące zaintrygować młodego odbiorcę. Jednocześnie „wskrzesza" muzyków, którzy w „klasycznych" czasach tworzyli na poboczu głównego nurtu.

W ciągu 40 lat saksofonista Dave McMurray brał udział w niezwykłych projektach, które kreował Don Was. Nagrywał z punk-funkowym Was (Not Was), ale też z Bobem Dylanem, B.B. Kingiem i Iggym Popem. Jego piąty, najlepszy album zawiera 10, głównie instrumentalnych, wersji piosenek zespołu Grateful Dead. Klasyki ikon hippisowskiej rewolucji, „Fire on the Mountain" i „Dark Star", w jazzowych aranżacjach nabrały karaibskich kolorytów i reggae'owej pulsacji. Mroczny wokal Bettye LaVette nadaje „Loser" dramatycznego wymiaru. We wstęp do „Eyes of the World" McMurray wplata temat „What's Going On" Marvina Gaye'a. Uduchowiona wersja „Touch of Grey" utrzymana jest w stylistyce detroickiego gospel. Soul-jazzowa aranżacja zamykającego album „The Music Never Stopped" rozbłyska w finale psychodeliczną nutą. Atrakcyjne melodie utworów Grateful Dead w wykonaniu saksofonisty z Detroit są zarówno wyrafinowane, jak i przystępne, a momentami nawet taneczne. ©℗

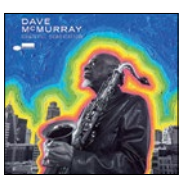

★★★★★★

DAVE MCMURRAY
„GRATEFUL DEADICATION"
BLUE NOTE

★★★★★★

ALICE COLTRANE
„KIRTAN: TURIYA SINGS"
IMPULSE!

W 1978 r. wdowa po Johnie Coltranie wycofała się z życia publicznego. Podczas „kirtan" (nabożeństw) nagrywała dewocyjne śpiewy. Usłyszymy dziewięć niepublikowanych hinduskich „bhajanam", które Alice wykonuje z towarzyszeniem organów Wurlitzera.

★★★★★★

JOHN MCLAUGHLIN
„LIBERATION TIME"
ABSTRACT LOGIX

79-letni wirtuoz gitary nagrał płytę, wymieniając się plikami ze współpracownikami. Ogniste jazz-rockowe kompozycje przeplatają się z postbopowymi improwizacjami i fortepianowymi, medytacyjnymi miniaturami nagranymi przez McLaughlina 40 lat temu. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Z przejęciem przyglądam się dzisiejszym romskim wykonawcom FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Lato, lato wszędzie

Krzysztof Masłoń

Jeśli się człowiek wychował na takich piosenkach jak „Luczija", to nic, co cygańskie, przepraszam – romskie, nie będzie mu obce. Że o disco polo nie wspomnę

Dochodzące z miasta Płock cygańskie śpiewy przypomniały mi znane z późnego dzieciństwa przeboje cygańskiego księcia zwanego Michaj Burano, o palmę pierwszeństwa rywalizującego w Niebiesko-Czarnych z samym Czesławem Niemenem, wtedy jeszcze Wydrzyckim. Zdaje się, że był Burano analfabetą, a w każdym razie języka polskiego nie opanował nigdy na tyle, by śpiewać zrozumiale, bo to, co wychodziło z jego ust, było niesłychaną mieszanką wielojęzykową, a rodzime słowa w jego interpretacji zmieniały się w przedziwne łamańce, które rozszyfrowywali słuchacze takich utworów, jak na przykład „Zostały mi tylko twoje listy". Za to jego śpiew budził niekłamany podziw, bo iskry bożej mu nie brakowało. Podobnie jak urody.

Bardzo lubiłem jego balladę „Gdy pójdę w drogę, wezmę z sobą księżyc", napisaną przez Jerzego Ficowskiego: „Ruszę drogą w las, Skradnę złoto gwiazd, / Nawet księżyc sam, Tobie, Kali, dam". Ciekawe, że poeta najpierw popełnił tę piosenkę w języku cygańskim, tak że Burano śpiewał ją jako „Ława ande drom sownakuno ćchon". Ale że wywodził się z Lowarów, języka Romów – jak się miało okazać – też nie rozumiał i tekstu nauczył się na pamięć fonetycznie, a że wykonywał go z uczuciem, wszyscy byli zachwyceni.

Minęło niemało lat od popisów Burana i nieco mniej popularnej Randii, wypełnionych użalaniem się Maryli Rodowicz i Stana Borysa, że „dziś prawdziwych Cyganów już nie ma", oraz odgrażaniem się tej pierwszej, że „ciepłym wiatrem podszyje [Cyganom – przyp. K.M.] stare płótno" i oto gdzieś w końcu gierkowskiej dekady sukcesu przy wakacyjnych ogniskach, jak Polska długa i szeroka, rozniosła się nuta, bynajmniej nie swojska, lecz cygańska właśnie, towarzysząca słowom idącym jakoś tak: „Ore, ore, szabadabada amore". Zapamiętałem nawet jej wersję, powiedzmy żurnalistyczną, jako że jeden z moich dziennikarskich kolegów, gdy tylko za pomocą ulubionego napitku wprowadził się w ekstatyczny stan, z zapamiętaniem wyśpiewywał: „Ore, ore, mam wątrobe bardzo chore, / Ore, ore, szabadabada, /Bo gdy jest się redaktorem, /wątrobe się taką ma".

Nic dziwnego, że z przejęciem przyglądałem się dzisiejszym romskim wykonawcom starych i nowych cygańskich śpiewek na czele z Donem Vasylem i jego wnukami z ansamblu Cygańscy Książęta, którzy stanowili ozdobę kolejnego letniego koncertu w ramach Wakacyjnej Trasy Dwójki. A nieczułym na urok cygańskich romansów szampańską zabawę zapewnili z pewnością niezawodni mistrzowie disco polo, Classic i Bayer Full.

Wprawdzie już na pierwsze dźwięki przebojów tych zasłużonych dla kultury polskiej zespołów moje wnuczki uciekły z krzykiem od telewizora, a żona ostentacyjnie wyniosła się do sypialni, by w samotności upajać się kolumbijskim serialem „Królowa i konkwistador", ale co tam one wiedzą! Jak się człowiek wychował na takich piosenkach jak „Luczija", w której Michaj Burano zapewniał, że: „Kocham Lucziję, a ona mnie ni /dlaczego ja tak cierpię, wytłumaczcie wreszcie mi /Adie", to nic, co cygańskie, przepraszam – romskie, nie będzie mu obce. Że o disco polo nie wspomnę, bo słuchanie Boysów czy Pięknych i Młodych to, jak się zdaje, nasz patriotyczny obowiązek.

Naturalnie w przerwie w oglądaniu zmagań olimpijskich. Już dziś zastanawiam się, czym TVP zaskoczy nas po tokijskiej imprezie. Kiedyś Wojciech Młynarski śpiewał, z odpowiednią dozą ironii, o tym, że „chleba dosyć, lecz rośnie popyt na igrzyska" właśnie. Co więc teraz robić po europejskiej kopaninie i bezwidzowej olimpiadzie? Znów łatać dziury w ramówce skakaniem na nartach, jak nie na igelicie, to na śniegu? Telewizja transmituje już kwalifikacje do konkursów skoków i, oczywiście, same konkursy. Ale może by tak nadawać na żywo jeszcze skoki treningowe Wąska i Pilcha? Warto też rozpatrzyć możliwość objęcia wizyjnym patronatem rozgrywek w rugby i hokeja na trawie oraz drugą i trzecią ligę piłki nożnej.

Jeśli chodzi o telewizje konkurencyjne, to trudno nie zauważyć wysiłków TVN, by zbliżyć się do tzw. szarego człowieka. To z myślą o nim TVN Style rzuciła hasło „Czas na zmianę", zachęcając – uwaga! – do zakupów w second handach, gdzie – okazuje się – nabyć można ciuchy, które po odpowiedniej stylizacji podpowiedzianej przez Karolinę Limbach przemienią się we wspaniałe kreacje. Poza tym prześladowana przez władze telewizja w swojej misyjnej działalności pokazuje, z uporem godnym stanowczo lepszej sprawy, jak „Rozenek cudnie chudnie" i napomina widzów: „Zaplanuj długie życie", co w dobie zbliżania się kolejnej fali koronawirusa wygląda na prowokację.

Co poza tym? Lato. I w tym tylko nie ma żadnego cygaństwa. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Krystian Kratiuk

Kościelne cancel culture

Papież Franciszek radykalnie ograniczył możliwość odprawiania Mszy Świętej w rycie sprzed posoborowych zmian. Tradycji i jedności Kościoła została zadana bolesna rana. Co najciekawsze, to, co święte dla poprzednich pokoleń oraz tysięcy współczesnych, chce się wymazać właśnie w imię jedności

Gdy w roku 2007 Benedykt XVI publikował motu proprio „Summorum Pontificum", katoliccy tradycjonaliści i konserwatyści nie ukrywali radości. Oto bowiem dziesiątki lat po promulgowaniu przez Pawła VI nowego porządku Mszy Świętej (i wydaniu niepisanego, ale dorozumianego zakazu odprawiania Mszy w dotychczasowym rycie) wreszcie można było znów swobodnie uczestniczyć w liturgii celebrowanej w ten sam sposób, w jaki czyniono to w Kościele przez poprzednie stulecia.

Jedyny hierarcha Kościoła, który odważył się na nieprzestrzeganie nakazów papieży Pawła VI i Jana Pawła II i wciąż odprawiał „starą Mszę", abp Marcel Lefebvre, został ekskomunikowany wraz z wyświęconymi przez siebie bez zgody Rzymu biskupami przez papieża Polaka. Karę tę zdjął z niego dopiero Benedykt XVI, uważający, że ludzi wiernych katolickiej Tradycji należy traktować inaczej.

Papież Benedykt uważał, że „to, co poprzednie pokolenia uważały za święte, świętym pozostaje i wielkim także dla nas, przez co nie może być nagle zabronione czy wręcz uważane za szkodliwe. Skłania nas to do tego, byśmy zachowali i chronili bogactwa będące owocem wiary i modlitwy Kościoła i byśmy dali im odpowiednie dla nich miejsce". Słowa te opublikował we wspomnianym wcześniej motu proprio umożliwiającym każdemu kapłanowi odprawianie Mszy Świętej w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego (wcześniej należało poprosić o to biskupa miejsca, a ci bardzo rzadko udzielali zgody). Podkreślał przy tym, że „Msza trydencka" nigdy nie została zniesiona czy zakazana.

Po 2007 r. w całym świecie zachodnim rozkwitły wspólnoty wiernych Tradycji. Wbrew pozorom nie organizowali ich staruszkowie wspominający Msze swojej młodości, ale młodzi katolicy, dostrzegający w dawnym rycie odpowiednią dla siebie duchowość. Podkreślali, że w ich odczuciu „Msza po staremu" (odprawiana po łacinie, z kapłanem zwróconym w stronę ołtarza, a nie ludu) jest wyjątkowo godna, piękna, pozwala utożsamić się z minionymi pokoleniami świętych, kładzie nacisk na duchowość eucharystyczną, na cześć dla Boga, nieco inaczej niż nowa Msza, która – w opiniach tradycjonalistów – zbyt duży nacisk kładzie na wspólnotowy aspekt wydarzenia.

Co więcej, w wielu przypadkach (w Polsce możemy mówić nawet o większości przypadków) to młodzi świeccy katolicy organizowali kapłanom… naukę odprawiania Mszy w starszym rycie! Powstawały fundacje i stowarzyszenia

eprasa.pl 2139ab4c34

Franciszek ograniczaniem Mszy św. w dawnym rycie niszczy to, co było największym sukcesem pontyfikatu Benedykta XVI FOT. MATEUSZ SZYMKIEWICZ/WIKIPEDIA

oraz mniej formalne grupy działające na rzecz rozpowszechnienia starego rytu.

ZDUSIĆ ROZKWIT TRADYCJI

Franciszek – pierwszy papież wyświęcony na kapłana już po Soborze Watykańskim II – od początku swego pontyfikatu nie ukrywał, że ani konserwatystów, ani tradycjonalistów i Tradycji jako takiej nie lubi, a wręcz że mu przeszkadzają. Świadczyły o tym zarówno jego nominacje na stanowiska w Kurii Rzymskiej, jak i osobiste wypowiedzi. Na jednym ze spotkań z kapłanami opowiadał o tym, że „tradycjonalistyczni klerycy często zachowują się bardzo dobrze, bardzo pobożnie, ale już po święceniach okazuje się, że miewają psychologiczne i moralne problemy". Przyjmowanie ich do seminarium nazywał „swoistym nakładaniem na Kościół hipoteki" i dodawał, że „tacy kandydaci na księży są akceptowani często ze względu na kryzys powołań".

Teraz Franciszek przeszedł od słów do czynów. Postanowił radykalnie ograniczyć Mszę Świętą w dawnym rycie, zezwalając biskupom miejsca na jej całkowite zakazanie. Jego dokument o dość uszczypliwym tytule „Traditionis custodes" („Opiekunowie Tradycji") cofa wszystkie postanowienia Benedykta XVI w tej sprawie. I bardzo surowo ocenia to, co wydarzyło się przez ostatnie 14 lat.

Papież powołuje się na wyniki ankiety, którą kilkanaście miesięcy wcześniej wysłał do biskupów na całym świecie. Prosił, by napisali, jak rozwijają się w ich diecezjach wspólnoty skupione wokół „Mszy trydenckiej". Gdy nadeszły odpowiedzi, Franciszek stwierdził, że we wspólnotach tych krytykuje się nową Mszę, niektóre ustalenia Soboru Watykańskiego II oraz, zapewne, samego papieża. Dlatego też postanowił nie tylko zakazać odprawiania Mszy Świętej w starszym rycie bez zgody biskupa, lecz także zakazał organizowania tych Mszy w kościołach parafialnych, zakazał tworzenia nowych parafii personalnych dla wspólnot Tradycji, ale też podkreślił, że „księgi liturgiczne promulgowane przez świętych papieży Pawła VI i Jana Pawła II, zgodnie z dekretami Soboru Watykańskiego II, są jedynym wyrazem lex orandi Rytu Rzymskiego". Jakby tego było mało, nakazał każdemu biskupowi swoisty przegląd owych wspólnot w diecezji, czy aby nie sieje się tam fermentu – to znaczy, czy nikt nie ośmiela się zauważyć, że pewne działania, wypowiedzi czy nawet formalne dokumenty współczesnej hierarchii Kościelnej nie są zgodne z odwiecznym nauczaniem Kościoła.

Co więcej, papież stanowczo zakazał tworzenia jakichkolwiek nowych grup, w których odprawiana byłaby Msza Święta w tradycyjnej formie rytu rzymskiego, a każdy kapłan wyświęcony po 16 lipca 2021 r., który będzie chciał odprawiać „po staremu", będzie musiał uzyskać nie tylko zgodę biskupa, lecz także Stolicy Apostolskiej!

O tym, jak bardzo papieżowi zależy na wykasowaniu tego, co było, niech świadczy art. 8 jego dokumentu, w którym uchyla nie tylko „wcześniejsze normy, instrukcje i zezwolenia", lecz także „zwyczaje, które nie są zgodne z nowymi postanowieniami". Wszystko to zostało zarządzone i wprowadzone w życie tego samego dnia – bez żadnego zwyczajowego vacatio legis.

Co więcej, w towarzyszącym nowemu motu proprio liście do biskupów

eprasa.pl 2139ab4c34

Franciszek bez ogródek wyjaśnia, że to od nich zależy, czy stary ryt będzie jeszcze istniał.

DLACZEGO?

Zaraz, zaraz – żachną się Państwo! Czy to może być prawda? Tak postępuje Franciszek? Papież o tak ugodowym, koncyliacyjnym usposobieniu, spotykający się z Żydami, podpisujący deklaracje z muzułmanami, fotografującymi się z buddystami (a ostatnio nawet ze Spider-Manem), otwarty na cały świat, wzywający młodych katolików, by wstali z kanapy i robili w Kościele raban, niestrudzenie głoszący dialog, ekumenizm, różnorodność i konieczność budowy kultury spotkania, traktuje w ten sposób swoich kapłanów oraz dziesiątki, a może i setki tysięcy świeckich wierzących w Chrystusa? Tak.

Jakie więc powody, oprócz oczywistej osobistej niechęci do tradycjonalistów, kierowały papieżem?

Kapłani i wierni przywiązani do kościelnej Tradycji doskonale zdają sobie sprawę, że papieżowi i setkom biskupów na całym świecie wypełniającym watykańską ankietę tak, a nie inaczej, w rozpętaniu tej wojny o Mszę wcale nie chodzi o obrządek lub przynajmniej nie tylko. Chodzi o całą formację intelektualną i duchową, którą reprezentują niektórzy przedstawiciele tych środowisk. A ona wydaje się nie do pogodzenia z coraz bardziej wypaczanym „duchem soboru", którego promocja radykalnie przyspieszyła podczas argentyńskiego pontyfikatu.

Według Franciszka projekt Benedykta XVI poniósł klęskę, bo „Summorum Pontificum" doprowadziło do narastania w Kościele katolickim konfliktów. Te konflikty to – już według komentatorów z oficjalnych katolickich mediów – wspomniana wcześniej panująca rzekomo wśród inkryminowanych wspólnot niezgoda na pewne posoborowe zmiany w Kościele oraz przypisywane tradycjonalistom (niekatolicką metodą odpowiedzialności zbiorowej) uważanie nowej Mszy za mniej godną czy nawet nieważną.

Czy takie postawy zdarzały się wśród osób uczęszczających na „starą Mszę"? Zapewne. Czy wśród kapłanów ją odprawiających? Być może. Ale czy to powód, by karać wszystkich, bez wyjątku, ogólnikowym, a zarazem niezwykle surowym zakazem? Czy pierwszym krokiem ku odbudowie jedności Kościoła, zagrożonej rzekomo samym istnieniem środowisk Tradycji, nie powinna być jednak próba podjęcia z nimi dialogu? Wysłuchanie argumentów ludzi mających wątpliwości co do niektórych rozstrzygnięć soboru oraz poznanie przyczyn, dla których uważają, że kapłani coraz bardziej niechlujnie odprawiający Mszę w nowym rycie ranią ich wrażliwość religijną? Nic takiego się nie stało. Zamiast tego wiernych skupionych w środowiskach Tradycji potraktowano kijem. Uczynił to – w imię jedności i jednorodności – papież podpisujący z imamem deklarację mówiącą, że „wyrazem mądrej woli Bożej jest istnienie wielu religii"! To wydaje się w porządku – ale istnienie dwóch różnych form jednego rytu rzymskiego (bo przecież tak określał to Benedykt XVI) nie wydaje się już, jak widać, wyrazem niczyjej woli. Nawet woli papieża emeryta, który do momentu zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" w żaden sposób nie odniósł się do upokorzenia zadanego mu przez następcę, określającego jeden z najważniejszych projektów poprzedniego pontyfikatu mianem klęski.

CO DALEJ?

Emocji po wydaniu papieskiego motu proprio nie brakuje zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie wewnątrzkościelnego sporu – widać to szczególnie w mediach społecznościowych, gdzie niejeden tradycjonalista zapomniał ugryźć się w język przed napisaniem słów obraźliwych wobec Franciszka, ale i wśród entuzjastów jego pontyfikatu, którzy triumfując, z nieskrywanym schadenfreude z góry odrzucają jakiekolwiek argumenty pokrzywdzonej strony. Interesującym wyjątkiem wydają się natomiast stanowiska publicystów „Więzi" i „Tygodnika Powszechnego", którzy na stronach internetowych swych pism skrytykowali Franciszka, uznając, że jego decyzja jest absolutnie sprzeczna z głoszonymi przezeń zapewnieniami o Kościele otwartym na wszystkich.

Teraz wszystko zależy od poszczególnych biskupów. I tak na przykład biskup warszawsko-praski od razu zawiesił Mszę Świętą w nadzwyczajnej formie rytu rzymskiego do końca wakacji i planuje dopiero po nich spotkać się z księżmi, by podjąć ostateczne decyzje. Biskup elbląski natomiast szybko zapewnił, że nie będzie żadnych zmian w kierowanej przezeń diecezji i środowiska wiernych Tradycji nadal mogą spotykać się na Mszach tak jak do tej pory. Inni biskupi jeszcze milczą – prawdziwa jedność i jednorodność, nieprawdaż?

Światowy episkopat też jest w tej kwestii (jak zresztą w wielu innych) mocno podzielony. Część biskupów od razu zapewniła, że „stara Msza" zostaje bez zmian, a inni z miejsca ją zawiesili (jak choćby bp Lang z Glastonbury, niecały rok wcześniej ciepło witający w Kościele społeczność LGBT i organizujący dlań specjalne… Msze).

W pierwszych godzinach po publikacji „Traditionis custodes" konkurs na najbardziej zdeterminowanego rewolucjonistę wygrał bp Matos z Puerto Rico, który nie tylko zakazał publicznego i prywatnego odprawiania „Mszy trydenckiej", lecz także zabronił kapłanom używania starych ornatów czy manipularzy i „wszystkiego innego, co charakterystyczne dla tego obrzędu", jak choćby welonów na kielichy… Tak właśnie wygląda cancel culture w Kościele.

Gdy emocje już opadną, biskupi wrócą z wakacji i w każdej diecezji wydadzą odpowiednie komunikaty, dowiemy się dopiero, z jaką skalą zniszczenia Tradycji, po kilkunastu latach jej mozolnej, całkowicie oddolnej odbudowy, będziemy mieli do czynienia. Już dziś część komentatorów szyderczo zauważa, że decyzja Franciszka mogłaby być sponsorowana przez kapłanów założonego przez abp. Lefebvre'a Bractwa Świętego Piusa X, które od początku istnienia odprawia Mszę tylko w starym rycie. Czy „przechodzenie wiernych" do tej wspólnoty rzeczywiście nastąpi? Czy decyzja Franciszka wywoła lawinę zakończoną schizmą? Czas pokaże, a zdecyduje mądrość biskupów.

Warto jednak zauważyć, że ta najbardziej radykalnie ograniczająca kapłańską, ale i świecką wolność decyzja papieża następuje w przededniu rozpoczęcia wielkiego procesu synodalnego, do którego Franciszek zaprosił wszystkich wiernych. Od jesieni tego roku mają w parafiach i diecezjach wypowiadać się o Kościele, mówić, czego od niego pragną i czego oczekują, intensywniej włączać się w proces decyzyjny i zajmować nowe miejsce w klerykalnym dotychczas życiu Kościoła. Czy z sądem nad środowiskami Tradycji nie można było poczekać do momentu zakończenia owego procesu synodalnego? Nie można było zaprosić tam i wysłuchać ich członków? Czy też z decyzją tą nie zwlekano, bo przecież sądy sądami, ale racja musi być po konkretnej stronie?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 2139ab4c34

Ideologizacja Soboru

FOT. ADOBE STOCK

Marek Jurek

Jak to się dzieje, że zwalczając lub ignorując w imię ostatniego Soboru Powszechnego istniejące instytucje Kościoła, można jednocześnie lekceważyć wyraźne zalecenia tegoż Soboru?

Cztery lata temu duże poruszenie w Kościele wywołały przygotowywane w Kongregacji ds. Duchowieństwa zalecenia, ograniczające możliwość indywidualnego celebrowania Mszy Świętej przez księży studiujących w Rzymie. Potem przyszły takie zarządzenia odnośnie do Mszy odprawianych w bazylice Świętego Piotra. Zaprotestowali kardynałowie Sarah, Burke, Müller i Brandmüller. Bronili normy potwierdzonej w art. 57 liturgicznej konstytucji ostatniego Soboru Powszechnego, gwarantującej „zawsze" każdemu księdzu prawo do indywidualnej celebracji.

Innych norm tego Soboru, np. tej, że należy „dbać o to, aby wierni umieli wspólnie odmawiać lub śpiewać stałe teksty mszalne, dla nich przeznaczone, także w języku łacińskim" (art. 54 tejże konstytucji), nikt już dziś nie przypomina i nie pamięta.

DOLEWANIE DO SOBORU

Jak to się dzieje, że zwalczając lub ignorując w imię ostatniego Soboru Powszechnego istniejące instytucje Kościoła (np. jego tradycyjną liturgię), można jednocześnie lekceważyć wyraźne zalecenia tegoż Soboru? Niestety, takie założenie istniało od początku, oczywiście nie w intencjach Kościoła, ale niektórych promotorów i redaktorów soborowych dokumentów. Ojciec Yves Congar OP (późniejszy kardynał) opowiadał swą rozmowę z Hansem Küngiem, zawiedzionym, że zmiany w Kościele nie poszły dalej. Ojciec Congar powiedział mu wtedy, że Sobór „to historia butelki do połowy pustej i butelki do połowy pełnej. Ksiądz mówi, że jest ona w połowie pusta: ja zaś mówię, że jest w połowie pełna. To nie jest już tak źle". I dalej już komentował: „Sobór wykonał doskonałą robotę. Prawdą jest jednak, że w wielu sprawach zatrzymał się w połowie drogi. Rozpoczął dzieło, które nie zostało zakończone. Dotyczy to tak kolegialności, jak roli świeckich, misji, a nawet ekumenizmu. Byłoby absurdem myśleć, że sprawy powinny pozostać w tym stanie, w jakim znalazły się w dniu zamknięcia Soboru 8 grudnia 1965 r. […] Tekst o ekumenizmie, nad którym pracowałem, mówi to bez ogródek: nie można przewidzieć przyszłości, perspektywa pozostaje otwarta" („Życie dla prawdy", Warszawa 1982, s. 112; oryginał francuski wydany był w 1975 r.). Trudno o jaśniejszy przykład, by użyć niedawnego sformułowania papieża Franciszka, „instrumentalizacji".

ZERWANA HERMENEUTYKA

Taka progresywna instrumentalizacja stała się nie tylko narzędziem ideologicznego przymusu wobec katolików, lecz także podważyła powagę samego Soboru. Jeden z tradycyjnych księży, pracujących w Brukseli, powiedział mi kiedyś: nie tylko wolność religijna i ekumenizm, lecz – w czasach współczesnej globalizacji – nawet dialog międzyreligijny to tematy, które Kościół powinien podjąć, byle rozważać i praktykować je po katolicku. Ci wszyscy, którzy na różne sposoby zachęcali do takiej pracy, dziś zderzą się ze zdroworozsądkowym odruchem wielu zranionych ludzi: O czym my w ogóle mówimy?! Przecież to tylko ideologia!

Benedykt XVI mówił o Soborze Kościoła i Soborze mediów. Świadom tego, jak często Sobór jest instrumentalizowany, jak bardzo już podczas jego trwania „ujawnił się rzekomy jego duch, który był niczym innym jak antyduchem (Konzil-Ungeist)", proponował hermeneutykę ciągłości i reformy, a więc traktowanie Vaticanum II jako części Tradycji (więc nie tylko interpretowanie go w duchu Tradycji, ale po prostu pokorne widzenie go jako jej elementu). Równouprawnienie dwóch form liturgii – współczesnej i dominującej oraz tradycyjnej i zachowywanej przez mniejszość – miało być jedną z zasadniczych gwarancji tej ciągłości.

Obecne ograniczenia liturgii tradycyjnej, podejmowane „w imię Soboru", niestety nie tylko zadają kłam autorytetowi (jak pisał cytowany tydzień temu przeze mnie o. Begato), lecz także godzą w samo założenie kontynuacyjnej hermeneutyki. Cóż bowiem się okazuje? Że Sobór to nie zbiór konkretnych norm, będących częścią doktrynalnego uniwersum Kościoła, nie tyle kryterium mogące być przedmiotem różnych odniesień, ile pretekst dla narzucania doraźnych strategii duszpasterskich, kulturowych, czasami wręcz politycznych. Ostrożność, którą to wywołuje, jest zupełnie naturalna, bo przecież „religijność czysta" zawsze wymaga „zachowania siebie samego nieskalanym od wpływów świata" (por. Jk 1,27). ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

dwugłos DO RZECZY

Strażak niosący w ramionach chłopca, którego pijany kierowca uczynił sierotą, powodując wypadek koło Stalowej Woli

FOT. MARCIN RADZIMKOWSKI/POLSKA PRESS

Nadzór bez kar to fikcja

Łukasz Zboralski

Polacy zawsze dziwili się, że rodacy potrafią jeździć samochodem zgodnie z prawem w Szwajcarii, Niemczech czy na Słowacji, ale w kraju już nie. Jest szansa, że przestaną się dziwić – po blisko ćwierć wieku mandaty drogowe odzyskają prewencyjną funkcję

Wiem, co powiedzą populiści: że podnoszenie kar drogowych to „populizm", że to lepsze drogi mają znaczenie, a nie wyższe mandaty, że władza zareagowała tak po głośnym wypadku pijanego kierowcy. Żaden z tych argumentów nie jest prawdziwy. Zaplanowane przez rząd urealnienie kar za wykroczenia i przestępstwa drogowe – po 23 latach! – opracowywano już od blisko roku i potwierdzali to dawno temu ministrowie. A specjaliści zajmujący się bezpieczeństwem drogowym mówili o potrzebie tej zmiany prawie od dekady. Dodajmy też, że nie jest niczym zdrożnym, iż po wstrząsających wydarzeniach społeczeństwo domaga się zmian, a władza je wprowadza – prawo na drogach zaostrzano np. w Holandii czy USA właśnie pod taką presją. Choć tam mniejszą rolę odgrywają media, a większą ludzie – tworzą organizacje domagające się zmian (jak np. Mothers aganist Drunk Drivers).

Nie jest też prawdą, że bezpieczeństwo poprawia się niejako samo, tylko dzięki infrastrukturze (gdyby tak było, nasze relatywnie najnowsze technicznie autostrady w UE nie byłyby najbardziej śmiertelne – a takie są, jeśli się weźmie pod uwagę liczbę wypadków na liczbę samochodów i przejechanych przez nie kilometrów). Bezpieczne drogi opierają się na czterech filarach: edukacji, inżynierii, ratownictwie i nadzorze. Ten ostatni filar od blisko ćwierć wieku kulał. I to nie tylko dlatego, że polska policja pracuje słabo – także dlatego, że system mandatów, którymi ma dyscyplinować, zaczął mocno odstawać od przeciętnego wynagrodzenia. Zbyt niskie kary przestają pełnić swoje funkcje prewencyjne. Wiedzą o tym wszyscy w Europie, i to nie tylko tej Zachodniej, wiedzą to też – bo to już przetestowali – Czesi, Słowacy, a także nasi wschodni sąsiedzi – Litwini czy Estończycy.

KRES POBŁAŻANIA

To prawda, że największy impuls do poprawy bezpieczeństwa na polskich drogach przyniósł nam drogowy boom budowlany. Jego wpływ jednak już się skończył. Od 2016 r. notujemy stagnację w liczbach ludzi ginących rocznie w wypadkach drogowych. Wciąż jest to ok. 3 tys.

eprasa.pl 2139ab4c34

ofiar (roku pandemicznego nikt nie bierze pod uwagę w prowadzeniu tej polityki). Nasza poprawa nie była więc holistyczna. Nie zmieniło się wiele w infrastrukturze w obszarach zabudowanych, edukacji (w tym w systemie szkolenia kierowców) czy w nadzorze nad ruchem drogowym. Efekt? Mimo poprawy nadal jesteśmy na szarym końcu UE pod względem bezpiecznych podróży samochodem. Ginie u nas dwa razy więcej ludzi w wypadkach na milion mieszkańców (nasz wskaźnik to blisko 80) niż średnio w Unii. Większym ryzykiem jest tylko jazda po drogach Rumunii i Bułgarii.

Jednym z problemów, z którymi nie umieliśmy sobie dotąd poradzić, jest ogólna pogarda dla przepisów drogowych. To tak głębokie zjawisko, że np. celebryta Przemek Kossakowski wrzuca na Instagrama z uśmiechem zdjęcie z mandatem od policji za prędkość albo chwali się tym Kuba Wojewódzki.

W praktyce brak poszanowania dla reguł – wybieranie na „chłopski rozum" tego ograniczenia, które akurat pasuje kierowcy – zbiera śmiertelne żniwo. Jeśli często ignoruje się zatrzymanie przed znakiem STOP, jeśli (jak wynika z badań) ponad 90 proc. kierowców nie zatrzymuje się na warunkowej „zielonej strzałce" – to nie możemy się dziwić, że nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu jest główną przyczyną wypadków drogowych w Polsce. Jeśli w Polsce wypadki mają dużo większy ciężar (częściej kończą się zgonem), to wiadomo, że ludzie rozwijają olbrzymie prędkości i masowo ignorują ograniczenia (ponad 90 proc. rodaków przyznaje w różnych sondażach, że przekracza dopuszczalne prędkości). Ci, którzy „sami wiedzą lepiej", ile „można jechać", nie mają zwykle zielonego pojęcia o tym, że drogi projektuje się do określonych prędkości. Zakręty, łuki na autostradach, otoczenie drogi – to wszystko obliczono do maksymalnych prędkości, przy jakich można zapewnić komfort bezpieczeństwa.

Lepszy nadzór nad tym, co dzieje się na drogach, może znacznie ograniczyć takie zachowania.

Czy – jak przekonują zwolennicy dotychczasowego bezprawia – mandaty nie mają wpływu na zachowania kierowców (a ma tylko wpływ „nieuchronność kar")? Nie. Tak samo jak wbrew ich zapowiedziom cywilizacyjna zmiana dotycząca pierwszeństwa dla pieszych nie przyniosła nam zakorkowanych miast ani armagedonu zabijanych ludzi na pasach – jest wręcz odwrotnie, ruch w miastach został trochę uspokojony, mniej ludzi ginie na przejściach (choć miarodajnie będzie można ocenić to dopiero za kilka miesięcy).

Jakie kary chce wprowadzić rząd

- **5 tys. zł** – maksymalna grzywna w postaci mandatu policyjnego (dziś 500 zł)
- **30 tys. zł** – maksymalna grzywna w sądzie (dziś 5 tys. zł)
- **3 tys. zł** – minimalny mandat dla kierowcy, który jechał szybciej o 30 km/h, niż to dozwolone, i został na tym złapany po raz drugi w ciągu dwóch lat, oraz dla kierowcy, który w ciągu dwóch lat ponownie popełnił wykroczenie zagrażające życiu i zdrowiu pieszych
- **1,5 tys. zł** – minimalny mandat za wykroczenia zagrażające pieszym (omijanie pojazdu przepuszczającego pieszych na pasach, wyprzedzanie na przejściach dla pieszych)
- **2 tys. zł** – minimalny mandat za objeżdżanie opuszczonych zapór lub półzapór na przejazdach kolejowych czy wjazd na przejazd, gdy nie ma możliwości jego opuszczenia
- **Punkty karne** – powiązane ze stawką OC, redukujące się po dwóch latach (obecnie po roku), bez możliwości redukowania ich płatnym kursem
- **Pijany kierowca** – będzie mógł zostać aresztowany na 30 dni, zapłaci 2,5 tys. zł grzywny; popełniający przestępstwo drogowe będzie musiał być skazany na co najmniej dwa lata więzienia; powodujący wypadek śmiertelny zostanie skazany na co najmniej osiem lat więzienia, popełniający przestępstwo drogowe po raz kolejny nie będzie mógł otrzymać kary w zawieszeniu.

STRACH DLA ŻYCIA

Relacji wysokości kar do zachowania na drodze przyglądano się już w wielu krajach. Dowody z Iranu, Australii czy bliższej nam Holandii są jednoznaczne. Wyższe kary oznaczają spadek liczby popełnianych przez kierowców wykroczeń i w efekcie spadek liczby wypadków.

W Iranie podniesienie kar obniżyło liczbę śmiertelnych wypadków w obszarach zabudowanych o blisko 30 proc. („Impact of law enforcement and increased traffic fines policy on road traffic fatality, injuries and offenses in Iran: Interrupted time series analysis", 2020), a w Holandii wyższe kary przekładały się na spadek wypadków o ok. 10 proc. („Increasing traffic fines", 2017). I żaden z tych krajów nie miał takich zaniedbań jak Polska, w której wysokość grzywien za wykroczenia na drodze nie wzrosła od blisko ćwierć wieku.

Możemy się dziwić, że ludzie bardziej od utraty życia czy zdrowia na drodze obawiają się kary od policji, ale tak skonstruowana jest ludzka psychika. Wypieramy możliwość tego, że nasze zachowanie doprowadzi do tragedii, ale już widmo dużej kary finansowej – czy kary więzienia, tak jak w Skandynawii – mocno hamuje zapędy do łamania prawa.

Oczywiście sama wysokość kar to nie wszystko. Głębokość zmiany zależeć będzie także od jakości pracy policji. Z tym nad Wisłą nie jest najlepiej. Mamy niewielki – np. w stosunku do populacyjnie porównywalnej Hiszpanii – system automatycznego nadzoru nad ruchem drogowym. Mamy mało fotoradarów, odcinkowych pomiarów prędkości, czyli tego, co pracuje 24 godziny na dobę i z czym nie da się targować po przyłapaniu. Zamiast tego np. do pomiarów prędkości wciąż wysyłamy patrole drogówki. Ich efektywność jest katastrofalnie niska. Jeden patrol w ramach specjalnej akcji „Prędkość" przyłapuje średnio… pięciu kierowców w ciągu 24 godzin. Jak ujawniła ostatnio NIK, policja celuje też tam, gdzie problemu nie ma. I np. 50-krotnie częściej wręcza mandaty pieszym niż kierowcom, choć ci drudzy odpowiadają za większość wypadków w Polsce.

Są jedynie dwie kontrowersje w rządowych propozycjach – jedna to przepadek pojazdu pijanego kierowcy, który zagroziłby spowodowaniem katastrofy w ruchu lądowym. Tu kontrowersje może budzić to, że pojazd ma być konfiskowany bez względu na to, do kogo należy.

Druga propozycja, którą należałoby jeszcze przemyśleć, to obowiązek płacenia świadczeń (np. rent) ofiarom wypadku przez sprawcę. Taki system, w którym pośredniczą ubezpieczyciele, już mamy i funkcjonuje on sprawnie.

Nie mam cienia wątpliwości, że premier Mateusz Morawiecki osiągnie sukces mierzony w mniejszej liczbie zgonów i rannych. Za tymi statystykami stoją przecież realne ludzkie tragedie. Polacy będą mogli jeździć po drogach bez strachu i z większym komfortem. Płacenie mandatu nie jest obowiązkowe – nie płaci go ten, kto prawa nie narusza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

dwugłos DO RZECZY

Łukasz Warzecha

W rządowym projekcie nie mamy do czynienia z waloryzacją mandatów drogowych, lecz z drastyczną, brutalną podwyżką, całkowicie nieproporcjonalną do sytuacji i zarobków Polaków

FOT. PIOTR JĘDZURA/REPORTER

Modelowy populizm władzy

Populizm jest wówczas, gdy władza wykorzystuje dla własnej korzyści emocje ludzi, oferując im łatwe i zaspokajające owe emocje rozwiązania skomplikowanych problemów, które to rozwiązania są w gruncie rzeczy szkodliwe.

Zmiany w sposobie karania kierowców, które zaproponował rząd na fali wzburzenia tragicznym wypadkiem w Stalowej Woli, są modelowym wręcz przykładem tak właśnie rozumianego populizmu.

Zmiany zaproponowano, grzmiąc o rzekomej pladze „pijanych kierowców" oraz rzekomo dramatycznej sytuacji na drogach. Już te dwa twierdzenia nie wytrzymują krytyki. Zacznijmy od „plagi pijaków za kierownicą" i od tego, kto to właściwie jest „pijany".

W Polsce można mieć we krwi do 0,2 promila i jest to limit niski. Większość europejskich krajów ustawia granicę na 0,5 promila, a niektóre (Wielka Brytania, Liechtenstein) nawet na 0,8. W Polsce do 0,5 promila mówimy o wykroczeniu, od tej granicy wzwyż – o przestępstwie. Inaczej mówiąc – kierowca z 0,6 promila, który w Londynie spokojnie mógłby prowadzić auto, w Warszawie odpowiadałby za przestępstwo. To pokazuje, że granice są ustawione arbitralnie. Tymczasem policja wrzuca w swojej statystyce do jednego worka wszystkich, którzy mieli od 0,2 wzwyż, wskazując zaś takich kierujących jako sprawców wypadków, nie mówi tylko o kierowcach samochodów, lecz także traktorów, rowerów, zaprzęgów konnych albo maszyn drogowych.

Mało tego, o tym, czy wypity alkohol miał faktycznie wpływ na percepcję kierującego, może orzec jedynie biegły podczas procesu. A że jest to rzecz indywidualna, oficjalnie podawana liczba kierujących – sprawców wypadków – pod wpływem alkoholu jest zapewne wyższa od faktycznej. W wielu konkretnych przypadkach wypity – choćby poprzedniego dnia – alkohol nie miał wpływu na przebieg zdarzeń. Policja odnotowała to jednak jako przypadek pijanego kierującego – sprawcy wypadku.

GDZIE TA PLAGA PIJANYCH?

Jak więc jest z tą „plagą"? Kierujący będący pod wpływem alkoholu spowodowali w 2020 r. 1656 wypadków z ogólnej liczby 23 540 oraz śmierć 216 osób z ogólnej liczby 2491 ofiar. Są zatem winni niewiele ponad 7 proc. z ogółu wypadków oraz mają na sumieniu 8,6 proc. ofiar (przy czym ofiarami mogą być też sami sprawcy). Inaczej mówiąc – przynajmniej 93 proc. wypadków spowodowali trzeźwi kierowcy. Gdzie tu jakaś plaga?

Na sprawców wypadków prowadzących w stanie nietrzeźwości (od 0,5 promila) ustawodawca przygotował bat w postaci (mówiąc językiem nieprawniczym) konfiskaty pojazdu. Z kolei pojazdy, którymi będzie kierować osoba bez uprawnień, mają być na trzy miesiące wyłączane z ruchu. Te propozycje powinny wywołać najwyższy niepokój i krytykę konstytucjonalistów, stoją bowiem w rażącej sprzeczności z gwarantowanym w ustawie zasadniczej prawem własności.

Każdy środek karny (lub zapobiegawczy) polegający na pozbawieniu własności lub ograniczeniu prawa do dysponowania nią musi być stosowany z najwyższą ostrożnością i tylko w ostateczności. Tymczasem prewencyjne działanie tego rozwiązania w przypadku najgroźniejszych pijanych kierowców jest więcej niż wątpliwe. Większość pijanych sprawców wypadków to alkoholicy i drogowi recydywiści, którzy nie myślą racjonalnie i dla których nie jest żadną psychologiczną barierą groźba utraty pojazdu. Ba, często poruszają się nie swoim samochodem.

Druga kwestia to własność pojazdu. Dzisiaj ogromna część aut jest w leasingu, kredycie, mogą być też współwłasnością. Odpowiedzią na to ma być, według pomysłodawców, konieczność zapłacenia grzywny w wysokości wartości pojazdu, ale to rodzi kolejne problemy. Jak zaspokoić roszczenia firm leasingowych i kto to będzie robił – bo przecież od siedzącego w więzieniu

eprasa.pl 2139ab4c34

sprawcy niczego się nie wyegzekwuje? Co w razie współwłasności? Sprawca zapłaci połowę wartości? Wreszcie mamy tu drastyczną nierówność sankcji za to samo przestępstwo: ktoś traciłby pojazd wart 200 tys., a ktoś inny za dokładnie to samo – wart 2 tys. A co jeśli samochód niezbędny jest rodzinie sprawcy? Dlaczego ona ma ponosić odpowiedzialność za jego winy? A jeżeli mówimy o pojeździe ogromnej wartości, będącym własnością komunalną – np. autobusie czy pługopiaskarce? Sprawca płaciłby kilka milionów?

Równie nieprzemyślana jest propozycja wyłączania z ruchu na trzy miesiące pojazdu prowadzonego bez uprawnień. Pojazd nie musi być własnością kierującego, a jego właściciel nie ma obowiązku prowadzić dochodzeń dotyczących uprawnień osoby, której pojazd użycza, i nie można tego od niego wymagać. Owszem, zdarzają się zapewne sytuacje, gdy pojazd zostaje świadomie użyczony osobie bez uprawnień – ale nie wiemy, ile ich jest, bo rząd nie przedstawia żadnych statystyk.

To rozwiązanie oznaczałoby, że w wielu przypadkach właściciel pojazdu zostałby go pozbawiony nie ze swojej winy: np. domownik może „pożyczyć" pojazd bez wiedzy właściciela albo pracownik może korzystać z pojazdu służbowego, nie chwaląc się pracodawcy, że stracił uprawnienia. Pracodawca nie ma żadnego sposobu, żeby taką informację uzyskać niezależnie od pracownika, bo policja nie musi go o tym informować. Dlaczego miałby z tego powodu stracić na trzy miesiące pojazd? Dla małej firmy może to oznaczać gigantyczne problemy. O tym autorzy pomysłów najwyraźniej nie pomyśleli.

ABSURDALNE OGRANICZENIA PRĘDKOŚCI

Inną pozycję projektu – horrendalną podwyżkę grzywien – rząd uzasadnia tym, że w Polsce wciąż zdarza się dużo wypadków. Owszem, jest ich wiele na tle innych krajów UE, ale może zanim zacznie się szermować populistycznymi pomysłami podwyższania mandatów, warto byłoby sprawdzić, jak kształtuje się dynamika zdarzeń i z czego może wynikać. Otóż na przestrzeni ostatniej dekady obserwujemy w Polsce ogromny spadek liczby wypadków – z ponad 40 tys. w 2010 r. do 23,5 tys. obecnie (o ponad 41 punktów procentowych) – oraz liczby ofiar – z 4189 do 2491 (spadek o 40,5 punktu procentowego). Jeżeli ktoś zwraca uwagę, że tempo tego spadku w ostatnim czasie wyhamowało, to nietrudno dostrzec, że jest to skorelowane z tempem poprawy infrastruktury i tym, ile kilometrów dróg szybkiego ruchu oddaje się do użytku w poszczególnych latach.

Wszystko to prowadzi do wniosku, że większe bezpieczeństwo na drogach możemy osiągnąć przede wszystkim poprzez poprawę infrastruktury. Nie znaczy to, że wysokości mandatów, których taryfikator wprowadzono w 1997 r., nie powinno się waloryzować. Ale w rządowym projekcie nie mamy do czynienia z waloryzacją, lecz z drastyczną, brutalną podwyżką, całkowicie nieproporcjonalną do sytuacji i zarobków Polaków. Mandat za przekroczenie prędkości o 30 km/h wynosi od 1997 r. 300–400 zł. Gdyby wziąć pod uwagę inflację, powinno to być dzisiaj niecałe 1 tys. zł. Tymczasem rządzący chcą, by było to nawet 5 tys. zł! Przypomnę, że przeciętne wynagrodzenie to nieco ponad 5,6 tys. brutto, a więc najwyższa grzywna za takie wykroczenie znacznie przekraczałaby przeciętne miesięczne wynagrodzenie netto i dla wielu osób byłaby wprost rujnująca. A nie mówimy tu o spowodowaniu wypadku, lecz o samym przekroczeniu prędkości.

Tymczasem – wbrew opiniom demagogów – przekroczenie tego rzędu nie oznacza, że mamy do czynienia z „drogowym bandytą". Zwłaszcza w Polsce, gdzie stawiane przy drogach ograniczenia prędkości są w ogromnej części absurdalne i często wynikają jedynie z asekuranctwa zarządcy drogi, który w ten sposób zabezpiecza się przed pozwami cywilnymi kierowców, którzy na takiej drodze ponieśliby jakąś szkodę.

Rocznie przejeżdżam 20–25 tys. km, w tym dużą część po drogach krajowych, wojewódzkich czy gminnych. Chaos w ograniczeniach jest wprost niebywały. Racjonalnie i mądrze działająca władza najpierw przeprowadziłaby przegląd tych regulacji, a dopiero potem nakładałaby na kierowców nowe obowiązki i kary. Ale to jest trudne, kosztowne, wymagające, szczególnie że za ograniczenia odpowiadają trzy rodzaje podmiotów: Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad, wojewódzkie zarządy dróg oraz zarządy gminne. Każdy z podmiotów robi to po swojemu. Znacznie łatwiej jest upichcić populistyczny projekt nowych kar.

Jest to również łatwiejsze niż przebudowanie policji drogowej i jej dogłębna reforma, tak aby ta służba w końcu zajęła się tym, co najgroźniejsze: eliminacją z dróg bardzo nielicznych, ale wyjątkowo groźnych kierujących, jeżdżących nawet nie tyle szybko, ile skrajnie niebezpiecznie i agresywnie. Za tym musiałoby iść powstanie systemu wyłączania takich osób z ruchu, co technologicznie jest wykonalne, ale znów znacznie trudniejsze niż opracowanie populistycznego pakietu kar.

POLICJA ZACZNIE BRAĆ ŁAPÓWKI

Gdyby ten pakiet wszedł w życie, będzie miał jeszcze jeden skutek: radykalny wzrost korupcji w policji. Korupcja bowiem, wbrew pozorom, nie zniknęła. W 2019 r. policyjne Biuro Spraw Wewnętrznych wykryło 159 przypadków korupcji, z tego połowę w drogówce. Nie wiemy, jaka jest ciemna liczba takich spraw. Tyle że pokusa przyjęcia, powiedzmy, 100 czy 200 zł łapówki przy maksymalnie 500-złotowym mandacie jest względnie mała. Co innego, gdy kara będzie wynosić 3 lub 5 tys. zł – wtedy kierującemu opłaca się zaoferować 1 tys. czy 2 tys. zł – a to przy uposażeniu funkcjonariusza rzędu 4 tys. zł już zupełnie innego rodzaju propozycja. Wystarczą dwie takie okazje i policjant ma drugą pensję. No, może cztery, jako że patrole są dwuosobowe.

Gdy rządowe propozycje się pojawiły, większość publiczności w mediach społecznościowych była zachwycona. To nie dziwi: bardzo łatwo jest ulec emocjom i poczuć się przez chwilę lepszym, skoro popiera się surowe karanie „drogowych bandytów". Trudniej przemyśleć konsekwencje i zobaczyć potężne luki w uzasadnieniach, które przedstawiają nam rząd i popierający jego stanowisko komentatorzy. To może się zmienić dopiero wtedy, gdy przepisy wejdą w życie i wujek straci na trzy miesiące auto, które bez pytania wziął sobie małoletni bratanek, a brat będzie musiał wziąć chwilówkę na przeżycie, bo dostanie 5 tys. mandatu za przekroczenie o 30 km/h na pustej drodze przy idealnej pogodzie.

Pamiętajmy, że to wszystko pomysłodawców tych rozwiązań nie dotknie. Ich wozi Służba Ochrony Państwa. Na „bombach".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

Z dr Olgą Barbasiewicz, politologiem i japonistką
rozmawia Łukasz Czarnecki

Wizyta brata cesarza Japonii, księcia Takamatsu Nobuhito, w Polsce w 1930 r. Na zdjęciu: marszałek Józef Piłsudski (siedzi pierwszy z lewej), Aleksandra Piłsudska (siedzi z prawej), książę Takamatsu Nobuhito (siedzi pierwszy z prawej), księżniczka Kikuko Hikosaburo (w środku), Takao Ochiai (siedzi z lewej), szef protokołu dyplomatycznego MSZ Karl Romer (piąty z lewej), poseł nadzwyczajny i minister pełnomocny Japonii w Polsce Hajime Matsushima (stoi szósty z lewej) oraz kpt. Stanisław Sośnicki (drugi z prawej) FOT. NAC

Biały orzeł i wschodzące słońce

ŁUKASZ CZARNECKI: Polska i Japonia leżą na dwóch przeciwnych krańcach świata, a mimo to w okresie międzywojennym obydwa państwa nawiązały bliskie i serdeczne stosunki. Jak wyjaśni pani ten fenomen?

DR OLGA BARBASIEWICZ: Podstawowym czynnikiem, który zadecydował o tym, że Polska i Japonia zbliżyły się do siebie, był strach przed Rosją – najpierw carską, a później sowiecką. Polacy pod zaborem rosyjskim widzieli, ze względu na wspólny interes, szansę na przekonanie Japończyków do tego, by ci stanęli po ich stronie. Po powstaniu II RP Japonia stanowiła dla Polski potencjalnego alianta zagrażającego Sowietom od wschodu. Można powiedzieć, że wspólny wróg połączył te dwa kraje.

eprasa.pl 2139ab4c34

Dzieje relacji polsko-japońskich zaczynają się jeszcze przed odzyskaniem niepodległości przez nasz kraj. W roku 1904 wybucha wojna rosyjsko-japońska. Na zaproszenie cesarskiego wywiadu do Tokio jadą Józef Piłsudski i Roman Dmowski...

Polacy widzieli w Japonii sojusznika w walce o odzyskanie niepodległości. Kiedy wybuchła wojna, to jeszcze przed jej rozstrzygnięciem była ogromną szansą dla sprawy polskiej. Wiedzieli o tym zarówno Piłsudski, jak i Dmowski. Uważali, że jeśli zaczną osłabiać Rosję, choćby poprzez przekonanie polskich żołnierzy do dezercji z carskiej armii, to zyskają w Japończykach sprzymierzeńców, mających realną szansę na pokonanie Rosjan. Był nawet pomysł stworzenia legionów z polskich dezerterów, którzy przeszliby na stronę japońską, a potem udali się dalej, albo Polaków znajdujących się wskutek rosyjskich klęsk w obozach jenieckich.

To właśnie w Tokio odbyła się dłuższa rozmowa pomiędzy Piłsudskim a Dmowskim na temat ich wizji przyszłości Polski. Ich plany kompletnie nie pokrywały się ze sobą. Japończycy, mając do czynienia z dwoma tak odmiennymi punktami widzenia, ostatecznie nie wsparli żadnego z nich, ale to właśnie wizyta w Japonii dwóch polskich mężów stanu zapoczątkowała długotrwałą współpracę polsko-japońską.

Nadchodzi rok 1918 i Polska odzyskuje niepodległość. Japonia jednak wstrzymuje się przez pewien czas z uznaniem nowego państwa na mapie Europy. Dlaczego?

Japonia powstrzymywała się z uznaniem wielu państw powstałych po 1918 r. Tokio, niemające wcześniej relacji dyplomatycznych z Warszawą, musiało uruchomić całą procedurę uznania nowych bytów na mapie Europy. Jednak gdy nawiązano oficjalne stosunki polsko-japońskie, od samego początku były one niezwykle przyjazne i owocne.

A jaki był stosunek japońskiego rządu do wojny polsko-bolszewickiej?

Japończycy bardzo szybko przysłali nad Wisłę swoich wojskowych obserwatorów. Niezwykle podziwiali strategię Józefa Piłsudskiego i doskonale wiedzieli, jak dobrze działało polskie wojsko. To, że w Warszawie przebywali japońscy wojskowi, miało ogromne znaczenie dla umocnienia naszych relacji. Tokio przekonało się, że II RP może w przyszłości stanowić cennego sojusznika, szczególnie w stosunkach z Rosją, stanowiącą dla obu państw duże zagrożenie.

Polem, na którym Warszawa i Tokio pracowały ręka w rękę, były działania wywiadowcze wobec ZSRS. Co warto wiedzieć o tej współpracy?

To bardzo ciekawy i rozległy temat. Jeszcze przed oficjalnym nawiązaniem stosunków dyplomatycznych Polską bardzo interesował się japoński sztab generalny. W Warszawie pojawił się kpt. Yamawaki Masataka, który potem został generałem i bardzo przyczynił się do rozwoju relacji polsko-japońskich, szczególnie w przededniu drugiej wojny światowej.

Współpraca wywiadowcza była niezwykle znacząca. Po pierwsze, Japończycy uczyli się kryptografii w polskim Legionowie. Zachowały się dokumenty pokazujące, że edukacja, którą w dziedzinie szyfrowania odebrali japońscy wojskowi od swych polskich kolegów, znacząco przyczyniła się choćby do początków wojny na Pacyfiku! Po japońskim ataku na Stany Zjednoczone polski rząd emigracyjny musiał wysłać do USA swoich oficerów jako ekspertów od japońskiej kryptografii, bo Amerykanie doskonale wiedzieli, że Japończycy sztuki szyfrowania nauczyli się od nas.

Tworzono również placówki obserwacyjne, przekazywano sobie informacje wojskowe. Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej ustanowiony został japoński konsulat w Kownie, a warto wiedzieć, że w chwili jego powstania na Litwie nie było żadnych Japończyków. Cel powstania placówki był bardzo prosty – Japończycy i Polacy mieli wspólnie wykorzystywać ją do obserwacji ruchów wojsk Niemiec i ZSRS. To właśnie tą placówką w pierwszych miesiącach wojny kierował wicekonsul Sugihara Chiune. Słynne są wydawane przez niego tzw. wizy życia, które pomogły kilku tysiącom ludzi uciec z ogarniętej wojennym chaosem Europy. To dzięki nim Chiune jako jedyny Japończyk został uhonorowany w roku 1985 tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

Cofnijmy się do początku lat 30. 18 września 1931 r. Japonia napada Chiny i zajmuje ich północną prowincję – Mandżurię. Liga Narodów surowo potępiła ów akt przemocy. A jakie stanowisko zajmuje polskie MSZ?

Możemy tutaj mówić o dwóch stanowiskach – oficjalnym i nieoficjalnym. Przeglądając dokumenty z tego okresu, widzimy jasno, że Polska stała przy stanowisku Ligi Narodów. Równocześnie w trakcie trwającej wówczas międzynarodowej debaty nad sprawą Mandżurii w Polsce gościli przedstawiciele japońskich władz i byli przez gospodarzy zapewniani o przyjaznym stosunku Warszawy do Tokio.

Warto pamiętać, że II RP miała realny interes w utrzymywaniu dobrych relacji z Japonią. Nad Wisłą pamiętano o japońskiej pomocy dla akcji ratowania tzw. sierot syberyjskich. Co więcej, w Mandżurii mieszkała ogromna rzesza Polaków. To był bardzo ważny argument przemawiający za tym, by nie denerwować Japończyków.

Wspomniała pani o pomocy Japończyków w repatriacji polskich sierot z Syberii. Proszę powiedzieć coś więcej o tym pięknym epizodzie naszej wspólnej historii.

Jest to opowieść, która obecnie cieszy się ogromnym zainteresowaniem ze strony Japonii. Nagrywane są filmy, tworzy się wystawy. Mówimy o „dzieciach syberyjskich", które zostały przetransportowane w latach 20. do Japonii, gdzie ich losem zainteresowali się nawet członkowie rodziny cesarskiej i zadbali o to, by mogły one powrócić do Polski, która właśnie odzyskała niepodległość. Te dzieci historia rzuciła na daleką Syberię, całkiem same, pozbawione opieki rodziców. Pomoc okazana im przez Japończyków była cudownym aktem humanitaryzmu. Cieszy mnie renesans zainteresowania tym epizodem, bo jeszcze niedawno mało kto w ogóle o nim mówił, krążyły tylko strzępki informacji. Tymczasem był to wspaniały moment, w którym Japończycy wyciągnęli dłoń do Polaków. Dzięki temu wiele osób, będących wówczas maleńkimi dziećmi, zyskało szansę na powrót do ojczyzny.

W roku 1937 Polska i Japonia oficjalnie podwyższyły rangi swych przedstawicielstw, awansując je z poselstw na ambasady. Pierwszym polskim ambasadorem w Tokio został Tadeusz Romer, człowiek bardzo dla Polski zasłużony, ale współcześnie całkowicie zapomniany. Prowadzi pani badania nad jego osobą i działalnością. To niezwykła postać...

Tadeusz Romer urodził się na terytorium obecnej Litwy. Był polskim arystokratą, który, jak pan słusznie zauważył, nie doczekał się upamiętnienia w kraju, któremu służył. Proszę sobie wyobrazić, że w Polsce nie ma ani jednej ulicy jego imienia czy poświęconego mu miejsca pamięci! Jedynym hołdem oddanym temu

eprasa.pl 2139ab4c34

wielkiemu patriocie przez III RP była wystawa mu poświęcona, którą dawno temu zorganizowano w Podchorążówce w warszawskich Łazienkach. Potem zapadła długa cisza. Na szczęście w ostatnich czasach pamięć o Tadeuszu Romerze zaczął przywracać Marcin Łapczyński, były dyrektor Instytutu Polskiego w Wilnie. Zainteresował się nim i postanowił przywrócić go polskiej pamięci, zapraszając do pracy nad tym projektem m.in. i mnie.

Totalne zapomnienie, w jakie popadł Tadeusz Romer, jest prawdziwą tragedią. Jego postać mogłaby służyć za wzór postępowania urzędników państwowych. Ten pracownik MSZ był niezwykle zasłużony dla sprawy polskiej. Kiedy pracował jako dyplomata, wielokrotnie udzielano mu pochwał, nie tylko ze strony rządu polskiego, lecz także władz krajów, w których pełnił służbę. Pracował m.in. we Włoszech, pierwszą jego samodzielną placówką było poselstwo w portugalskiej Lizbonie.

W roku 1937 ze względu na zasługi oddelegowano go do Tokio, gdzie został pierwszym polskim ambasadorem w Japonii. Sprawdził się wyśmienicie. Warto wiedzieć, że polskie przedstawicielstwo w Tokio było jedyną w Japonii placówką dyplomatyczną z naszej części Europy, którą wywyższono do rangi ambasady. Pamiętajmy, że w tamtych czasach ambasad było bardzo niewiele. Warszawa należała do nielicznego grona stolic mogących poszczycić się posiadaniem ambasady na terenie Japonii. To było ogromne wyróżnienie dla naszego kraju, pokazujące, jak bardzo Japonia szanowała II RP.

1 września 1939 r. wybucha wojna, a Niemcy atakują nasz kraj. Jak na ten akt agresji reaguje Japonia?

Polska ambasada w Tokio zaczęła działania będące odpowiedzią na posunięcia III Rzeszy i ZSRS jeszcze przed wybuchem konfliktu zbrojnego, tj. po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, uświadamiając Japończykom, że w Europie jest poważny problem.

Pod koniec sierpnia 1939 r. Tadeusz Romer udał się na tokijski cmentarz Roninów, gdzie spoczywa słynnych 47 samurajów stanowiących japoński symbol lojalności. Wizytę nagłośnił w mediach. Odświętnie ubrany publicznie oddał hołd bohaterom Cesarstwa i podkreślił, że zdrada, której dopuścił się Hitler, paktując ze Stalinem, powinna wzmocnić stosunki polsko-japońskie. Niebezpieczeństwem, w którym znalazła się Polska, udało mu się zainteresować japońską prasę i opinię publiczną.

Po niemieckiej inwazji na Polskę Tokio, aczkolwiek nieoficjalnie, angażowało się w propolską działalność. Członkowie m.in. sztabu generalnego dokonywali wpłat podczas loterii i wydarzeń organizowanych na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża czy polskiego wojska. Wysocy rangą oficjele przychodzili na organizowane przez Romera imprezy łączące się ze zbiórkami funduszy na pomoc walczącej Polsce i dokładali do owych zbiórek duże sumy.

Po niemieckiej inwazji na Polskę Tokio, aczkolwiek nieoficjalnie, angażowało się w propolską działalność

Chęć pomocy naszej ojczyźnie wykazywali zresztą nie tylko przedstawiciele władz. Ze wsparciem Polakom pośpieszyła też organizacja wywrotowa Stowarzyszenie Czarnego Smoka. Gangsterzy zaproponowali Romerowi przekazanie weksla wypisanego na dowolne japońskie przedsiębiorstwo, którego kierownictwo po jego okazaniu natychmiast przekazałoby wymaganą kwotę na rzecz Polski.

To doprawdy fascynujące, że tak wielu ludzi zaangażowało się w pomoc dla naszego kraju. Był nawet przypadek, gdy pewien Japończyk próbował na schodach ambasady popełnić seppuku w geście rozpaczy wywołanej tym, że jako obywatel obcego państwa nie może zaciągnąć się do polskiej armii, by walczyć z Niemcami.

Warto też pamiętać, że japoński rząd pozwalał polskiej placówce w Tokio działać praktycznie aż do wybuchu wojny na Pacyfiku. A i wtedy kontaktów nie zerwano i w ograniczonej formie przedstawicielstwo rządu emigracyjnego działało dalej w Szanghaju. Cały czas II RP była uznawana przez władze Japonii.

Kiedy po japońskim ataku na USA alianci wypowiedzieli Cesarstwu wojnę, uczynił to też polski rząd emigracyjny. I wtedy stało się coś bardzo dziwnego, premier Japonii – Tōjō Hideki... oficjalnie odmówił przyjęcia aktu wypowiedzenia wojny przez Polaków! Co stało za tą decyzją? Była to wyłącznie kwestia sentymentów czy też Polacy, mimo że znaleźli się we wrogim Japonii obozie, wciąż mogli się okazać przydatni dla Tokio?

Bardzo ładnie zasugerował pan odpowiedź na to pytanie. Polacy byli zawsze mediatorami strony japońskiej. Nawet gdy Tokio dołączyło do paktu antykominternowskiego, to Japończycy tak naprawdę nie byli w pełni przekonani co do słuszności tego kroku. Związek z Hitlerem był małżeństwem z rozsądku, o którego zawarciu zadecydował brak innych opcji, zwłaszcza po tym, jak Amerykanie zdecydowanie odrzucili pomysł nawiązania sojuszu z Cesarstwem.

Japonia potrzebowała kogoś, kto będzie stał po stronie jej interesów. Na tę potrzebę odpowiadały polskie placówki dyplomatyczne, które po 1939 r. wciąż zapraszały japońskich dyplomatów na organizowane przez siebie wydarzenia (np. w Kanadzie), przeciwdziałając ich rosnącej alienacji. Dzięki temu Cesarstwo miało realny interes w tym, by wciąż utrzymywać kontakty ze stroną polską.

Przyjaźń polsko-japońska była ważna dla obu stron i w interesie żadnej z nich nie leżało jej zerwanie. Japonia utrzymywała polską ambasadę do października 1941 r., a potem, jak już wspomniałam, przeniosła ją do Szanghaju i tam funkcjonowała ona dalej jako tzw. misja specjalna, którą kierował Tadeusz Romer. Polskie przedstawicielstwo działało do 1942 r. Dłużej nie mogło, ale nie ze względu na niechęć Tokio, lecz naciski ze strony aliantów. Za zgodą władz japońskich pozostawiło po sobie doskonale zorganizowane związki uchodźcze, które po ustaniu misji polskiego rządu w Szanghaju mogły otrzymywać wsparcie m.in. finansowe ze strony bądź za pośrednictwem polskich władz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Olga Barbasiewicz – politolog, japonistka, wykładowca Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl 2139ab4c34

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Śladami geograficznej rewolucji

Po pierwszej wojnie światowej granica II Rzeczypospolitej miała 5529 km. Ówczesna Polska graniczyła z Niemcami, Wolnym Miastem Gdańskiem, Czechosłowacją, Rumunią, ze Związkiem Sowieckim, z Litwą i Łotwą. A pod koniec swojego istnienia również z Węgrami. W 1945 r. – na mocy porozumień jałtańskich – Polska została przesunięta na Zachód. Ostatecznie wypchnięta ze Wschodu.

W efekcie nie sąsiadujemy już bezpośrednio z Rumunią, Łotwą i Węgrami. Przedwojenna granica Polski ze Związkiem Sowieckim przebiega dziś w poprzek Białorusi i Ukrainy. A przedwojenna granica Polski z Niemcami przebiega w całości na terenie III RP – od Dębek na Pomorzu do Raciborza na Górnym Śląsku. Również teren Wolnego Miasta Gdańska został wchłonięty w całości przez Polskę. Z kolei Wileńszczyzna po upadku ZSRS przypadła niepodległej Litwie.

Można by powiedzieć – geopolityczna rewolucja! Jak te zmiany wyglądają na mapie, wszyscy wiemy. Ale jak wpłynęły na życie mieszkających wzdłuż starej granicy ludzi? Odpowiedzieć na to pytanie postanowił znany podróżnik i dziennikarz Tomasz Grzywaczewski. Dlatego ruszył w wielką podróż po rozległych rubieżach II RP. Owocem tej podróży jest kapitalna książka reporterska „Wymazana granica".

Grzywaczewski szukał starych, pokrytych mchem słupów granicznych między tłumami turystów przewalającymi się przez pomorskie plaże. Był na Kaszubach, Zaolziu, na Podolu i na Wileńszczyźnie. Odwiedzał chłopskie chaty w zapomnianych, odciętych od świata częściach Wołynia i Polesia. Wsie, w których nadal żyją ludzie urodzeni w II RP. Ludzie, którzy nadal sporo pamiętają i chcą o tym opowiadać.

„Ślady dawnej granicy – pisze Tomasz Grzywaczewski – zarastają, pękają i murszeją. Najważniejsze z owych śladów znikają jednak pod ziemią, zamknięte w drewnianych trumnach, w jakich grzebie się wspomnienia. Z tej oddychającej, myślącej, odczuwającej granicy pozostały już tylko okruszki. O nich jest ta książka".

Grzywaczewskiemu należy się wielkie uznanie za to, że ocalił przed zapomnieniem wiele z tych „okruszków". Książkę czyta się z zapartym tchem i żalem za starym, zdruzgotanym przez wojnę światem naszych dziadków i pradziadów. ©℗

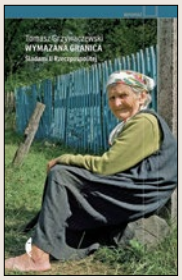

★★★★★★

TOMASZ GRZYWACZEWSKI „WYMAZANA GRANICA. ŚLADAMI II RZECZYPOSPOLITEJ"
CZARNE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Prawdziwych wodzirejów już nie ma

W czasach PRL na wczasach czy turnusach sanatoryjnych musiał być kaowiec, czyli kulturalno-oświatowy, który organizował wypoczynek. Nikt też sobie nie wyobrażał prawdziwego balu bez wodzireja, który miał za zadanie rozbawić, ośmielić i „rozruszać" towarzystwo. Impreza taneczna nie mogła się bowiem obyć bez grupowej zabawy, czyli słynnych wężyków i korowodów. Najsłynniejszym polskim filmowym wodzirejem był bez wątpienia Jerzy Stuhr, który w filmie o tym samym tytule (premiera: 24 lipca 1978 r.) zagrał jedną z najlepszych ról w życiu. Początkowo aktor nie był jednak zainteresowany produkcją, gdyż jako prowadzący „Spotkanie z balladą" bywał złośliwie określany przez kolegów po fachu mianem konferansjera, a nie aktora. Ponadto podczas studiów aktorskich faktycznie dorabiał jako wodzirej w krakowskich lokalach, co skrzętnie ukrywał przed swoimi profesorami. Gdy jednak przeczytał scenariusz, przekonał się do filmu, dzięki czemu stworzył niezapomnianą postać bezwzględnego karierowicza, ale jednocześnie znakomitego fachowca od prowadzenia imprez rozrywkowych.

Film cieszył się ogromnym powodzeniem, a sam Stuhr był zachwycony wielkimi fotosami wiszącymi w Krakowie (tam odbyła się premiera obrazu). Chociaż widniał na nich w złotym smokingu, szybko został jednak sprowadzony na ziemię. Pewna starsza pani uśmiechnęła się do niego w pobliżu plakatu i zapytała, czy to przypadkiem nie on… naprawiał u niej przedwczoraj lodówkę. Zrozumiał wówczas, że sława aktora (nie tylko wodzireja czy kaowca) bywa bardzo ulotna.

Z drugiej jednak strony jego rola została zapamiętana i gdy po wielu latach w jego domu pojawił się hydraulik, by wykonać konieczną naprawę, to prosił, by Stuhr poprowadził wesele jego córki.

Wodzirejów w dawnym słowa znaczeniu już nie ma, ich rolę przejęli liderzy zespołów przygrywających na imprezach weselnych czy tanecznych. Natomiast niespodziewanie odrodził się zawód kaowca, i to nie tylko na nadbałtyckich plażach, lecz także podczas wyjazdowych imprez zagranicznych. Specjaliści od rozrywki noszą jednak obecnie dumną nazwę animatorów czy beach event managerów. Jednak tak jak dawniej zajmują się organizacją czasu wczasowiczów, także podczas dobrej pogody, i być może dlatego najważniejszym ich wakacyjnym zajęciem jest prowadzenie plażowego aerobiku w wodzie. Z tego też powodu domy wczasowe i pensjonaty w Chorwacji, we Włoszech, w Egipcie czy Tunezji chętnie zatrudniają polskich animatorów rozrywki, gdyż wielu naszych rodaków nie wyobraża sobie wakacji bez ich udziału. Czy słusznie? De gustibus non est disputandum… ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Z Marią Stachurską, scenarzystką i reżyserką
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Akuszerka z aureolą

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zdążyła pani poznać Stanisławę Leszczyńską osobiście?

MARIA STACHURSKA: Tak, poznałam ją w dzieciństwie. Była moją ciocią.

Skąd wzięła się jej religijność?

Myślę, że głównie z katolickiego wychowania i głębokiej wiary.

Dlaczego wybrała fach akuszerki?

Nie wiem, kiedy dokładnie zdecydowała się zostać położną. Wszystkie moje przemyślenia na ten temat zapisałam w książce poświęconej Stanisławie Leszczyńskiej pt. „Położna". Wydaje mi się, że duży wpływ na tę decyzję zawodową miała sytuacja w Łodzi, jej mieście rodzinnym. Duża liczba zgonów pośród noworodków i niemowląt, obecność przy narodzinach swojego rodzeństwa, ale i jego śmierć. Sądzę, że to wszystko złożyło się na wybór drogi życiowej. Zdecydowała się pomagać i ratować dzieci. To chyba było powołanie.

Kiedy i w jakich okolicznościach trafiła do Auschwitz?

Jej najstarszy syn, Bronisław, a potem również mąż Stanisławy, też Bronisław, działali w konspiracji. Byli członkami Związku Jaszczurczego na terenie Łodzi. Jeden z członków tej organizacji wpadł w ręce gestapo, był szantażowany, że jeśli nie będzie współpracował, to jego matka zostanie zastrzelona. Żądali podania adresów pozostałych członków organizacji. Zaczął „sypać" i wskazał mieszkanie Leszczyńskich przy ul. Wspólnej. Niemcy aresztowali całą rodzinę. Stanisławę z córką Sylwią wywieźli do Auschwitz-Birkenau. Synów – Stanisława i Henryka – do Mauthausen-Gusen. Natomiast synowi, Bronisławowi, udało się uciec. Ojciec wrócił w chwili, kiedy Stanisławę i troje ich dzieci wyprowadzano z klatki schodowej do karetki więziennej. Nie wszedł już do budynku.

Przyjęła aż trzy tysiące porodów w obozie. Była tam jedyną położną?

Nie, działało też kilka innych. Znalazło się również paru lekarzy. Natomiast w rewirze, gdzie pracowała, w pewnym momencie została sama.

Niemcy większość niemowląt w rozmaity sposób unicestwiali. Jak Leszczyńska radziła sobie z tą traumą?

Kiedy trafiła na sztubę położniczą, zmienił się regulamin obozu i dzieci o cechach aryjskich zyskały szansę na przeżycie. Nie mordowano ich już tak masowo po narodzinach. Niestety, noworodki żydowskie i romskie nadal zabijano.

Leszczyńska wszystkie porody przyjmowała tak, jakby to był najważniejszy i jedyny człowiek na świecie. Do każdego urodzonego podchodziła z takim samym nastawieniem i z modlitwą na ustach. Dziecko miało podwiązaną pępowinę i było przystawione do piersi matki. Te dzieci później oczywiście umierały z głodu lub przychodzili po nie esesmani, aby zabrać je na eksperymenty czy też wywieźć do Nakła w celu wynarodowienia. Brak informacji, jak to dokładnie wyglądało. Natomiast wiemy, że Stanisława każdego dnia musiała składać raporty ze sztuby położniczej.

Oprawcy zezwalali chrzcić noworodki?

Tego nie wiem. Ale nie przypuszczam, żeby o tym wiedzieli.

Utrzymywała kontakt z tymi, które przeżyły piekło kacetu?

Tak, na początku lat 60. osoby urodzone w obozie pojawiły się na „Oratorium oświęcimskim", które zostało wystawione w Teatrze Jaracza w Łodzi i w Teatrze Żydowskim w Warszawie. Podczas tego wydarzenia Stanisława spotka-

eprasa.pl 2139ab4c34

Film „Położna" to fabularyzowany dokument o Stanisławie Leszczyńskiej, położnej zesłanej do obozu w Auschwitz FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE

Maria Stachurska – scenarzystka i reżyserka filmu „Położna"

Bohaterką filmu jest bohaterka okresu okupacji – Stanisława Leszczyńska. Przedwojenna położna, pomagająca Żydom z łódzkiego getta, pojmana przez gestapo, zesłana do obozu w Auschwitz. Tutaj rozpoczęła się jej misja: odbierać porody w najmroczniejszym miejscu na Ziemi. Dokument stanowi próbę odpowiedzi na pytanie o źródło siły osoby walczącej o godność człowieka w skrajnie nieludzkich okolicznościach. Relacje i archiwalne materiały, ilustrowane muzyką Michała Lorenca, tworzą portret akuszerki, której powołanie było silniejsze niż rozkazy dr. Mengele.
W 2020 r. Stachurska opublikowała książkę pt. „Położna. O mojej cioci Stanisławie Leszczyńskiej".

ła się z dziećmi, które przeżyły obóz Auschwitz-Birkenau, wtedy już ludźmi wkraczającymi w dorosłość.

Jak do niej odnosiła się załoga Auschwitz?
Jeżeli chodzi o Niemców, to niestety nic na ten temat nie wiadomo. A jeśli chodzi o współwięźniarki, to ich stosunek do Leszczyńskiej wyjaśnia fakt, że nazywały ją mamą… Z ich listów – napisanych już po wojnie – wynika, że obdarzały ją olbrzymim szacunkiem i miłością.

Zetknęła się z dr. Josefem Mengele?
Swoje wspomnienia związane z nim szczegółowo spisała w „Raporcie położnej z Oświęcimia", opublikowanym w roku 1957.

Gnano ją razem z córką do komory gazowej?
To Sylwia Leszczyńska miała się tam znaleźć, lecz Stanisława tak mocno przywarła do córki i nie chciała jej puścić, że nie potrafiono ich rozdzielić. Powiedziała, że pójdzie razem z nią do komory, a ponieważ była potrzebna na sztubie, zostawiono obie.

Córka kontynuowała zawodową tradycję mamy?
W pewnym sensie. Sylwia Leszczyńska-Gross po wojnie ukończyła studia medyczne i została lekarzem.

Film trafia na ekrany z rocznym opóźnieniem. Wykorzystała pani ów pandemiczny poślizg na napisanie biografii Leszczyńskiej?
Pierwotnie premiera filmu miała się odbyć wiosną ubiegłego roku. I wtedy rzeczywiście książka nie była jeszcze gotowa. Ukazała się nieco później. Jeszcze przed zaplanowanym na październik 2020 r. drugim terminem wejścia filmu na ekrany, do czego zresztą – także z powodów epidemicznych – nie doszło. Dopiero trzecie podejście obrazu do kin – w czerwcu tego roku – zakończyło się pomyślnie.

Odnoszę wrażenie, że tematy obozowe współcześni pisarze traktują merkantylnie. Dowodem zalew literatury z Auschwitz w tytule, pośród nich zbeletryzowane losy Leszczyńskiej…
Literatura wojenna, szczególnie problematyka obozów koncentracyjnych, jest obszerna. A musiałam się z nią zmierzyć, decydując się na pracę nad filmem i książką o mojej bohaterce. To doświadczenie było dla mnie bardzo ciężkie, ale podjęłam się tego zadania ze względu na obowiązek, który na mnie nałożono. Wiem, że powstały też inne książki o Stanisławie Leszczyńskiej, lecz ich nie czytałam. Niedawno zwrócili się do mnie reżyserzy z Moskwy i Los Angeles z zapytaniem, czy mogą użyć nazwiska i postaci mojej cioci do filmu fabularnego. To dobrze, że wielu twórców podejmuje temat jej życia, ponieważ dzięki temu stanie się znana szerszym kręgom odbiorców. A zainteresowanie jej działalnością jest coraz większe

Doczekamy się beatyfikacji Stanisławy Leszczyńskiej?
To pytanie powinno być skierowane raczej do kurii, a nie do mnie. Niemniej zaobserwowałam rozwijający się kult Leszczyńskiej. Widać to po liczbie ludzi zafascynowanych jej postacią, jak również odwiedzających kaplicę, gdzie jest pochowana – w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Łodzi. Przy okazji premiery mej książki czy też filmu spotkałam wiele osób będących pod wielkim wrażeniem Leszczyńskiej. Ksiądz arcybiskup Grzegorz Ryś powiedział, że sprawa procesu beatyfikacyjnego jest w toku. Choć to Bóg decyduje, kto i kiedy zostaje świętym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

To nie koniec wojny w Afganistanie

Witold Repetowicz

Wycofywanie się USA z Afganistanu zachęciło talibów do udanej ofensywy i choć ich sukcesy są imponujące, to przyszłość tego kraju nie jest przesądzona. Na zajętych terenach talibowie wprowadzają już swoje barbarzyńskie porządki. Jednocześnie jednak przekonują, że nie będą stanowić terrorystycznego zagrożenia dla innych państw

Gdy w lutym 2020 r. przedstawiciele Donalda Trumpa podpisywali porozumienie z talibami w katarskiej Ad-Dausze, w którym Amerykanie zapowiedzieli wycofanie się z Afganistanu, pod kontrolą talibów znajdowało się ok. 70 spośród 398 afgańskich dystryktów. Do początku maja, gdy USA rozpoczęły ostateczne wycofywanie się, sytuacja niewiele się zmieniła. Ale w połowie lipca w rękach talibów znalazły się już 223 dystrykty, a pod kontrolą rządową pozostało ich tylko

eprasa.pl 2139ab4c34

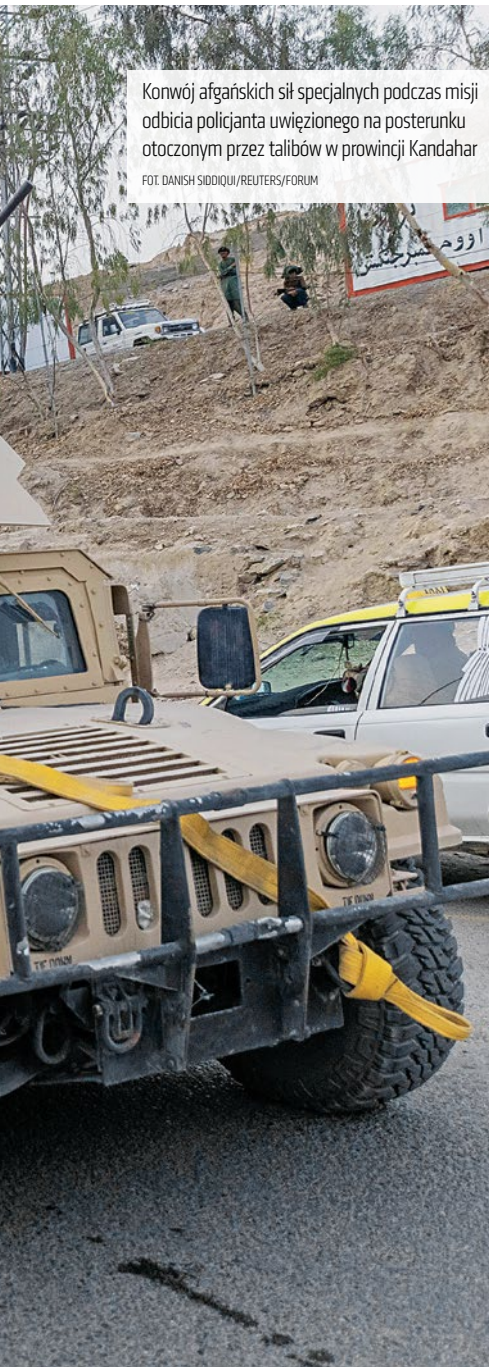

Konwój afgańskich sił specjalnych podczas misji odbicia policjanta uwięzionego na posterunku otoczonym przez talibów w prowincji Kandahar

FOT. DANISH SIDDIQUI/REUTERS/FORUM

73. Wielu obserwatorów uznało zatem, że los rządu w Kabulu jest przesądzony, mimo iż Amerykanie zapewniają, że dalej będą wspierać afgańskie władze.

Przekonanie, że w Afganistanie powtórzy się scenariusz z Wietnamu, gdzie sojuszniczy wobec USA rząd padł niedługo po ewakuacji amerykańskich żołnierzy z Sajgonu, pogłębiane jest informacjami o ucieczkach rządowych żołnierzy do Tadżykistanu czy też Iranu i scenach przejmowania przez talibów kontroli nad kolejnymi przejściami granicznymi.

Ubiegłoroczne porozumienie z talibami było zawierane za plecami afgańskiego rządu, który nie ukrywał swojego niezadowolenia z tego powodu. W dodatku przewidywało ono zwolnienie z afgańskich więzień ok. 5 tys. talibskich jeńców, co Kabul w końcu zrobił, choć z ociąganiem. Nic dziwnego, bo niewątpliwie pomogło to w obecnych sukcesach talibów. Pod naciskiem USA władze afgańskie strzeliły sobie zatem w stopę, mając w dodatku pełną świadomość konsekwencji. Teoretycznie w zamian miały się rozpocząć negocjacje między rządem i talibami, ale ci czują się teraz zbyt pewnie i nie wykazują żadnego zainteresowania jakimkolwiek kompromisem. Od czasu do czasu zwodzą jedynie pozorowaniem gotowości do rozmów, by wymusić realizację kolejnych, wzmacniających ich, ustępstw.

Są jednak również mniej korzystne informacje dla talibów, przyćmione propagandą sukcesu brodatych fanatyków. Przede wszystkim wciąż nie udało się im przejąć kontroli nad żadnym z większych miast Afganistanu, choć od tygodni usiłują infiltrować takie centra, jak Kandahar, Kunduz czy Mazar-i Szarif. Ataki talibów są tam jednak na razie skutecznie odpierane przez afgańskie siły specjalne, co również przeczy tezie o pełnej demoralizacji oddziałów rządowych. Ponadto talibowie ponoszą ciężkie straty i gdyby nie wsparcie Pakistanu, który udostępnia ich rannym szpitale w przygranicznej Kwecie, to ich ofensywa dawno by wyhamowała. Otwartą kwestią jest to, na ile będą oni w stanie uzupełnić swoje szeregi mobilizacją na terenach przez siebie zajętych. Afgańskie władze liczą przy tym, że straty zadawane talibom i ich niezdolność do zajęcia dużych miast zmuszą ich w końcu do podjęcia realnych negocjacji. Do rozmów mają zachęcać talibów też oferty finansowego wsparcia zniszczonego kraju. Przede wszystkim dotyczy to USA, które z drugiej strony zagroziły, że nie uznają rządu talibów, jeśli przejmą oni władzę siłą.

Ponadto Amerykanie wcale nie wycofali się całkowicie, jako że zostawili 600 swoich żołnierzy do ochrony ambasady oraz kilkuset do obrony lotniska. Trwają też negocjacje w sprawie pozostania w Afganistanie żołnierzy tureckich lub syryjskich dżihadystów w charakterze najemników. Swoją drogą byłoby to dość osobliwe, gdyby dżihadyści bronili lotniska przed talibami, zwłaszcza że

Pod naciskiem USA władze afgańskie strzeliły sobie zatem w stopę, mając w dodatku pełną świadomość konsekwencji

pojawiają się też informacje, iż przegnani przez Al-Kaidę z syryjskiego Idlibu Czeczeni zamierzają również przenieść się do Afganistanu, choć nie wiadomo, czy w służbie Turcji, czy w szeregi talibów.

ROZŁAMY W SZEREGACH

Talibowie starają się przy tym przekonywać świat, że odcięli się od Al-Kaidy i innych grup, które mają transgraniczną agendę terrorystyczną. Tyle że nie są oni już tak monolityczną grupą, jaką byli, gdy na ich czele stał charyzmatyczny mułła Omar, a dotychczasowi sojusznicy mogą nie być skorzy do dobrowolnego opuszczenia Afganistanu. W ostatnich latach doszło zresztą do rozłamów w ich szeregach. Po śmierci mułły Omara część z nich wybrała alternatywnego przywódcę, a w 2015 r. pojawiło się też Państwo Islamskie. Rzeczywiste odcięcie się od Al-Kaidy może wzmocnić bardziej radykalne grupy, zwłaszcza że interesy wielu lokalnych watażków mogą być zagrożone zakończeniem wojny i centralizacją władzy przez nowy rząd talibów. W szczególności jeśli wrócą oni do polityki mułły Omara w sprawie narkotyków, zakazując uprawy i handlu opium. Z drugiej strony niedotrzymanie zawartego w porozumieniu z Ad-Dauhy zapewnienia, że Afganistan nie będzie służył jako baza dla transgranicznych organizacji terrorystycznych planujących ataki na inne kraje, może też mieć swoje konsekwencje.

Talibowie nie są Państwem Islamskim, w szczególności w tym sensie, że ISIS odrzuciło system międzynarodowy, głosząc, że tworzy nowy byt, niezainteresowany stosunkami z innymi państwami. To w dużej mierze przesądziło o klęsce tego projektu. Talibowie natomiast chcą funkcjonować w ramach systemu międzynarodowego i dbają o swój wizerunek międzynarodowy oraz kontakty dyplomatyczne. Obecność wojskowa USA w Afganistanie spowodowała, że talibowie i wiele państw miało wspólnego wroga i wspólny interes – wyrzucić

eprasa.pl 2139ab4c34

Amerykanów z regionu. Gdy poprzednio talibowie rządzili w Afganistanie, tylko trzy państwa, tradycyjny sojusznik Pakistan, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie, uznawały ich i utrzymywały stosunki dyplomatyczne. Dziś talibowie utrzymują relacje m.in. z Iranem, Rosją, Chinami i Indiami. W latach 90. relacje Iranu z talibami były wrogie, gdyż prześladowali oni szyicką mniejszość w Afganistanie. Iran, podobnie zresztą jak Rosja czy Chiny, odetchnął z ulgą, gdy reżim talibów padł. Oczywiście wszystkie te państwa nigdy tego nie przyznały, bo wręcz rytualnie musiały krytykować USA. Rosja, która sama połamała sobie zęby w Afganistanie, obawia się eksportu dżihadyzmu do Uzbekistanu i Tadżykistanu, czyli dawnych republik sowieckich. Określane one są „miękkim podbrzuszem Rosji", gdyż miliony pochodzących stamtąd gastarbeiterów pracują w Moskwie i Petersburgu. Tymczasem niemal 40 proc. mieszkańców Afganistanu to etniczni Tadżycy, Uzbecy lub Turkmeni. W Afganistanie działa m.in. Islamski Ruch Uzbekistanu, ekstremistyczna organizacja powiązana z ISIS, Al-Kaidą oraz talibami. Działa też Islamski Ruch Wschodniego Turkiestanu, czyli organizacja terrorystyczna, dla której wrogiem są przede wszystkim Chiny, prześladujące Ujgurów, muzułmańską mniejszość w prowincji Xinjiang nazywanej też Wschodnim Turkiestanem. Wreszcie działają tam również kaszmirscy terroryści, organizujący zamachy w Indiach.

WIZJA PODZIELONEGO KRAJU

Talibowie dzisiaj odcinają się od tych organizacji, a także od całej Al-Kaidy, i uspokajają, że nie pozwolą na żadne transgraniczne ataki. Kwestia, na ile są szczerzy, a na ile chcą uśpić czujność państw, które ewentualnie mogłyby zacząć wspierać zbrojny opór przeciwko nim, pozostaje otwarta. Złożona kompozycja etniczna Afganistanu utrudnia rządzenie tym krajem i nawet w okresie poprzednich swoich rządów talibowie, którzy rekrutują się przede wszystkim z dominującej grupy etnicznej, Pasztunów, nie zdołali opanować całości terytorium kraju ze względu na opór stawiany przez zdominowany przez Tadżyków Sojusz Północny pod wodzą charyzmatycznego „Lwa z Pandższiru" Ahmeda Szacha Masuda. Dziś nie wyklucza się wskrzeszenia tej formacji, choć słabością tego pomysłu jest to, że jej lider dawno nie żyje. Nie jest jednak wykluczone, że nowy Sojusz Północny zyska potężnych sponsorów, w tym np. Rosję, jeśli talibowie nie dotrzymają swoich obietnic.

Podobnie jest z Iranem, który w czasie wojny w Syrii sformował tam oddziały złożone z afgańskich szyitów z hazarskiej grupy etnicznej o nazwie Liwa al-Fatimijun. W przeszłości talibowie urządzali masakry szyitów, uznając ich za heretyków, zamordowali też irańskich dyplomatów w Mazar-i Szarif. Potem pojawił się wspólny wróg, którego już nie ma, więc jeśli talibowie wrócą do tych praktyk, to Liwa al-Fatimijun może zostać przerzucona do Afganistanu, by z nimi walczyć. I to niejedyne grupy zbrojne szykujące się do oporu przeciwko talibom, niezależnie od losów władz w Kabulu.

Talibowie dzisiaj odcinają się od całej Al-Kaidy i uspokajają, że nie pozwolą na żadne ataki. Kwestia, na ile są szczerzy

Dziś wizja podzielonego Afganistanu kontrolowanego przez różne grupy zbrojne i lokalnych watażków, walczących ze sobą, zawierających doraźne sojusze i wspieranych przez różne państwa, jest znacznie bardziej prawdopodobna niż zjednoczony Afganistan pod fanatycznymi rządami talibów. Tranzytowe położenie Afganistanu oraz ogromne zasoby naturalne tego kraju powodują przy tym, że w grze o ten kraj uczestniczy wiele państw mających często sprzeczne interesy. O ile Rosja, Iran, Pakistan i Chiny mogą znaleźć porozumienie w tym zakresie, o tyle na drugim biegunie znajdują się Indie i USA. Największą chrapkę na Afganistan mają przy tym Chiny, które prowadzą intensywne rozmowy zarówno z Kabulem, jak i talibami w sprawie wejścia tam z inwestycjami. Tyle że Chiny, które graniczą z Afganistanem poprzez trudno dostępny, wysokogórski „korytarz wakchański", obawiają się też ataków ze strony ujgurskich terrorystów i jeśli talibowie nie zechcą lub nie zdołają powstrzymać Islamskiego Ruchu Wschodniego Turkiestanu, to mogą być zmuszone do wprowadzenia tam własnych wojsk. Takie spekulacje już pojawiły się w Chinach. To zaś może spowodować, że wpadną w podobną pułapkę jak wcześniej USA i ZSRS. Zwłaszcza jeśli dodatkowo zadbają o to geopolityczni przeciwnicy Chin. W latach 80. walczący z Sowietami mudżahedini korzystali z pomocy USA, ostatnio Rosjanie płacili za zabijanie żołnierzy USA w Afganistanie. Dlaczego więc z Chińczykami miałoby być inaczej?

W tym gąszczu geopolitycznych interesów, obaw przed dżihadystycznym terroryzmem oraz wyścigu po zasoby naturalne najmniej myśli się o barbarzyńskich porządkach, które talibowie będą wprowadzać. Afganistan i tak jest konserwatywnym krajem muzułmańskim, ale można się spodziewać, że kobietom zostanie zamknięta droga do edukacji i pracy zawodowej (poza położnymi), zakazane zostaną muzyka oraz sport, a za zbyt krótką brodę grozić będą brutalne kary. Niewiele będzie to odróżniać talibów od ISIS, tyle że nie będą oni prowokować świata organizowaniem publicznych dekapitacji cudzoziemców. Można by wzruszyć ramionami i stwierdzić, że taka jest tamtejsza kultura, tyle że Afgańczycy to bardzo młode społeczeństwo i większość z nich urodziła się już po inwazji USA w 2001 r. Setki tysięcy, o ile nie miliony, mogą nie widzieć innego wyjścia jak tylko emigracja. Już teraz USA ewakuują ok. 20 tys. Afgańczyków, którzy dla nich pracowali. Po doliczeniu rodzin liczba ta może wzrosnąć do 100 tys.

Afgańczycy zresztą już od dawna migrują do Europy. Dotychczas ich szlak wiódł przez Iran i Turcję, ale tym, którzy będą uciekać do Tadżykistanu czy Uzbekistanu, znacznie łatwiej będzie się później dostać do Moskwy albo do Petersburga, gdzie mieszkają ich krajanie. Albo do Mińska, skąd Łukaszenka może ich skierować prosto do granicznego Brześcia. W ten sposób może się okazać, że Afganistan jest znacznie bliżej Polski, niż mogłoby się wydawać, a uchodźcy stamtąd mogą zostać wykorzystani przeciwko naszej ojczyźnie jako broń demograficzna. Warto też pamiętać, że mimo deklaracji talibów Al-Kaida nie zamierza z Afganistanu znikać i potwierdzają to raporty amerykańskich służb specjalnych. A to oznacza, że tak jak ISIS w 2015 r. przerzucało wśród mas migrantów i uchodźców terrorystów do Europy, tak teraz może to robić Al-Kaida. Tyle że tym razem szlak może prowadzić przez Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

FOT. MAX MUMBY/INDIGO/GETTY IMAGES

NAGRODZENI ZA MNIEJ DZIECI

Książę Harry i Meghan Markle w rozmowie z magazynem „Vogue" wyznali, że ze względu na „ochronę środowiska" nie zamierzają mieć więcej dzieci i poprzestaną na „parce", którą już spłodzili. Za tę troskę o Ziemię postanowiła ich docenić brytyjska organizacja Population Matters. Nagrodziła Harry'ego i Meghan nagrodą pieniężną w wysokości 695 dol. (w przeliczeniu to ok. 2,5 tys. zł). „Mniejsza rodzina zmniejsza nasz wpływ na Ziemię i zapewnia większą szansę wszystkim naszym dzieciom, wnukom, a także przyszłym pokoleniom" – napisała organizacja.

ANTYCOVIDOWE ŁÓŻKA SPORTOWCÓW

Lekkoatleci, którzy pojechali już na igrzyska do Tokio, ujawnili w Internecie, że w wiosce olimpijskiej z myślą o ograniczaniu zakażeń COVID-19 zastosowano nietypowe zabezpieczenia przed kontaktami między ludźmi. Okazało się, że łóżka zrobiono z kartonu. Mają nośność do 200 kg. Zdaniem sportowców to celowy zabieg, by nie dochodziło między nimi do kontaktów seksualnych.

SZAJKA FAŁSZYWYCH KARDYNAŁÓW

W Rzymie rozbito gang składający się z osób w wieku 68–75 lat, które dopuszczały się oszustw. Członkowie gangu nosili szaty kardynałów i przedstawiając się jako „pośrednicy Watykanu", obiecywali biznesmenom dostęp do korzystnych pożyczek z banku watykańskiego. Dla uwiarygodnienia się spotkania organizowali w pobliżu Watykanu. Szajkę na gorącym uczynku przyłapali karabinierzy, którzy byli przebrani za księży.

WIARA W CHIPY

Wydawało się, że nawet na początku pandemii w rzekome chipy znajdujące się w szczepionkach przeciw COVID-19 wierzyła tylko wąska grupa ludzi, których udało się zmanipulować w mediach społecznościowych. Jednak jak wynika z niedawnego badania YouGov i „The Economist", aż co piąty Amerykanin wierzy w tę teorię spiskową. Zatem 20 proc. mieszkańców USA podejrzewa, że Bill Gates lub „światowe rządy" chcą nad nimi przejąć kontrolę.

PRZEZ PANDEMIĘ ZAKAZALI MUZYKI

Z historii dziwnych obostrzeń, które mają pomóc w walce z pandemią – greckie ministerstwo ochrony obywatela wydało zakaz emitowania muzyki w restauracjach i barach na wyspie Mykonos. Wprowadzono tam też w sobotę nocną godzinę policyjną. „Jedyne, co ten zakaz da, to to, że turyści pojadą na inną wyspę" – skwitował na Facebooku burmistrz Mykonos Konstantinos Koukas. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Kosmos nie tylko dla miliarderów

JACEK PRZYBYLSKI

Wczeszły wtorek w kosmos wzbił się najbogatszy człowiek świata – Jeff Bezos. Dziewięć dni wcześniej jako pierwszy miliarder Błękitną Planetę z okien kosmicznej kapsuły oglądał Richard Branson. I choć w przypadku ostatniego miliardera eksperci spierają się, czy rzeczywiście przekroczył on symboliczną granicę kosmosu, czy też jednak do osiągnięcia zamierzonego celu zabrakło mu ok. 12 km, to z pewnością ekscentryczni bogacze, tacy jak Bezos, Branson czy Musk, oficjalnie rozpoczęli nową erę prywatyzacji kosmosu.

Zarówno Bransona, jak i Bezosa w kosmicznym wyścigu wyprzedza wciąż Elon Musk. Jego SpaceX już dowozi bowiem kosmonautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną. A na rok 2023 planuje turystyczną wyprawę na Księżyc.

Dzięki prywatyzacji lotów kosmicznych już wkrótce szalone ceny biletów na tego typu przejażdżkę zaczną spadać. Oznacza to, że wyprawą w kosmos chwalić się będą już nie tylko najbogatsi ludzie świata. Koszt biletu na turystyczną podróż ponad 100 km nad powierzchnię Ziemi powinien bowiem zmniejszyć się z 28 mln dol. – tyle zapłaciła za tę kilkunastominutową przyjemność jedna z osób, która towarzyszyła Bezosowi – do równowartości 150 tys. dol. Tak znaczna obniżka cen umożliwi naprawdę masowe loty turystyczne w kosmos, co wielu Ziemianom pozwoli spełnić największe marzenia z dzieciństwa.

Przyszłe wakacje na orbicie to zaś dopiero początek marzeń o podboju kosmosu. Musk nadal chce bowiem wraz z grupą osadników osiąść na Marsie. Brzmi nierealnie, ale gdy w podbój kosmosu angażują się najbogatszy człowiek świata i trzeci Ziemianin na liście najbogatszych, to takie marzenia zaczynają nabierać realnych kształtów. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Niemcy jak Trzeci Świat

Jacek Przybylski

Niemcy zmagają się z politycznymi i gospodarczymi skutkami nagłej powodzi. Odbudowa zniszczonych dróg, mostów, torów kolejowych, linii elektrycznych i masztów telefonii komórkowej zajmie wiele lat i będzie kosztowała co najmniej 6 mld euro

Niszczycielski żywioł pochłonął w Niemczech życie ponad 170 osób. W wyniku powodzi ponad 760 Niemców zostało rannych, a pod koniec ubiegłego tygodnia ponad 150 nadal uznawanych było za zaginionych. Cofająca się woda każdego dnia odsłaniała ciała kolejnych ofiar i ukazywała zniszczenia materialne na gigantyczną skalę. Wiele miasteczek wygląda niczym część strefy wojennej. Zniszczone domy. Porozrzucane niczym zabawki samochody. Uszkodzone wodociągi i wyciągnięte z ziemi wielkie betonowe fragmenty systemów kanalizacji. Całe osiedla bez prądu, a niekiedy bez jakiegokolwiek połączenia z resztą świata. I ludzie powoli wychodzący z domów, by sprawdzić, czy ich sąsiadom też udało się przeżyć. To tylko pobieżny opis zniszczeń w Niemczech wywołanych przez ogromną powódź.

Zaskoczeni mieszkańcy Nadrenii-Palatynatu, Nadrenii Północnej-Westfalii i kraju związkowego Saary – którym woda nagle wymywała dobytek spod nóg, którzy stracili domy, sklepy, warsztaty i miejsca pracy – opowiadali dziennikarzom, że o katastrofach na taką skalę słyszeli co prawda w krajach Trzeciego Świata, ale nie w bogatym centrum Europy.

– Obecnie spodziewamy się, że zgłoszone straty będą miały wartość od 4 do 5 mld euro – oznajmił w zeszłą środę Jörg Asmussen, dyrektor Niemieckiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego, które zrzesza ponad 450 niemieckich firm ubezpieczeniowych.

Te szacunki nie uwzględniały jednak jeszcze strat poniesionych przez ubezpieczonych w Saksonii oraz Bawarii. Wartość zakładanych szkód dotyczy oczywiście tylko obiektów ubezpieczonych, a nawet w Niemczech od powodzi i ulewnych deszczy ubezpiecza się niecałe 50 proc. gospodarstw domowych.

Minister finansów, Olaf Scholz, wprost zaznacza, że nie sposób na razie oszacować wielkości strat, ale odbudowa po poprzednich powodziach tego typu kosztowała ok. 6 mld euro.

eprasa.pl 2139ab4c34

Kanclerz Angela Merkel na wieść o kataklizmie nie przerwała wizyty w USA i zniszczenia po powodzi oglądała spóźniona o trzy dni FOT. POOL/AFP/EAST NEWS

Odbudowa zniszczonych dróg, mostów, torów kolejowych, linii elektrycznych i zmiecionych z powierzchni ziemi masztów telefonii komórkowej z pewnością pochłonie wiele miliardów euro. Wstępnie szacuje się, że tylko odtworzenie uszkodzonych autostrad A1 i A61, lokalnych dróg oraz linii kolejowych kosztować będzie 2 mld euro. Przedstawiciele Deutsche Bahn poinformowali wstępnie, że uszkodzonych zostało ponad 80 stacji kolejowych oraz ponad 600 km torów – w niektórych miejscach woda zabrała ze sobą nawet odcinki o długości nawet ponad 20 km, a wraz z nimi zwrotnice, urządzenia sygnalizacyjne etc.

Przerażenie wśród mieszkańców zalanych regionów potęguje utrudniony kontakt z bliskimi. Uszkodzonych zostało wiele stacji bazowych telefonii komórkowej, przez co sieć komórkowa nawet tydzień po powodzi nadal jest bardzo słaba. Do końca lipca zasięg powinien jednak wrócić do normy. Branża budowlana szacuje z kolei, że naprawy po szkodach wywołanych przez dwa dni wyjątkowo ulewnych deszczy mogą zająć od trzech do pięciu lat.

MOC ŻYWIOŁU I KARYGODNE ZANIEDBANIA

Jak to możliwe, że w najbardziej rozwiniętym gospodarczo kraju Europy i czwartej gospodarce świata – po USA, Chinach i Japonii – powódź wywołała zniszczenia na taką skalę, jaką Niemcy mogli dotąd oglądać jedynie w migawkach z krajów Trzeciego Świata?

W niemieckich mediach eksperci przypominają o niszczycielskiej sile wody. Zaledwie jeden metr sześcienny wody waży jedną tonę. Ta prosta informacja znana ze szkoły podstawowej pozwala uzmysłowić sobie, jak to możliwe, że masy brudnej wody składają potężne domy niczym domki z kart, a wartki nurt brunatnej powodziowej fali niesie ze sobą setki samochodów. W Niemczech przez dwie doby gwałtownych opadów spadło tyle deszczu, ile normalnie przez dwa miesiące.

Hydrolodzy zwracają jednak uwagę, że tak katastrofalne skutki pogodowego kataklizmu wynikają nie tylko z potęgi siły natury, lecz także ze zlekceważenia ostrzeżeń przez polityków. Profesor hydrologii Hannah Cloke zauważyła w rozmowie z „The Times", że już cztery dni przed nadejściem niszczycielskich burz nad zachodnie Niemcy Europejski System Ostrzegania przed Zagrożeniem Powodziowym (EFAS) wydał alert powodziowy dla władz Niemiec. Dwadzieścia cztery godziny przed głównym uderzeniem władze Niemiec otrzymały zaś według prof. Cloke precyzyjną prognozę, informującą o tym, które obszary kraju będą najbardziej dotknięte powodzią.

Niemieckie władze mogły więc spodziewać się horroru w miejscowościach położonych wzdłuż rzeki Ahr. Nie zarządzono jednak ewakuacji, a mieszkańcy zagrożonych obszarów nie otrzymali na czas odpowiednich ostrzeżeń. Ta „awaria systemu" kosztowała życie dziesiątek osób. Tylko w tym rejonie Niemiec powódź zebrała bowiem śmiertelne żniwo – w ciągu dwóch dni zginęło tu ponad 90 osób. Ratownicy usuwający muł i błoto z zalanych budynków odkrywają jednak kolejne ciała osób, których potężna fala powodziowa zaskoczyła we

REKLAMA

Rozgrywka wywiadów widziana oczami... **wroga**

30 lat WYDAWNICTWO CZARNA OWCA

Kup w naszej księgarni

inverso.pl

eprasa.pl 2139ab4c34

śnie, nie zostawiając im żadnych szans na ratunek.

Niemiecki minister spraw wewnętrznych nie ma sobie jednak nic do zarzucenia i przekonuje w mediach, że rząd federalny zrobił wszystko, co powinien, a ostrzeżenia powinny były dotrzeć do mieszkańców za pośrednictwem krajów związkowych. W odpowiedzi na apele opozycji, aby podał się do dymisji, Horst Seehofer stwierdził, że nie od wszystkiego da się ubezpieczyć, dlatego w budżecie z pewnością nie zabraknie pieniędzy na odbudowę. – Właśnie po to ludzie płacą podatki, aby w takich sytuacjach móc liczyć na pomoc – powiedział Seehofer na konferencji prasowej.

Żywioł zaskoczył zresztą nie tylko władze w Berlinie, lecz także w Belgii oraz Holandii. Swych rodaków zawiódł niekompetentny premier Holandii Mark Rutte. Butny polityk, który jeszcze niedawno chciał rzucać na kolana Węgry za próbę ochrony dzieci przez agitatorami LGBTQI, nie zadbał o to, aby odpowiednie służby zapewniły wystarczająco dobry stan wałów przeciwpowodziowych, więc gdy woda przerwała zapory, pozostało mu tylko rozpaczać o „katastrofie narodowej".

CHADECJA PODTOPIONA

– Pomoc zostanie udzielona wszędzie tam, gdzie tylko będzie to możliwe. To przerażające dni dla ludzi, którzy są na zalanych terenach. Moje myśli są z nimi – mówiła Angela Merkel. Szefowa rządu, opisując zastaną sytuację jako upiorną i surrealistyczną, podkreślała, że „język niemiecki prawie nie zna słów na określenie takich spustoszeń".

Mieszkańcy zalanych terenów mają jednak pretensje, że kanclerz Niemiec w miejscach zniszczonych przez żywioł pojawiła się dopiero trzy dni po tragicznej w skutkach powodzi. Wiadomość o kataklizmie na wielką skalę nie skłoniła jej do skrócenia wizyty w Stanach Zjednoczonych, podczas której zabiegała o interesy niemieckiego przemysłu w związku z realizacją rosyjskiego gazociągu Nord Stream 2.

Dopiero po powrocie do kraju stwierdziła, że Niemcy są krajem, który nawet z tą skalą zniszczeń jest w stanie poradzić sobie finansowo, i zapewniła o szybkiej pomocy dla powodzian. Niemcy winą na rozmiar tej katastrofy obarczają m.in. władze w Berlinie. W minioną środę rząd przyjął więc wart ok. 400 mln euro pakiet „natychmiastowej pomocy". Na pomoc w odbudowaniu domów i naprawę lokalnej infrastruktury rządy stanowe przekazały już dodatkowo 250 mln euro.

„Zmiany klimatyczne" służą jedynie jako wymówka, mająca zwolnić rządzących polityków z odpowiedzialności za zaniedbania

Minister gospodarki Niemiec, Peter Altmaier, zapowiedział zaś w Radiu Deutschlandfunk, że władze pomogą również przedsiębiorcom prowadzącym restauracje czy salony fryzjerskie w pokryciu strat z tytułu utraconych dochodów.

Równocześnie media rozpoczęły proces szukania winnych, co już kosztuje niemiecką chadecję utratę części poparcia. Według najnowszego sondażu Instytutu Forsa Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna straciła dwa punkty procentowe i gdyby wybory odbywały się pod koniec lipca, to uzyskałaby 28 proc. głosów. W tym samym badaniu Zieloni otrzymali 19 proc. (bez zmian), SPD 16 proc. (zyskali jeden punkt), FDP uzyskała 12 proc. poparcia, a politycy prawicowej AfD – 10 proc. (wzrost o jeden punkt procentowy).

Notowania rządowych polityków mogą się jednak pogorszyć. Z sondażu opublikowanego przez „Bild" wynika, że dwie trzecie Niemców uważa, iż decydenci federalni i regionalni powinni byli zrobić więcej, aby chronić społeczności przed powodziami. Karl Lauterbach, który w socjaldemokratycznej partii SPD odpowiada za kwestie polityki zdrowotnej, przekonuje bowiem, że Niemcy są obecnie „tak samo źle przygotowane na klęskę żywiołową, jak na pandemię".

Fatalna reakcja w czasie powodzi może też położyć się cieniem na karierę Armina Lascheta, uważanego do niedawna za najbardziej prawdopodobnego następcę kanclerz Merkel. Premier dotkniętej kataklizmem Nadrenii Północnej-Westfalii co prawda szybko pojawił się na miejscu, ale – w przeciwieństwie do takich poprzedników jak Helmut Schmidt czy Gerhard Schröder, którzy podczas podobnych kataklizmów w 1962 r. oraz w roku 2002 zachowali się tak, że zapewnili sobie zwycięstwo w wyborach – nie potrafił wykorzystać danej mu przez los politycznej szansy. Co gorsza, pokazał mediom swą prawdziwą twarz. Reporterzy sfotografowali go, gdy wraz ze współpracownikami śmiał się do rozpuku za plecami prezydenta Steinmeiera w zniszczonym miasteczku Erfstadt. Oczywiście Laschet przeprosił, ale komentatorzy nie mieli wątpliwości, że jego zachowanie było „odrażające" i niegodne przyszłego kanclerza Niemiec. Największym problemem kandydata na nową Merkel jest w tym przypadku to, że CDU wybrała go na swojego człowieka właśnie ze względu na empatię i umiejętność zdobywania serc wyborców.

Rządzący swą nieudolność próbują oczywiście zrzucić na „zmiany klimatu". Tymczasem, jak zauważył „Die Welt", takie opady zdarzały się w Niemczech już wielokrotnie. „Kroniki historyczne czyta się jak plany obecnej katastrofy powodziowej, a mapy zagrożeń pokazują ryzyko powodziowe. Politycy, władze i media wskazują jednak jako przyczynę zmiany klimatu, podczas gdy ochrona przed katastrofami w Niemczech jest na poziomie krajów rozwijających się. Niewiarygodny skandal" – zauważył czołowy niemiecki dziennik, podkreślając, że „zmiany klimatyczne" służą jedynie jako wymówka, mająca zwolnić polityków z odpowiedzialności za skutki powodzi. Można mieć jednak pewność, że powodzie i systemy zapobiegania katastrofom naturalnym będą jednym z głównych tematów w kampanii przed wrześniowymi wyborami do Bundestagu.

GDZIE SĄ UCHODŹCY?

Niewykluczone, że powódź i wspólna akcja ratunkowa strażaków, wojska i zwykłych mieszkańców zmienią też sposób patrzenia niektórych Niemców na imigrantów, często młodych silnych mężczyzn. Świadczyć mogłoby o tym niespodziewane połączenie na żywo na antenie TVN z Polką mieszkającą w Gemünd. – Gdzie są nasi nowi sąsiedzi, to znaczy uchodźcy? Bo ja to mogę to szczerze powiedzieć, bo również jestem obcokrajowcem. My im pomagaliśmy wtedy tyle, ale oni nie przychodzą nigdzie do pomocy – zauważyła pani Izabela. – Dlaczego państwo kazało nam im pomagać? My im tyle pomagaliśmy, oddawaliśmy domy, a oni teraz nie pomagają, chociaż to byli prawie sami mężczyźni. Nie ma ich, po prostu ich nie ma – stwierdziła z żalem. I dodała: – Ludzie chodzą po ulicach i pytają, gdzie oni są.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

TEST „DO RZECZY": PANCERNY SMARTFON MAXCOM MS507 SMART & STRONG

Obudowa odporna na kurz oraz zalanie, wzmocniona konstrukcja, która pomaga smartfonowi przetrwać upadki, oraz bardzo niska cena – to największe zalety wzmocnionego smartfona polskiej firmy Maxcom.

Jak na „pancerny" telefon urządzenie prezentuje się przyzwoicie. Również wymiary i waga nie przypominają cegły owiniętej w gumę. Wymiary testowanego smartfona to 149,5 x 73,5 x 13 mm, a jego waga wynosi zaledwie 169 g. Tego typu telefonu nie wybiera się jednak ze względu na design. Największą zaletą modelu Maxcom MS507 jest zwiększona odporność na kurz i wodę, zgodna z normą IP68, co oznacza całkowitą pyłoszczelność, a także możliwość chwilowego zanurzenia w wodzie (np. w kałuży podczas wakacyjnego wyjazdu lub błocie na budowie). Telefon został również wyposażony we wzmocnioną konstrukcję, która zmniejsza ryzyko jego uszkodzenia w razie upadku. Ekran IPS o przekątnej 5 cali chroni szkło Gorilla Glass 3 – lecz mimo jego zastosowania wyświetlacz stosunkowo łatwo się rysuje (trzeba więc uważać na klucze w plecaku etc.). Rozdzielczość ekranu wynosi 720 x 1440 pikseli – do codziennych zadań jest więc wystarczająca, ale ulubionych filmów na tym modelu raczej lepiej nie odpalać.

Aparat główny o rozdzielczości 13 Mpix potrafi uwiecznić kolejne etapy wznoszenia jakichś konstrukcji czy zdobywanie górskich szczytów. W świetle dziennym jakość zdjęć jest przyzwoita. Nie ma co jednak mieć nadziei, że

fotografie będą przypominały zdjęcia zrobione przy użyciu wielokrotnie droższych flagowców. Można więc zapomnieć o robieniu portretów, zdjęć makro czy fotografii nocą. Z kolei do selfie służy przedni aparat o rozdzielczości 5 Mpix.

Smartfon pracuje pod kontrolą Androida 10, więc nie będzie problemu z dostępem do popularnych apek. Przydatna może być zarówno LTE, jak i funkcja Dual SIM czy też moduł NFC, dzięki któremu tym modelem można płacić zbliżeniowo w sklepach. Ogromną zaletą jest też wbudowane radio FM, dzięki któremu muzyki czy wiadomości można słuchać również na wakacjach w górach czy w ukrytych przed cywilizacją leśniczówkach, gdzie zasięg Internetu jest mocno ograniczony.

Wady? Zastosowanym podzespołom daleko do górnej półki, co może uprzykrzyć życie osobom oczekującym od smartfonów dużej wydajności. Pod wzmocnioną obudową producent zainstalował procesor MediaTek MT6739. Użytkownik ma też do dyspozycji tylko 3 GB pamięci RAM oraz zaledwie 32 GB pamięci flash na zdjęcia i aplikacje. Do podstawowych zastosowań, takich jak dzwonienie, pisanie SMS-ów, przeglądanie Internetu czy obsługa komunikatorów, taka konfiguracja może okazać się wystarczająca.

Minusem jest również stosunkowo krótki czas pracy na baterii o pojemności 3000 mAh, która wymaga codziennego długiego ładowania. Szkoda też, że producent nie umożliwił już ładowania za pomocą nowoczesnego portu USB-C.

Ze względu na niewielki koszt testowanego urządzenia smartfon Maxcom MS507 mogą przy okazji zakupów wziąć pod uwagę budowlańcy, mechanicy samochodowi, a także wszyscy ci, którzy przez pękniętą szybkę lub ułamaną część obudowy co i rusz zostawiają w serwisach kolejne setki złotych. Testowany model może służyć również jako smartfon zastępczy podczas wyjazdów, gdy nie chce się ryzykować zniszczenia modelu za kilka tysięcy złotych. Cena: 499 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SMARTWATCH DLA DUŻYCH DZIECI

Szwajcarski producent zegarków luksusowych TAG Heuer we współpracy z Nintendo stworzył smartwatch TAG Heuer Connected x Super Mario Limited Edition. Design smartwatcha z 1,39-calowym ekranem OLED, napędzany przez system Wear OS od Google, zawiera wiele elementów przywołujących postać znanego z konsol wąsatego hydraulika Super Maria. Do systemu wgrano również animacje z Mariem w roli głównej, które wyświetlane są po zrobieniu przez użytkownika określonej liczby kroków. Zegarek, jak większość smartwatchów na rynku, umożliwia też m.in. pomiar tętna czy słuchanie muzyki etc. Cena: 9450 zł. Słownie: dziewięć tysięcy czterysta pięćdziesiąt złotych. Edycja została ograniczona do 2 tys. sztuk. Wszystkie egzemplarze wyprzedały się błyskawicznie.

LOKALIZATOR BEZ ABONAMENTU

MoFinderX1 może dać trochę spokoju właścicielom lub rodzicom nie tylko często znikających z oczu psów, kotów czy też dzieci, lecz także posiadaczom drogich gadżetów, które mogą nagle „dostać nóg". Główną zaletą tego urządzenia jest zasięg. Według deklaracji producenta MoFinderX1 umożliwia zlokalizowanie zguby nawet, gdy ta zdążyła się już oddalić nawet na ponad 6 km. Plusem jest też brak miesięcznych opłat oraz działanie bez konieczności dostępu do sieci GSM, wi-fi etc. MoFinderX1 w czasie rzeczywistym wskazuje kierunek, w którym oddalili się monitorowany zwierz, przystojny małżonek czy wartościowy przedmiot, oraz wskazuje odległość od zguby. Istnieje też możliwość nagrania komend głosowych, które będą emitowane, gdy np. pies oddali się od nas na określoną odległość. Wodoodporny tracker ma też światełko LED, które może świecić w ciemności. Czas działania urządzenia to mniej więcej 10–12 h na jednym ładowaniu. Cena wynosi 149 dol., czyli ok. 600 zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2139ab4c34

Ile kosztuje prowadzenie firmy?

Tomasz Cukiernik

W innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej zwykle prowadzenie firmy lub jednoosobowej działalności gospodarczej jest tańsze niż w Polsce. Jednak są one atrakcyjniejsze dla przedsiębiorców głównie dlatego, że ci po prostu nie są tam nękani przez urzędników

W 2016 r. dużą popularnością w Internecie cieszyło się nagranie z czeską doradczynią podatkową Anną Galisinovą, która mówiła, że po przejęciu władzy przez PiS bardzo dużo polskich przedsiębiorców zaczęło do niej dzwonić w celu założenia firmy w Czechach. A to dlatego, że u naszych południowych sąsiadów podatki są niższe i można korzystać z różnych ryczałtów i ulg. Teraz – po zaprezentowaniu założeń Polskiego Ładu, który przewiduje m.in. zniesienie możliwości odliczania od podatku składki na ubezpieczenie zdrowotne – nastąpiła kolejna fala zainteresowania przedsiębiorców prowadzeniem działalności gospodarczej poza Polską. Czy rzeczywiście w innych państwach naszej części Europy można taniej i łatwiej prowadzić firmę? Porównuję pod tym kątem Polskę z Czechami, Węgrami i Estonią.

OBCIĄŻENIE PODATKOWO-UBEZPIECZENIOWE

W Czechach stawka podatku dochodowego od osób prawnych wynosi 19 proc., a osoby fizyczne prowadzące działalność gospodarczą płacą 15-procentowy podatek dochodowy. Jednak osoby fizyczne, których roczny przychód przekroczy 48-krotność miesięcznego średniego wynagrodzenia, obejmuje 22-procentowa stawka podatku dochodowego. Minimalna składka na ubezpieczenia społeczne dla przedsiębiorców wynosi co prawda 2588 CZK (460 zł), a składka zdrowotna 2393 CZK (425 zł), ale pro-

eprasa.pl 2139ab4c34

FOT. ADOBE STOCK

blemem są wysokie koszty ubezpieczeń społecznych w najwyższych kategoriach dochodowych. Jednak od początku tego roku przedsiębiorcy, którzy nie uzyskali dochodu z innych źródeł niż swoja działalność i nie są płatnikami VAT, a wartość przychodu nie przekroczy 1 mln CZK (178 tys. zł) rocznie, płacą miesięczną ryczałtową składkę w kwocie 5469 CZK (972 zł), w której zawarte są wszelkie daniny publiczne i składki.

– Czeski system podatkowy jest systemem lepiej zoptymalizowanym, nastawionym na rozwój gospodarczy. Co więcej, wysokość podatków oraz możliwość zastosowania dużej liczby ulg podatkowych jest wynikiem proprzedsiębiorczej polityki oraz proprzedsiębiorczego podejścia urzędników do przedsiębiorców. Czeski rząd ma świadomość, że klasa średnia (w tym mikro- i mali przedsiębiorcy) jest silnikiem napędowym gospodarki, przez co stwarza dla tych grup bardzo atrakcyjne warunki rozwoju – mówi Branislav Gvoždiak, partner zarządzający ECDP Group.

Na Węgrzech spółki płacą podatek dochodowy w wysokości 9 proc. od wypracowanego zysku. To jedna z najniższych procentowo stawek podatku dochodowego w Europie (na Litwie małe firmy obejmuje jeszcze niższa stawka – 5 proc.). Z kolei osoba prowadząca działalność gospodarczą płaci tam 15-procentowy podatek dochodowy oraz 18,5 proc. do tamtejszego ZUS, liczone od płacy minimalnej (ok. 397 zł), i 15-procentową składkę na fundusz socjalny, liczoną od 112,5 proc. płacy minimalnej (ok. 362 zł).

– W niedawnym wywiadzie premier Viktor Orbán wypowiadał się, że celem rządu węgierskiego jest doprowadzenie do jednocyfrowej stawki podatku dochodowego od osób fizycznych. Jednak wszystko wskazuje na to, że z powodu sytuacji gospodarczej wywołanej pandemią odsunie się to w czasie. Tendencją spadkową można określić koszty pracy, koszty zatrudnienia – podkreśla prezes firmy Pole Star Consulting z Budapesztu. Wyjątkiem jest bardzo popularna forma prowadzenia działalności gospodarczej o nazwie KATA, którą mogą jednoosobowo rejestrować obywatele i spółki cywilne. – Ta forma opodatkowania w przypadku pewnych zawodów (najczęściej są to wolne zawody) i dotrzymania pewnych warunków, m.in. roczny przychód nie może przekroczyć 12 mln forintów [ok. 155 tys. zł – przyp. red.], jest bardzo korzystna. Jedynym obciążeniem jest miesięczny ryczałt, który obejmuje podatek dochodowy i wszystkie składki na ubezpieczenia społeczne (emerytalne, zdrowotne) w wysokości 50 tys. forintów [ok. 640 zł – przyp. red.] miesięcznie – tłumaczy prezes Pole Star Consulting.

Z kolei w Estonii podatek dochodowy od osób fizycznych, a także od osób prawnych wynosi 20 proc., jednak reinwestowane przez firmy zyski w ogóle nie podlegają podatkowi dochodowemu. Estończycy prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą odprowadzają też liniową składkę na ubezpieczenia społeczne w wysokości 33 proc. przychodu. – W przypadku spółek główny benefit jest związany nie z samą stawką podatku, lecz z momentem jego naliczania. Podatek dochodowy jest płacony przez firmy nie w chwili uzyskania dochodów, ale w momencie dystrybucji dywidendy do udziałowców. To właśnie wartość dywidendy stanowi podstawę opodatkowania. Inaczej niż w polskiej wersji tego systemu nie zawiera on dodatkowych obostrzeń, warunków do spełnienia, miejsca do decyzji urzędniczej – tłumaczy Artur Kuczmowski, partner w polsko-estońskiej kancelarii prawnej Thompson & Stein. Ponieważ w przypadku prowadzenia jednoosobowej działalności gospodarczej 20-procentowy podatek dochodowy pobierany jest w momencie uzyskiwania dochodów przez podatnika, prowadzenie w Estonii takich firm jest – w porównaniu ze spółkami – finansowo nieopłacalne.

Dla porównania: w Polsce stawka CIT wynosi 19 proc. (9-procentowa stawka obejmuje małe firmy), a PIT – 17 proc. i 32 proc. Obowiązują też różne ulgi i preferencje. Natomiast – nie licząc osób rozpoczynających działalność gospodarczą i tych, które obejmuje tzw. mały ZUS plus – tegoroczna minimalna suma składek na ZUS płacona przez osoby prowadzące działalność gospodarczą wynosi aż 1380,18 zł miesięcznie. W przyszłym roku ma być jeszcze drożej.

KLIN PODATKOWY

Istotnym kosztem dla przedsiębiorcy jest opłacanie podatków i składek za pracownika. W Czechach, poza podatkiem dochodowym, na koszt ten składa się 31,5-procentowa składka emerytalno-rentowa (6,5 proc. płaci pracownik, 25 proc. – pracodawca) oraz 13,5-procentowa składka zdrowotna (4,5 proc. płaci pracownik, 9 proc. – pracodawca), liczone od kwoty wynagrodzenia brutto. W ramach PIT obowiązują ponadto takie preferencje jak jednorazowa generalna ulga przy rozliczeniu rocznym w kwocie 24 840 CZK (4422 zł), odpisy z tytułu kosztów wynajmu domu, kontynuowania nauki czy wysyłania dziecka do przedszkola, a także ulgi na dzieci.

Koszty zatrudnienia pracownika na Węgrzech składają się z liczonych od wynagrodzenia brutto: obciążających pracownika 15-procentowego podatku dochodowego i 18,5-procentowego tamtejszego odpowiednika ZUS oraz obciążającej pracodawcę 15-procentowej składki na fundusz socjalny (po obniżce o 0,5 punktu procentowego od 1 lipca) i 1,5-procentowej składki na fundusz kształcenia. Powyższe stawki nie uwzględniają ulg, a są one spore, w zależności od liczby osób

eprasa.pl 2139ab4c34

na utrzymaniu, w tym dzieci. Co ciekawe, kobieta, która wychowuje czworo dzieci, do końca życia jest zwolniona z podatku dochodowego.

Od umów o pracę w Estonii – identycznie jak w przypadku prowadzenia działalności gospodarczej – odprowadzany jest podatek dochodowy w wysokości 20 proc. oraz 33-procentowa opłata na ubezpieczenia społeczne. System jest prosty, jednakowy dla wszystkich. Nie istnieją progi podatkowe, systemy zwolnień, ulg czy preferencji.

Dla porównania: w Polsce z wynagrodzenia pracownika potrącane są obowiązkowe składki na ubezpieczenie: emerytalne (19,52 proc.), rentowe (8 proc.), chorobowe (2,45 proc.), wypadkowe (1,67 proc.) i zdrowotne (9 proc.) oraz zaliczka na podatek dochodowy według skali podatkowej. Obowiązuje też rozbudowany i skomplikowany system odliczeń i preferencji.

NASTAWIENIE URZĘDNIKÓW

Na Węgrzech – podobnie jak w Polsce – nie ma opłat urzędowo-skarbowych za zakładanie jednoosobowej działalności gospodarczej. Inaczej to wygląda w Czechach i w Estonii. Opłaty są, choć niewysokie. W Estonii opłata taka wynosi 13 euro (59 zł), a w Czechach – 1000 CZK (178 zł).

Jednak ważne są nie tylko stawki podatków i składek. Polscy przedsiębiorcy narzekają przede wszystkim na skomplikowane i często zmieniające się przepisy oraz nieżyciowe podejście urzędników. Istotna jest choćby sprawa kontroli firm. Artur Kuczmowski wyjaśnia, że w Estonii kontrole w firmach praktycznie się nie zdarzają, gdyż urzędy posiadają w każdej chwili wgląd w księgi firmy on-line. Jeżeli już urzędy wymagają złożenia wyjaśnień, to wszystkie postępowania prowadzone są zdalnie, przez Internet. Co ważne, kontrole są nakierowane nie na poszukiwanie dodatkowych dochodów do budżetu państwa, ale na sprawdzenie poprawności rozliczeń. Bardzo często przy większych kontraktach urząd prowadzi ciągły nadzór nad rozliczeniami po to, aby zarówno przedsiębiorca, jak i administracja publiczna byli pewni, że rozliczenia są dokonywane poprawnie.

Podobnie jak w Estonii, gdzie systemy skarbowe on-line są proste i zrozumiałe zarówno dla księgowości, jak i samych przedsiębiorców, również na Węgrzech od wielu lat administracja jest w pełni zinformatyzowana. – Począwszy od zakładania spółek, wszelka komunikacja z urzędami zarówno osób fizycznych, jak i osób prawnych odbywa się najczęściej drogą elektroniczną, co bardzo usprawnia, przyspiesza i potania załatwianie bardzo wielu spraw – opowiada prezes Pole Star Consulting. – Urzędy na Węgrzech, ze szczególnym uwzględnieniem urzędu skarbowego, są przyjaźnie nastawione do podatnika. Oznacza to w praktyce, że wszelkie kontrole przebiegają w sposób zapowiedziany. W przypadku jakichś uchybień typowe jest to, że urząd skarbowy najpierw wzywa do poprawienia stanu faktycznego. Jeżeli podatnik z jakichś powodów potrzebuje dłuższego czasu, żeby się przygotować, to urzędnicy są elastyczni również pod tym względem. Traktują podatnika jak partnera, a nie złoczyńcę.

Także w Czechach urzędy komunikują się z przedsiębiorcami drogą elektroniczną, przez co ci ostatni nie tracą czasu. Większość spraw można załatwić przez Internet, a szeroko rozwinięta sieć tzw. CzechPOINT pozwala przedsiębiorcom łatwo załatwić różnego rodzaje wypisy i zaświadczenia z rejestrów czy poświadczanie podpisów. – Czeski system prawnopodatkowy oraz podejście urzędów do przedsiębiorców należy ocenić bardzo pozytywnie. Kontrole przedsiębiorców są prowadzone wyłącznie w uzasadnionych przypadkach. Urzędy są bardzo wyrozumiałe, drobne opóźnienia w płatnościach podatków lub innych danin publicznych są tolerowane, bardzo łatwo załatwić w urzędzie każdy problem. Nakładanie kar administracyjnych jest wynikiem uprzedniej komunikacji przedsiębiorcy z urzędami, które zazwyczaj umożliwiają przedsiębiorcom naprawienie własnych błędów lub zaniechań – mówi Adam Wróblewski, prawnik z ECDP Group.

ŚWIĘTY SPOKÓJ

W międzynarodowym rankingu systemów podatkowych z 2020 r., przygotowanym przez Tax Foundation, Polska otrzymała zaledwie 46,6 pkt wskaźnika konkurencyjności podatkowej, co dało jej dopiero 34. miejsce na 36 badanych państw OECD. Pierwsze miejsce w tym rankingu zajęła – po raz siódmy z rzędu – Estonia (100 pkt). Czechy znalazły się na dobrym ósmym miejscu (73,1 pkt), a Węgry na miejscu 14. (67,9 pkt).

Jak widać, Polska ma wiele do nadrobienia, a co gorsze, rząd robi niewiele, by skrócić dystans do innych krajów naszego regionu. Choć propozycję znacznego podniesienia kwoty wolnej od podatku dochodowego należy ocenić zdecydowanie pozytywnie, to już na przykład wprowadzony tzw. estoński CIT jest tak odmienny od swojego pierwowzoru, że niewielu przedsiębiorców może z niego skorzystać. – Nie dziwię się polskim przedsiębiorcom, którzy przenoszą swoją działalność do krajów, gdzie są traktowani lepiej niż nad Wisłą. To wyjątkowo smutne, że rządy obcych państw oferują Polakom lepsze warunki do prowadzenia prywatnej działalności gospodarczej niż ich rządy Rzeczypospolitej Polskiej – ocenia ekonomista Marcin Janowski, współpracownik Polsko-Amerykańskiej Fundacji Edukacji i Rozwoju Ekonomicznego.

Choć niektóre z opisanych państw mogą się pochwalić niższymi podatkami czy składkami na obowiązkowe ubezpieczenie społeczne, to z pewnością żadne z nich nie jest rajem podatkowym. W każdym obowiązują nieco niższe lub nieco wyższe podatki dochodowe i składki na ubezpieczenie społeczne. Trudno natomiast jednoznacznie porównać te systemy z powodu preferencji stosowanych w niektórych z omawianych państw. Także dla różnego rodzaju prowadzonej działalności gospodarczej korzystniejszy może się okazać system w innym kraju.

Biorąc pod uwagę opcję faktycznego przeniesienia firmy z Polski do jednego z krajów sąsiednich, o podjęciu decyzji może przeważyć nie tyle wysokość stawki podatku czy składki, ile perspektywa możliwości skupienia się na spokojnym prowadzeniu działalności gospodarczej. Bez straty czasu na kontakty z urzędnikami i wypełnianie niepotrzebnych nikomu dokumentów, bez martwienia się nagłą niekorzystną zmianą prawa podatkowego czy nową interpretacją przepisów, która bezprawnie działa wstecz. – Estonia znajduje się na przeciwległym biegunie, jeżeli chodzi o traktowanie przedsiębiorców, regulacje dla prowadzonej działalności gospodarczej – podkreśla Kuczmowski. Podobnie jest w Czechach i na Węgrzech, w których to krajach w ostatnich latach widoczna jest tendencja do obniżania podatków i składek na ubezpieczenie społeczne. Dlaczego tak samo nie może być w Polsce?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Dlaczego Węgrzy nam to zrobili?!

To jest naprawdę niepojęte. A co najmniej – trudne do pojęcia. Dlaczego Węgrzy to zrobili? Dlaczego zrobili to NAM? Dlaczego nie idą ścieżką odważnie wytyczaną przez Polskę? Dlaczego tak bardzo NIE słuchają tego, co przecież jasno i wyraźnie mówi szef – w jednej osobie – naszej Rady Polityki Pieniężnej i naszego Narodowego Banku Polskiego?

A szef mówi, że władze monetarne – czyli właśnie RPP i NBP – nie ponoszą żadnej, literalnie żadnej winy za wzrost inflacji w Polsce; inflacji, której – rzecz jasna – w żaden sposób „nie lekceważą". Czy zatem inaczej może być na Węgrzech? Bo niby jak RPP i NBP miałyby ponosić winę za wzrost inflacji, skoro to przecież nie one windują – i to jak najęte – cen paliw, żywności, odbioru śmieci i czego tylko się da?! Windują tak szybko i tak mocno, że przy okazji podbijają inflację do blisko 5 proc.?!

Wszelako podczas jednej z konferencji prasowych szef RPP i NBP w jednej osobie uczciwie przyznał, że w Polsce „inflacja jest, jest wyższa, niż była, i jest wyższa, niż była przewidywana, ale charakter tej inflacji jest taki, a nie inny". I o to właśnie chodzi – o odmienny – „taki, a nie inny", jakże przecież specyficzny charakter tej akurat inflacji, podnoszonej ze wszystkich sił na całym świecie, a częściowo także w Polsce, ale bez jakiegokolwiek wpływu na jej poziom ze strony RPP i NBP. „Do tego wzrostu inflacji, co łatwo sprawdzić, przyczyniły się wyłącznie droższe paliwa i żywność. […] Żaden z tych elementów nie podlega polityce pieniężnej. Niezależnie od stóp procentowych i innych jej elementów, te ceny wzrosły. Nic by tego nie zmieniło" – stwierdził szef NBP i RPP, uznając za jak najbardziej właściwą – przy inflacji w maju w wysokości 4,7 proc. – polską stopę referencyjną, ustaloną jakiś czas temu na wyśmienitym poziomie 0,1 proc.

Niestety, w tym samym czasie – i o to cały ten ambaras – szef Narodowego Banku Węgier nie uznał za właściwą – przy inflacji w maju w wysokości 5,1 proc. – węgierskiej stopy referencyjnej, którą podniesiono z 0,6 proc. do 0,9 proc. Gorzej, że także Narodowy Bank Czech podniósł stopę referencyjną – z 0,25 proc. do 0,5 proc., i to przy inflacji w maju w wysokości „zaledwie" 2,9 proc.

Ale może to tylko zwykłe nieporozumienie, takie małe zamieszanie – jak to w Grupie Wyszehradzkiej, jak to wśród przyjaciół, w środkowoeuropejskiej rodzinie; może Węgrzy i Czesi prędko przejrzą na oczy – pójdą po rozum do głowy i wezmą przykład z naszej Rady Polityki Pieniężnej i naszego Narodowego Banku Polskiego? Bo niby dlaczego mieliby nie wziąć, jeśli nie chcą przez to powiedzieć, że to nasza, polska RPP i nasz, polski NBP się mylą, nie mają racji?

A może to właśnie chcą nam powiedzieć? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Klimatyzm idzie po nasze dzieci

Klimatyzm ma status religii. Opakowany w histerię w stylu Grety „Hał der ju" Thunberg, w działania klimatystycznych lobbystów takich jak „Grinpic", pobudza zdeklarowanych fanatyków spod znaku Extinction Rebellion czy dopiero tych aspirujących, spod sztandaru Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Wydawałoby się, że nominalnie konserwatywny rząd postawi temu tamę, ale gdzie tam – ja straciłem na to nadzieję, gdy minister ds. klimatu Michał Kurtyka chełpił się swego czasu, że to on przyczynił się do wypromowania panny Thunberżanki, zapraszając ją na szczyt klimatyczny w Katowicach w 2018 r. W sferze politycznych, kierunkowych decyzji również płyniemy w głównym nurcie klimatystycznego szaleństwa.

Chodzi o wtłoczenie młodym ludziom do głowy klimatystycznej narracji

Trzeba jednak walnąć pięścią w stół, kiedy klimatystyczni aktywiści zabierają się za indoktrynowanie naszych dzieci i znajdują w rządzie Zjednoczonej Prawicy chętnego partnera do rozmów. Mało kto wie, że w sprawie wprowadzenia do szkół klimatystycznej indoktrynacji pod pozorem „edukacji klimatycznej" środowiska fanatycznych aktywistów usiadły już z rządem, w tym z Ministerstwem Edukacji Narodowej, do okrągłego stołu. Minister Przemysław Czarnek, który dopiero co obronił się przed wotum nieufności, przyjmuje ten pomysł z zadowoleniem.

Nie miejmy złudzeń: chodzi tu wyłącznie o wtłoczenie młodym ludziom do głowy klimatystycznej narracji i przerobienie ich na posłusznych konsumentów propagandowej papki tego środowiska. W szkołach nie jest potrzebny żaden odrębny przedmiot dotyczący klimatu, ponieważ te zagadnienia w wystarczającym stopniu są omawiane na zajęciach z geografii oraz biologii. Jeżeli rząd PiS zgodzi się na postulaty lewackich środowisk klimatystycznych, to przed częścią rodziców, krytycznie nastawionych do tej narracji, stanie dramatyczny dylemat: czy w imię dobrej średniej zgodzić się na wkuwanie przez dzieci propagandowych bredni o nadchodzącej katastrofie, czy też w jakiś sposób kontestować te zajęcia, ryzykując pójście na zderzenie z aparatem szkolnym.

Jedno nie budzi wątpliwości: jeżeli ten przedmiot znajdzie się w szkołach, to będzie najbardziej zideologizowanym przedmiotem w programie nauczania. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Chojnik – górskie

Jacek Komuda

To jeden z najpiękniejszych zamków śląskich, położony na granitowej górze. W czasie kolejnych stuleci zwano go także: Chojnasty, Sobieszów, a w połowie XIX w., jak podaje Bohdan Guerquin, także Sosnowcem

Warownię małą, lecz niedostępną, wzniósł w latach 1353–1364 książę Bolko II Mały, książę świdnicko-jaworski, dla obrony Kotliny Jeleniogórskiej. W miejscu, gdzie jeszcze w 1292 r. znajdował się dwór myśliwski jego ojca, Bolka I.

Zamek zbudowano z granitu, co stanowi rzadkość, na planie czworoboku, z okrągłą wieżą. W 1368 r., po śmierci księcia, przeszedł na własność wdowy po nim, Agnieszki Habsburżanki, która z kolei nadała go rodzinie Schaffgotschów. Jednak okoliczności tej darowizny pozostają bardzo niejasne. Zamek otrzymać miał bowiem Gotsche Schaff, syn Sibotha Schaffa, który według niektórych badaczy jest postacią fikcyjną. Prawdopodobnie zatem wszedł w posiadanie któregoś z protoplastów rodu – zapewne Gotscha II, który pod sam koniec XIV w. otrzymał w dzierżawę zamek Gryf, a równocześnie wszedł w posiadanie także Chojnika. Wersję taką potwierdza Romuald Łuczyński, podając, że w 1399 r. starosta księstwa świdnicko-jaworskiego, Benesz z Choustnik, za zgodą króla Wacława IV Luksemburskiego zastawił zamek Gotschemu II Schaffowi. W 1418 r. dobra te zostały nadane jego synom; od tej pory więc Chojnik stał się własnością rodziny Schaffgotschów, którzy rozbudowali obiekt w XV i XVI w., zmieniając go w zamek bastejowy. Pierwotne założenie – składające się z wieży i domu mieszkalnego – zostało powiększone o przedbramie, dwa położone niżej dziedzińce, potężną basteję i jeszcze jedną bramę. Z początku XV w. pochodzą zapewne wieża głodowa i istniejący do dziś pręgierz. Położony na wysokiej górze Chojnik nie miał dobrego dostępu do wody, więc zbierano ją w trzech wykutych w skale cysternach. Na początku XVII w. był solidnie ufortyfikowany, a ostateczny kształt nadały mu umocnienia z końca wojny trzydziestoletniej.

RYS. J. TAŃSKI

Los Jana Ulryka Schagffgotscha, właściciela zamku w czasie tej zawieruchy, okazał się równie burzliwy, co wielu awanturników z epoki. Był on jednym z habsburskich wodzów, a także wiernych stronników i popleczników Albrechta von Wallensteina, głównego dowódcy wojsk cesarskich w walce ze Szwedami i z niemieckimi protestantami. W 1634 r. rozpoczął on jednak tajne rozmowy z wrogiem, aby wymusić na cesarzu pokój lub nawet – jak podejrzewano – obalić Habsburgów i samemu objąć władzę w Czechach. Spisek został jednak wykryty i Wallensteina zamordowano z rozkazu cesarza, kiedy usiłował zbiec do Szwedów. Wierny do końca Jan Ulryk podniósł wówczas bunt w Opawie, został jednak pokonany i schwytany, a następnie uwięziony w twierdzy w Kłodzku. Po torturach skazano go na śmierć i ścięto w lipcu 1635 r. w Ratyzbonie. Z zemsty cesarz odebrał Schaffgotschom ich dobra na Śląsku, w tym Chojnik, jednak już w 1641 r. syn zmarłego, Krzysztof, odzyskał włości razem z zamkiem.

Niestety, dalsze losy Chojnika nie były zbyt szczęśliwe. W sierpniu 1675 r. w wieżę trafił piorun, na zamku wybuchł pożar. Schaffgotschowie zaś przenieśli się do Cieplic pod Jelenią Górą. Twierdza stała zrujnowana i opuszczona.

LEGENDY CHOJNIKA

Zamek ma swoją legendę, wielokrotnie powtarzaną, o księżniczce Kunegundzie, która każdemu konkurentowi do swej ręki stawiała warunek: wyjdzie za tego, który przejedzie po murach zamkowych w zbroi. Inna wersja podania mówiła, że

eprasa.pl 2139ab4c34

gniazdo

Zamek Chojnik oferuje dziś niesamowity klimat historycznych imprez FOT. ADOBE STOCK

nie chodziło o przejazd po blankach, ale wokół nich, co trochę zmieniało postać rzeczy. Sztuki tej bowiem próbował dokonać ojciec panny i zginął, kiedy spadł z koniem do przepaści. Wielu rycerzy próbowało doprowadzić do końca ten wyczyn, jednak również ginęli. Albo też szli po rozum do głowy i w ostatniej chwili zmieniali zdanie, twierdząc, że jednak panna wcale nie taka gładka, a zamek Chojnik i okoliczne włości, cóż – jednak nie takie znowu dostatnie, jak się wydawały, i niewarte skręcenia karku.

Pewnego razu przyjechał na zamek rycerz, który okrutnie spodobał się Kunegundzie. Chciała nawet zwolnić go z próby, on jednak honorowo wskoczył na konia, przejechał wokół Chojnika i… przeżył. Po czym oświadczył, że teraz on gardzi ręką panny, po czym odjechał w siną dal. Uprzedzam z góry, że nie był to Zawisza Czarny. Kunegunda wówczas, nie mogąc znieść upokorzenia, sama rzuciła się w przepaść. Ponoć też duch jednego z jej niedoszłych oblubieńców, który przepadł podczas próby, pojawia się na Chojniku pod postacią upiornego jeźdźca na koniu.

Czy zamek rzeczywiście da się objechać? Od strony wschodniej bez problemu. Pytanie też, o jaki objazd chodzi – daleko czy blisko murów? Największe niebezpieczeństwo grozi bowiem od zachodu, gdzie skalna ściana prosto spod murów opada stromo w dół, jednak i tam przechodzi dziś fragment ścieżki wydeptanej przez turystów.

Tę jednak legendę wszyscy znają. Kolejna związana jest z zamkową wieżą. Otóż wspomniany Krzysztof Schaffgotsch, który swoją drogą uczestniczył także w bitwie pod Wiedniem, był srogim ciemiężycielem poddanych. Pewnego razu kazał posadzić w wieży niejakiego Nandzika, który miał czelność powiedzieć panu, co o nim sądzi. Jednak żona nieszczęsnego wybłagała u Krzysztofa, aby pozwolił raz w tygodniu przynosić mu bochen chleba. Oczywiście sprytna niewiasta ukryła w nim pilnik i piłę, dzięki której Nandzik przepiłował kraty, a potem spuścił się z okna, przeszedł przez mur zewnętrzny i uciekł. Inna wersja tej legendy mówi, że w taki sam sposób siostra uratowała brata osadzonego w wieży przez żołnierzy cesarskich w czasie wojny trzydziestoletniej.

KASZTELAN „JĘDREK"

Zamek i schronisko na Chojniku otwarte zostały do zwiedzania po drugiej wojnie światowej. W 1963 r. groził zawaleniem, więc go zamknięto i udostępniono dopiero po remoncie 10 lat później, tylko po to, aby w 1973 r. schronisko zamknął… sanepid. Ostatecznie cały obiekt stał się dostępny w 1975 r.

Podobnie jak Gniew zamek ma swojego kasztelana – opiekuna, człowieka legendę. Jest nim Andrzej „Jędrek" Ciosański, który w chwili obecnej opiekuje się tym miejscem. Historia jego życia i pasji jest równie ciekawa jak dzieje zamku. Otóż w latach 80., kiedy pracował w stadninie koni Strzegom, w zakładzie hodowlanym w Wojcieszowie, zaczął organizować prawdziwe rajdy konne. Długodystansowe, we wszystkich porach roku. Interesował się ruchem rycerskim (pierwszy turniej w okolicy, pod zamkiem Grodziec, odbył się w 1989 r.), zorganizował zatem swój własny w Wojcieszowie. Co ciekawe – był to turniej konny – w tamtych czasach rzadkość, bo jeździectwo militarne nie było wówczas powszechne. We wrześniu 1991 r., na zaproszenie ówczesnego kasztelana Jerzego Czajki, zorganizował pierwszy turniej rycerski na zamku Chojnik.

Ponieważ jednak warownia, położona na stromej górze, słabo nadawała się do konnych gonitw, zorganizowano tutaj turniej kuszniczy. Z czasem doszły do tego konkurencje łucznicze i inne. W 1994 r. Andrzej Ciosański otworzył strzelnicę z kuszy na zamku, a od 2012 r. sam został kasztelanem Chojnika, opiekując się zamkiem, oprowadzając po nim i gawędząc z turystami. Ten niesamowity opowiadacz historii prowadzi także własny kanał na YouTube, adresowany do wszelakich miłośników średniowiecza, I Rzeczypospolitej i zamków.

Cóż dzisiaj można znaleźć w Chojniku? Niesamowity klimat historycznych imprez, widoki i panoramy. Piękno zamknięte w kamieniu i przyrodzie oplatającej ruiny malowniczymi porostami, otulające lasem zamek na wyniosłym szczycie, wśród wznoszących się gór. Polecam.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2139ab4c34

GOŁĄBKI Z BOTWINKI JUSTYNY PILICHOWSKIEJ

Gotowanie i pieczenie zawsze mi się podobało. Od najmłodszych lat, gdy rodzice gotowali, pomagałam im w kuchni. Podglądałam, co robią, co dodają do czego, żeby powstała smaczna potrawa. Mieszkałam na wsi, więc to były proste regionalne potrawy. Pasja się rozwinęła, gdy przyjechałam do Wrocławia. Miałam do dyspozycji ogrom produktów, aż mi się oczy świeciły na widok nieznanych mi warzyw czy owoców. Zaczęłam więc wymyślać różne potrawy, a udział w paru kulinarnych show nakręcił mnie jeszcze bardziej na poszukiwania w kuchni.

Chciałabym się podzielić przepisem na naszą sezonową różową królową – botwinkę. Łatwo można z niej przygotować bardzo smaczne gołąbki.

Składniki:

- 20 dużych liści botwinki
- 400 g mięsa mielonego z indyka
- puszka minifasoli czerwonej
- jajko
- 50 g kuskusu
- ząbek czosnku
- połowa cebuli
- kolendra
- pieprz
- sól
- kmin rzymski
- ocet balsamiczny

Do duszenia:

- 1 łyżka masła
- 1 szklanka bulionu

Przygotowanie:

Czosnek z cebulą kroimy w kosteczkę, dajemy do mięsa, dokładamy jajko i przyprawy oraz czerwoną fasolę. Kuskus zalewamy gorącą wodą i gdy napęcznieje, także dodajemy do farszu. Całość mieszamy. Następnie liście parzymy przez ok. 1 min, odcinamy łodyżkę, rozkładamy liść, nakładamy farsz i zawijamy.

Tak przygotowane gołąbki wkładamy do garnka, podlewamy bulionem i dusimy ok. 30 min. ©℗ ***oprac. raw***

Justyna Pilichowska jest kucharką, blogerką kulinarną, miłośniczką slow foodu.

FOT. ARCHIWUM JUSTYNY PILICHOWSKIEJ

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Przeprośmy porzeczki!

Na pierwszy ogień idą te największe, dorodne, ciemnowiśniowe. Potem trochę mniejsze. Na koniec zostają najmniejsze, nieładne, niektóre nawet nadgryzione przez szpaki, ale to nic. Pójdą wszystkie.

Tak to jest – jak zaczynasz jeść czereśnie, nie możesz skończyć. Tylko liczba pestek może uświadomić ci prawdziwe rozmiary konsumpcji. Te cudowne owoce, których nie da się zamrozić, a przetworzyć da się tylko w ograniczonym stopniu (może kompot, ale kto teraz jada kompoty?).

FOT. ADOBE STOCK

Czereśnie zajmują szczególne miejsce w herbarzu owocowych smaków. Miłość do nich nie jest w żadnym stopniu spowodowana ich wartościami zdrowotnymi, których mają cały zestaw – witaminy, minerały, przeciwutleniacze, dobre na stawy, tarczycę, na kondycję skóry. Kochamy je nie za to, że są zdrowe, tylko za to, że są pyszne. A czy można pominąć ich urodę? Nie ma co zawracać sobie głowy jakimiś hiszpańskimi czy francuskimi nowinkami w maju. Czereśnie proszą o cierpliwość. Dopiero na początku lipca, gdy słońce dobrze przygrzeje, polskie czereśnie rozwijają pełny garnitur smaków. Kiedyś w Paryżu wczesną wiosną dałam się zwabić prowansalskim czereśniom wielkości śliwek – co za zawód! Krasnolice, dorodne, bez żadnych zgniłek, ale smakują wodniście i bezbarwnie. Świństwo. Albo jakieś z Chile, które dojrzały w skrzynce w samolocie. Herezja.

Potęgę swoją czereśnie potwierdzają wielkością i urodą swoich drzew. Wiem coś o tym, bo w miejscu, gdzie mieszkam, był kiedyś czereśniowy sad, posadzony zaraz po wojnie. Zostały po nim resztki – 70-letnie potężne drzewa dzisiaj zdziczały i są tylko jadłodajnią dla szpaków. Ale jakież to drzewa!

Przy czereśniach porzeczki i agrest wydają się ubogimi kuzynami. Nie takie piękne, nie takie słodkie, małe, drobne i rosną tylko na jakichś krzakach, nie na prawdziwym wielkim drzewie.

Co za niesprawiedliwość! Porzeczki i agrest domagają się rehabilitacji. Marginalizowane i pomijane przez całe dekady, kiedy marzyliśmy o pomarańczach i bananach, teraz powinny zostać przeproszone i docenione. Galaretka z porzeczek, no proszę, czy ktoś jadł coś lepszego? A porzeczki czarne, tak znieważone, kiedy w kawiarni braliśmy sok pomarańczowy zamiast swojskiego soku z czarnej porzeczki? Pora to zmienić! Jedyna w swoim rodzaju słodycz naszych letnich owoców nie da się porównać z żadną słodyczą pochodzenia tropikalnego. Tamta jest jednoznaczna, nudna. Nasze górą! ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Demokratyczne państwo prawa

Nie przeczę, ostatnia tragedia, gdy jakiś pijany debil zabił trzyosobową rodzinę i osierocił dzieci, każe się przyjrzeć zbyt niskim karom dla podpitych morderców oraz całemu systemowi pobłażania. Ale dla mnie nie tyle ważny jest konkretny temat – bardziej okazja do wejrzenia w głąb prawa, mechanizmu, wedle którego jest ono stanowione. Jeśli już mamy jakiś słaby przepis karny, to dość trudno go wzruszyć. Wiele instytucji, organizacji, ba – nawet statystyki mogą bić na alarm i nic się nie dzieje co do zmian na jakimś zaniedbanym odcinku. „Trzeba aż tragedii", jak to się mówi, by się tym regulatorzy zajęli. A to oznacza, że system „wczesnego ostrzegania" nie działa. Dopiero jak się odbędzie jakaś spektakularna zbrodnia czy zdarzenie, ale koniecznie nagłośnione przez media, to tylko wtedy się za to wezmą rządzący. Więcej – reagują oni wtedy nie na społeczne zapotrzebowanie, ale taktycznie oddziałują na słupki poparcia w gorącym temacie.

Konstytucja RP mówi, że jesteśmy demokratycznym państwem prawa. Mamy więc prawo oddane w ręce demokracji, a ta jest ciągłą grą większości. A więc nie możesz być pewien dnia ani godziny. Prawo można zmienić w jeden dzień

Wielu nie pamięta, a niewielu wyparło sprawę Mariusza Trynkiewicza. Chodziło o wielokrotnego mordercę młodocianych, który dostał karę śmierci. Czekał ci on na nią w celi, a w międzyczasie pięknoduchy, wiedzione ogólnym nurtem, zawiesiły, a później zniosły karę śmierci, która w wyniku dalszego braku refleksji zamieniła się nie w dożywocie, ale 25 lat więzienia. I Trynkiewicz, odbywszy karę, wyszedł na wolność. I wtedy lud zakrzyknął: „Jak to!?", a rządzący, którzy sami nawarzyli takiej kaszy, zaczęli się miotać, by naprawić efekty swych działań.

Lud się zorientował, że nie ma kary na morderców, że w wyniku odbębnienia 25 lat za dowolne zbrodnie stworzyła się sytuacja, gdy kilkunastu takich typków wychodziło z więzień na wolność jako pełnoprawni obywatele. Suweren zażądał, trzeba było coś zrobić i odpalono specjalną „ustawę o bestiach". Właśnie – bestiach. Oczywiście to zbrodniarze, jakich mało, ale nazwanie ich bestiami naznaczało ich medialnie jako niebezpiecznych, ale głównie niegodnych traktowania… zgodnie z prawem.

I ustawa stworzyła sytuację prawnie kuriozalną i okrutną. To znaczy, że przestępcy, którzy już odbyli karę, mogli być na podstawie decyzji sądu przetrzymywani do końca swojego życia w odosobnieniu. Ta pokraczna konstrukcja pokazywała, że państwo nawet swoich wyroków nie traktuje serio, że wychodzi poza własne ramy ustrojowe, trzymając w zamknięciu ludzi bez wyroku, bez popełnionego przestępstwa (to zostało już osądzone, kara odbyta, a nowe zbrodnie niepopełnione), czyli działa na zapotrzebowanie ludu. De facto jedynie wizerunkowo naprawia własne błędy, za które cierpią niewinni.

Czy niewinni? Winni jak cholera, ale wedle prawa już ukarani za swe postępki. Było utrzymać dla nich zasądzone kary śmierci i byłby spokój. A tak pięknoduchy legislacyjne same się złapały we własne sidła wspaniałomyślności na cudzy koszt, a rachunki do zapłacenia przekazano ukaranym, do ponownego odbycia kary.

Artykuł 2 Konstytucji RP mówi, że jesteśmy demokratycznym państwem prawa, tu litościwie przemilczę passus o „urzeczywistnianiu zasad sprawiedliwości społecznej". Mamy więc prawo oddane w ręce demokracji, a ta jest ciągłą grą większości, w dodatku w gronie przedstawicieli ludu, wybranym przez skomplikowane sito pokrętnej ordynacji. A więc nie możesz być pewien dnia ani godziny. Prawo można zmienić w jeden dzień, jest więc ono na łasce rządzących. A ci będą je kształtować tak, jak im wygodniej, od czasu do czasu robiąc spektakularne ruchy, ku uciesze wzburzonego ludu będącego wtedy chwilowo „ucieleśnieniem sprawiedliwości społecznej".

I żeby nie było – jestem za surowym karaniem pijanych zabójców za kierownicą. Ten obłęd się musi skończyć. Ale pamiętajmy, że co roku tak było, za każdej władzy. Dopóki ktoś spektakularnie nie zamordował na drodze całej rodziny. I że fotograf był przy tym, jak strażak niósł na rękach osierocone dziecko, jedynego pasażera ocalałego z feralnego samochodu. Tak działa polski mechanizm demokratycznego państwa prawa.

Breivik wychodzi za 12 lat. Zobaczymy, jak sobie z taką sprawą poradzą w Norwegii. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Internet zbyt dostępny

Coraz trudniej jest wyjechać na wakacje. Przy czym mam tu na myśli odcięcie się od codzienności, a nie przemieszczenie się z miejsca na miejsce. To akurat jest łatwe, nawet w czasach postcovidowych, a może raczej międzycovidowych ograniczeń. W Europie nikt niczego nigdzie nie sprawdza, co właśnie przetestowałem. Porejestrowałem się, podrukowałem zaświadczenia, przetestowałem dzieciaka i pies z kulawą nogą się nie zainteresował mną i moimi wydrukami.

Wyjechać jest więc łatwo. Ale odciąć się od wszystkiego – trudno. Trudniej niż kiedyś. Od jakichś 15 lat piszę felietony tydzień w tydzień i kiedyś musiałem się nieźle natrudzić, żeby gdzieś tam poza ojczyzną znaleźć jakieś wi-fi albo kafejkę internetową. Bo roaming danych był wtedy zbójecko drogi i stać było na niego tylko Kulczyka i Gudzowatego.

Ale miało to swoje plusy. Po przekroczeniu granicy człowiek właściwie znajdował się w innej rzeczywistości. Z okładek pism kolorowych wyłożonych w witrynach kiosków patrzyły na niego gęby, które nic mu nie mówiły. Były kompletnie nieznane i takie miały pozostać. Były bohaterami jakichś skandali albo występowały w jakichś filmach czy serialach, ale nie kojarzyły się z niczym i było to błogie. Nie inaczej było, gdy podróżujący Polak wpadł na jakiś włączony telewizor. Nieznani ludzie kłócili się ze sobą w nieznanych językach (ewentualnie występowali w różnych mutacjach różnych talent show), ale nie tworzyło to żadnego kontekstu i w żaden sposób nie zajmowało głowy. Wyjazd za granicę cudownie odrywał od codzienności. Tak bardzo, że ja – mówiąc między nami – uwielbiałem granice. Świat bez granic, wyśniony przez poetów, wizjonerów i Michała Wiśniewskiego, wydawał mi się okropny, bo pozbawiał możliwości wytchnienia.

Co prawda, granice istnieją i nawet się trochę wyostrzyły, ale niestety – tani Internet i wszechobecność wi-fi zabiły to, co lubiłem. Pracować zdalnie można nawet na drugiej półkuli, więc nie da się uciec przed e-mailami i sprawami do załatwienia. Tak jak nie da się uciec przed tu i teraz, chociaż jest się nie tu. Nawet daleko od Polski człowiek może trzymać rękę na jej pulsie. I szczerze mówiąc, to dosyć męczące. A w każdym razie utrudniające, a może nawet uniemożliwiające prawdziwe wytchnienie. Wiem o wszystkim, czym żyje Polska, a właśnie przez tydzień czy dwa w roku chciałbym tym nie żyć. Niestety, już się nie da.

Może są ludzie, którzy potrafią wyłączyć Internet i nie zerkać na Interię czy Wirtualną Polskę. Ja nie. Chciałbym nie wiedzieć, co się dzieje i co kto powiedział. Chciałbym się odciąć, nabrać dystansu, poczytać książki i przewietrzyć umysł, ale nie umiem. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Jak Polskę cichcem wyprowadzam z UE

Małgośka, mówią mi, wyprowadzacie nas z Europy! Bo ja oczywiście w głowach różnych tropicieli robię za „reżimową dziennikarkę", więc można we mnie bić, choć dalibóg jedyny raz w życiu, kiedy pracowałam dla prezydenta RP, to był staż w Kancelarii Kadr i Odznaczeń Kwaśniewskiego! No to coming out mam już za sobą. Teraz tylko dopowiem, że oferowali staż, to poszłam, a że plecki miałam zawsze drobne rozmiaru XS, to się nie ostałam na ul. Wiejskiej, choć mówili, że ja zdolna jestem. No może i zdolna, ale nie do wszystkiego, a gdy rodzina się naburmuszyła na mnie, że ja do Kwacha na chwilową służbę poszłam, to i żalu nie miałam, że mi szybko drogę do kariery tak obiecującej przymknięto. Dzięki temu zaliczyłam parę zawodów więcej, a i finalnie mam zaszczyt pisać dla Państwa.

Kto mnie zna, ten wie, że ja parę razy w roku pakuję walizki i Polskę z UE cichcem wyprowadzam. Bo jeśli polskość w jakimś zwidzie ograniczyć do paru marek, to i owszem: ładuję do walizki wódkę, kabanosy, Baryłki i co spotkam dobrego rozmówcę w Madrycie, to mu ten kawał Polski transferuję w torebce. PiS zaś – jak zgaduję – wyprowadza Polskę na skalę masową. Może nawet ziemię w Kiribati zakupił i jak tylko rodacy zasypiają, to PiS zwija te autostrady w rolkę, składa pola w kostkę, przelewa jeziora mazurskie do słoików i wrzuca na kontenerowce. I tylko Tusk wiernie trwał będzie w ojczyźnie, uczepiony mocarnej sąsiadki z Niemiec. No, chyba że znów zadzwonią z Brukseli. Ach, prawda, ale przecież my niby wyprowadzamy Polskę do Putina. I ja, urodzona w Grodach Czerwieńskich, nic bym o tym nie wiedziała?

Dzwonię więc do rodziców, którzy pilnują spraw na odcinku lubelskim, i pytam, jak tam postępuje wyprowadzanie na Wschód, czy jadą wozy, czy może wzorem socjalistów hiszpańskich PiS wyprowadził dla sojuszniczej Rosji wszystkie rezerwy złota? Rodzice stoją jednak twardo na stanowisku, że jedyne, co się w ich PiS-owskich obwodach wyprowadza, to psy na spacer, ale nigdy w kierunku przejścia granicznego Hrebenne-Rawa Ruska. No więc ktoś nieładnie kłamie. Jakkolwiek patrzeć, to skuteczną metodą wyprowadzania nas z Europy – ba! wypompowywania nas – jest gazociąg NS2, którego miał przecież pilnować Donald. Miał lepszą miejscówkę z wysokiego fotela i lepszy dostęp do decydentów, a jednak skiepścił sprawę. Zagadując Polaków historyjką o wyprowadzaniu Polski przez PiS, ukradkiem i skutecznie wyprowadził nas na manowce… ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zepsowanie Rzeczypospolitej

ANDRZEJ NOWAK

Pokój – szczęśliwość. Ale bojowanie / Byt nasz podniebny: on srogi ciemności / Hetman i świata łakome marności, / O nasze pilno czynią zepsowanie…". Tak zaczyna się „Sonet IV: O wojnie naszej, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem" – dzieło Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, herbu Junosza. Napisany został może gdzieś ok. roku 1572, na pewno nie później niż w roku 1581 – bo już wtedy autor, zaledwie 30-letni, zszedł z tego świata. Był synem podstolego lwowskiego, właściciela wsi Rudno i części Zimnej Wody. Tego mająteczku dosyć było, żeby Mikołaja wysłać na studia w Wittenberdze i Lipsku. Choć uczelnie były luterańskie, to powracający do Polski Mikołaj był już nawrócony na katolicyzm, i to w gorącej, kontrreformacyjnej postaci. Pisał wiersze okolicznościowe, m.in. po potyczce wojsk koronnych z Tatarami w roku 1571 „Pieśń o Strusie, który zabit na Rastawicy od Tatarów"; sławił w swej poezji panowanie Stefana Batorego. Jedyny wiersz za życia wydał w roku 1579, w druku Malchera Piotrkowity „Przeciw morowemu powietrzu przestroga, z przedniejszych doktorów nauki lekarskiey dla ludu pospolitego napisana" (obok epigramu Sępa „Na herb ichmościów Kostków" można w tym druczku znaleźć odpowiedzi na takie ważne dla nas pytania, jak: „Co to jest morowe powietrze i z których przyczyn pochodzi", jakie są „znaki powietrza morowego", a jakie „powinności przełożonych, którzy chcą miasto od powietrza morowego uchronić"). Swoich najwspanialszych utworów – „Pieśni" oraz arcydzieł poezji metafizycznej, „Sonetów" – wydać Sęp nie zdążył. W 1580 r. wydzierżawił wieś Wolica w ziemi przemyskiej, w dożywocie. I żywota dokonał już w roku następnym, pewnie „tknięty powietrzem", czyli zarazą (w tym czasie największe żniwo zbierał akurat tyfus plamisty, dziesiątkujący także żołnierzy Batorego wracających spod Pskowa).

Żył jeszcze wtedy i cieszył się wielką sławą starszy od Sępa o trzy dekady Jan Kochanowski. W tym miejscu przywołuję jednak słowa przedwcześnie zmarłego poety nie tylko dlatego, że poezje Sępa znajdowały miłośników już za jego życia (choć drukiem ukazały się dopiero w roku 1601, staraniem brata zmarłego poety, Jakuba Szarzyńskiego) i że już na początku wieku XVII będzie on uznawany za „pierwszego po Kochanowskim". Ważne jest co innego w tym wierszu: uchwycenie doświadczenia ludzkiego losu, jego dramatycznego zawieszenia w napięciu między upragnionym pokojem i powracającą wciąż koniecznością walki: z sobą samym, z przeciwnościami, z pokusami. To oczywiście wiersz religijny. Doskonale oddaje także czas głębokiego przeżywania sporów o sens życia w perspektywie zbawienia wiecznego i zagrożenia jego utratą, czas gorących sporów kontrreformacji z nurtami reformacyjnymi i tych, które wynikną w Rzeczypospolitej z próby unii jej prawosławnych mieszkańców z Rzymem. Kiedy jednak czytam te słowa, podobnie jak następujące w trzeciej zwrotce „Sonetu" pytanie: „Cóż będę czynił w tak straszliwym boju, / Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?", to zdaje mi się, jakby zapowiadały one doświadczenia i rozterki Rzeczypospolitej: od poszukiwań najlepszej drogi wolnego wyboru nowego monarchy do śmierci Zygmunta Augusta, próby pokoju religijnego w konfederacji warszawskiej roku 1573, poprzez wewnętrzne walki magnackich fakcji o wpływy, rokosze, niekończące się najazdy tatarskie, wojny zwycięskie i przegrane, wszystkie niszczące, aż do strasznego czasu powstania Chmielnickiego i potopu moskiewsko-szwedzko-siedmiogrodzkiego. Dużo tu jest bojowania, dużo wewnętrznego rozdwojenia i dużo tęsknoty za pokojem. Szukanie chwili szczęśliwości pomiędzy codzienną walką o przetrwanie to przecież także doświadczenie pokoleń tych, którzy Rzecząpospolitą nie władali, ale byli pod władzą, prawną i materialną przewagą stanu szlacheckiego: mieszczan, chłopów, Żydów. Na pewno nie żyli tylko życiem uciśnionym – wbrew tak modnym dzisiaj (i w czasach PRL) historiom skupionym na klasowym uciemiężeniu i buncie. Losy Rzeczypospolitej, ciężar wojen: i tych domowych, i najazdów zewnętrznych, kładł się jednak na wszystkich – a więc na nich, może zwłaszcza na nich – wielkim ciężarem. Czy można było tego doświadczenia uniknąć? Czy można przeżyć życie bez walki, bez ciężaru? Czy Rzeczpospolita przegrała walkę z samą sobą, ze swoimi słabościami, z „zepsowaniem" przez „łakome marności" samouwielbienia swoich elit?

Tymi słowami, tymi pytaniami zaczynam opowieść V tomu „Dziejów Polski", który powolutku przygotowuję do druku. Ale przecież pytania o bojowanie wewnętrzne i o zgodę są zawsze aktualne, nie tylko w czasach Sępa. We współczesnej Rzeczypospolitej odczytujemy je w kontekście dziś padających słów, które tak intensywnie wzywają do nienawiści, do furii, do zemsty, do zniszczenia wspólnoty w wojnie domowej… Co będzie dalej? Może czasy potopu, a potem wiek XVIII nam coś podpowiedzą? ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

SCHIZMA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski korespondencja z USA

Kościół katolicki przeżywa właśnie schizmę czyli rozpad na dwa odrębne Kościoły. Tylko jeden z nich będzie kontynuacją tego, co założył Chrystus i oddał do prowadzenia w ręce św. Piotra. Ten drugi będzie heretycki.

Jeszcze nie znamy jego nazwy, ale wiemy, że nominalnym założycielem tego odrębnego Kościoła jest obecnie urzędujący papież Franciszek.

***

Przy schizmach trudno wyznaczyć datę początkową, bo to procesy, które trwają niekiedy bardzo długo. Najpierw pojawiają się jakiś diabelski ferment, spory, wojny, ale jeszcze w ramach jednego Kościoła; dopiero potem następuje oficjalny podział. Konkretną datę początkową mają anglikanie, ale to wyjątek. Inne daty przyjmuje się orientacyjnie, bo jakąś datę trzeba mieć, żeby pisać podręczniki. W przypadku Lutra za datę początkową przyjęliśmy dzień, gdy za pomocą młotka i gwoździ zdewastował drzwi do kościoła, przybijając na nich swoje postulaty. Nie wiedział jeszcze wtedy, czy to będzie skuteczna schizma czy zwyczajna rozróba.

***

„Schizma papieża Franciszka" (nazwijmy ją tak roboczo...) zaczęła się rodzić po Soborze Watykańskim II, gdy w sprzeczności z soborowym nauczaniem wprowadzono „reformę liturgiczną". Jej głównym architektem był biskup-mason Bugnini.

Bugnini napisał od zera nową liturgię mszy, zostawiając w niej zaledwie 17 proc. dotychczasowej (obliczone naukowo). Nakazano z dnia na dzień zlikwidować mszę trydencką, która odprawiana była nieprzerwanie od IV w., a która w 1570 r. została ogłoszona przez papieża św. Piusa V „mszą wszech czasów", której nie wolno zmieniać ani zakazywać.

Po „reformie liturgicznej" w kolejnych latach pojawiła się na mszy nowoczesna muzyka, kobiety rozdające Eucharystię, „tęczowe" stuły o sześciu kolorach, a w końcu bożek pogański na ołtarzu w Watykanie (to robota Franciszka) i Komunia Święta drive-thru w pudełeczku na wynos.

***

Księża odprawiający mszę „po staremu" mieli bardzo pod górkę. Dostawali ograniczone pozwolenia na wąską działalność. W roku 2007 Benedykt XVI stwierdził, że te specjalne pozwolenia w ogóle nie są potrzebne, bo tej mszy NIE DA SIĘ ZABRONIĆ, co wynika z nieomylnego dekretu św. Piusa V. Papież Benedykt potwierdził: każdy kapłan miał, ma i zawsze będzie miał prawo odprawiać mszę trydencką, dokładnie tak, jak każdy katolik ma prawo odmawiać Różaniec i żaden z nich nie musi w tych sprawach prosić o specjalne pozwolenie biskupa.

A teraz papież Franciszek w dokumencie motu proprio mówi: A właśnie, że nie – bo ja mówię, że nie, a ja wiem lepiej niż wszyscy święci papieże przede mną.

Jego dokument jest butny w tonie. Demoluje to, co wcześniej głosili ŚWIĘCI Pius V, Paweł VI i Jan Paweł II. Żaden papież nie odnosił się tak do pism swoich poprzedników.

Franciszek ogłosił, że 17 wieków nauczania Kościoła idzie do kasacji, a jedyna poprawna forma mszy to ten wynalazek z lat 70., który wyludnił ławki i opustoszył seminaria.

To, co zainicjował Bugnini, „wykonało się" ręką Franciszka dnia 16 lipca 2021 r.

***

W USA chodzę na mszę łacińską z powodów teologicznych, nie estetycznych. Wolałbym modlić się w języku, który rozumiem, ale ważniejsze od mojej wygody jest to, że chcę być na mszy – z gwarancją, że to nie będzie heretycki spektakl, który w amerykańskich „normalnych" parafiach jest na porządku dziennym.

Podczas covidowych zakazów, które znają Państwo z Polski, parafie „trydenckie" to były jedyne miejsca, gdzie odbywano spowiedzi, odprawiano msze, pogrzeby, udzielano ślubów i chrztów. W USA te parafie spuchły w ciągu roku średnio o 70 proc. Zapytajcie swojego proboszcza, co on na to – niebywałe, zaskakujące, niemożliwe. A jednak.

W Polsce ta forma mszy jest także coraz bardziej popularna – pomimo oporu biskupów, pomimo utrudnień. Reszta Kościoła raczej pustoszeje, a COVID i dyspensa to świetny pretekst dla tych, którym do kościoła chodzić się nie chce. Parafie łacińskie w USA pękają w szwach, odprawiają msze w kościele i na korytarzach, bo brakuje miejsca dla tłumów nowych ludzi. Zwiększa się liczbę mszy lub pomieszczeń tak, aby każdy chętny miał dostęp do sakramentów. Ten ryt jest żywy, prężny, wzrasta.

Papież Benedykt XVI życzył sobie, by msza trydencka odprawiana była w każdej parafii, jako jedna z dwóch opcji – zawsze dostępna! – a nie, żeby była zepchnięta na margines, do odosobnionych i traktowanych przez władzę kościelną niechętnie „tych grup", jak nazywa je Franciszek w swoim dokumencie.

***

„Traditionis Custodes" (z łac. Strażnicy Tradycji – nazwa dokumentu zakrawa na ironię) to najbardziej radykalny ruch Franciszka. Z ustami pełnymi frazesów o jedności i tolerancji izoluje, prześladuje i rozbija jedność – wypycha z Kościoła rzesze gorliwych katolików.

Jego wcześniejsze dziwaczne wypowiedzi, lekceważenie prawa kanonicznego (któremu sam też podlega!) nazywaliśmy wybrykami, ekscesami lub pomyłkami i tłumaczyliśmy sobie na różne sposoby – na przykład, że „chce być miły" wobec rozwodników, homoseksualistów, pogan. Teraz doszliśmy do punktu, gdy nie da się już kamuflować prawdy – to, co Franciszek głosi, to herezje w podręcznikowym (a nie publicystycznym) rozumieniu tego słowa.

Być może dlatego Bóg pozostawił nam papieża Benedykta XVI – abyśmy nie zostali bez papieża i bez prawdziwego Kościoła. ©℗

eprasa.pl 2139ab4c34

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
CARIE GRESS:
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~373 ZŁ~~

184,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 189 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2139ab4c34

POLSKA

JESTEŚMY JEDNĄ DRUŻYNĄ

TOKIO**2020**

#TeamPolska

SPONSORZY I PARTNERZY PKOL I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

ORLEN	LOTTO	Enea	4F	GRUPA LUXMED	POLISH AIRLINES LOT
Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoznik

eprasa.pl 2139ab4c34